



RYTUAŁ MIECZY

KSIĘGA 7 KRĘGI CZARNOKSIĘŻNIKA

MORGAN RICE

MORGAN RICE

RYTUAŁ MIECZY

Księga 7 cyklu KREĞU CZARNOKSIĘŻNIKA

Przekład: Sandra Wilk

Książki z cyklu **KRĄG CZARNOKSIĘŻNIKA**

Księga 1 – Wyprawa Bohaterów

Księga 2 – Marsz Władców

Księga 3 – Los Smoków

Księga 4 – Zew Honoru

Księga 5 – Blask Chwały

Księga 6 – Szarża Walecznych

Księga 7 – Rytuał Mieczy

Księga 8 – Ofiara Broni

Księga 9 – Niebo Zaklęć

Księga 10 – Morze Tarcz

Księga 11 – Żelazne Rzędy

Księga 12 – Kraina Ognia

Księga 13 – Rzędy Królowych

Księga 14 – Przysięga Braci

Księga 15 – Sen Śmiertelników

Księga 16 – Potyczki Rycerzy

Księga 17 – Śmiertelna Bitwa

*Cóż takiego przekazać mi pragniesz?
Jeśli twym celem dobro jest ogółu,
Daj honor z jednej strony, z drugiej zaś śmierć,
A ja na obie spojrzę niewzruszony,
Bo, bogowie niech mi dopomogą,
Honor miłuję nad me życie.*

- William Shakespeare
Juliusz Cezar

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Thorgrin siedział na grzbiecie Mycoples, która niosła go nad bezkresnymi ziemiami Kręgu, gdzieś na południe, w kierunku Gwendolyn. Thor zacisnął dłoń na Mieczu Przeznaczenia i spojrzał w dół, gdzie ujrzał rozległą, zdającą się nie mieć końca milionową armię Andronicusa, rojącą się po Kręgu jak plaga szarańczy. Poczuł, jak Miecz pulsuje w jego dłoni i wiedział, ku czemu go ponagla. Ku obronie Kręgu. Wypędzeniu najeźdźcy. Miał wrażenie, że Miecz rozkazuje mu – i Thor z chęcią przystał na jego polecenie.

Już niebawem Thor zatoczy koło i dokona zemsty na każdym z intruzów. Teraz, gdy Tarcza ponownie się podniosła, Andronicus i jego ludzie byli uwięzieni; odsiecz z Imperium nie mogła już nadejść i Thor nie zamierzał spocząć, póki nie zabije ich wszystkich.

Nie nastał jednakże jeszcze ku temu czas. Najbardziej naglącą sprawą była jedyna prawdziwa miłość Thora, kobieta, do której tęsknił, od kiedy opuścił Krąg: Gwendolyn. Thor pragnął gorąco znów ją ujrzeć, chwycić ją w objęcia, pragnął przekonać się, że żyje. Wyczuwał pod koszulą pierścień swej matki i nie mógł się już doczekać, gdy ofiaruje go Gwen, wyzna jej swą miłość, poprosi o rękę. Pragnął jej powiedzieć, że między nimi nic się nie zmieniło, że nie dbał o to, co jej się przytrafiło. Darzył ją wciąż takim samym uczuciem – nawet większym – i pragnął, by o tym wiedziała.

Mycoples zaryczała z cicha i Thor poczuł drzenie jej łusek. Wyczuwał, że Mycoples także chce szybko dotrzeć do Gwendolyn, nim coś jej się stanie. Smoczyca obniżyła lot i na przemian wpadała w chmury i wyłaniała się z nich, uderzając

swymi wielkimi skrzydłami, i zdawała się być zadowolona z tego, że jest tutaj, w Kręgu, i niesie Thora na swym grzbiecie. Więż między nimi zacieśniała się i Thor czuł, że Mycoples dzieliła się z nim każdą myślą i życzeniem. Jak gdyby smoczyca była częścią niego.

Gdy kluczyli w obłokach, myśli Thora skierowały się ku Gwen. Spokoju nie dawały mu słowa poprzedniej królowej, wracały wciąż do niego, choć Thor usilnie starał się je od siebie odsunąć. Nowiny, którymi się z nim podzieliła, zabolowały go ponad wszelkie wyobrażenie. Andronicus? Jego ojcem?

To nie było możliwe. Gdzieś w głębi duszy Thor łudził się, że być może poprzednia królowa, która wszak nienawidziła go od pierwszych chwil, prowadziła z nim jakąś okrutną grę. Być może chciała zamącić mu w głowie nieprawdą, by go zaniepokoić, trzymać z dala od swej córki, jakiegokolwiek pobudki ją do tego skłaniały. Thor rozpaczliwie pragnął w to wierzyć.

Tak naprawdę jednak gdy wypowiedziała te słowa, rozeszły się one w każdej cząstce jego ciała i duszy. Wiedział, że to prawda. Choć bardzo chciał myśleć inaczej, w chwili, gdy je wyrzekła, wiedział, że Andronicus naprawdę jest jego ojcem.

Myśl ta ciążyła nad Thorem jak zły sen. Żywił zawsze potajemną nadzieję, iż król MacGil jest jego ojcem, a Gwendolyn jakimś sposobem nie jest jego prawdziwą córką, więc mogą być razem. Thor zawsze łudził się, że w dniu, w którym dowie się, kto jest jego prawdziwym ojcem, wszystko znajdzie się na właściwym miejscu i Thor pojmie swe przeznaczenie.

Dowiedzieć się, że jego ojciec nie jest bohaterem – to jedno. Byłby w stanie przywyknąć do tej myśli. Lecz dowiedzieć się, że jego ojciec jest potworem – najgorszym z potworów – mężczyzną, którego śmierci Thor pragnął bardziej niż czyjejkolwiek innej – z tym nie potrafił się pogodzić. W żyłach

Thora płynęła jego krew. Cóż to mogło znaczyć dla Thora? Czy jemu również przeznaczone było zostać potworem? Czy znaczyło to, iż w jego żyłach czai się takie samo zło? Czy przeznaczone mu było stać się takim, jak on? Czy jednak możliwe było, by stał się inny, mimo tej samej krwi? Czy ojciec przekazuje synowi przeznaczenie w ten sposób? Czy też może każde pokolenie tworzy swe własne przeznaczenie?

Thor nie potrafił także pojąć, co to wszystko oznacza dla Miecza Przeznaczenia. Jeśli legenda jest prawdziwa – tylko MacGil może go podnieść – czy to oznacza, iż Thor jest MacGilem? Jeśli tak, jakże Andronicus mógł być jego ojcem? Chyba że, jakimś sposobem, Andronicus jest MacGilem?

Co gorsza, jak Thor mógł wyjawić te wieści Gwendolyn? Jak mógł jej powiedzieć, że jest synem jej najbardziej znienawidzonego wroga? Mężczyzny, który ją zaatakował? Z pewnością go znienawidzi. Będzie widzieć twarz Andronicusa za każdym razem, gdy spojrzy na Thora. Jednakże musiał jej o tym powiedzieć – nie mógł trzymać tego przed nią w tajemnicy. Czy to zniszczy ich relację?

Krew w żyłach Thora zawrzała z wściekłości. Pragnął zemścić się na Andronicusie za to, że jest jego ojcem, że mu to uczynił. Lecąc, Thor opuścił oczy i omiótł wzrokiem ziemię. Wiedział, że gdzieś tam w dole znajduje się Andronicus. Niebawem spotka się z nim twarzą w twarz. Odnajdzie go. Stanie z nim do walki. I zabije go.

Lecz wpierw musiał odnaleźć Gwendolyn. Gdy mijali Las Południowy, Thor wyczuł, że są blisko. Miał złe przeczucie, że za chwilę przydarzy jej się coś potwornego. Popędził Mycoples, czując, że każda chwila może być jej ostatnią.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gwendolyn stała samotnie na górnym gzymsie Wieży Schronienia, odziana w czarną szatę ofiarowaną jej przez mniszki. Miała wrażenie, że mieszka tam od wieków. Powitano ją w ciszy – przemówiła do niej jedna z mniszek, jej przewodniczka, która odezwała się tylko raz, by przekazać jej zasady panujące w tym miejscu: rozmowy były zakazane, podobnie jak nawiązywanie kontaktu z pozostałymi kobietami. Każda z nich pędziła tu żywot w swym własnym, odosobnionym świecie. Każda chciała, by pozostawiono ją w spokoju. Była to wieża schronienia, miejsce dla tych, które pragnęły odzyskać siły. Gwendolyn wiedziała, że nie spotka jej tu żadne z okropieństw świata. Wiedziała jednak także, że jest sama. Całkiem sama.

Gwendolyn rozumiała postawę pozostałych kobiet aż nazbyt dobrze. Ona także życzyła sobie, by pozostawiono ją w spokoju.

Stała teraz na dachu wieży, omiatając spojrzeniem wierzchołki drzew rozległego Lasu Południowego, i czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek wcześniej. Wiedziała, że powinna być silna, że nie należy do tych, którzy łatwo się poddają. Była córką króla i małżonką – niemal małżonką – wielkiego wojownika.

Gwendolyn musiała przyznać jednak, iż choć starała się jak tylko potrafiła być silna, jej serce i duch wciąż cierpiały. Usychała z tęsknoty za Thorem i lękała się, że nigdy do niej nie powróci. A jeśli powróci, gdy dowie się, co jej się przydarzyło, lękała się, że nie będzie chciał już z nią być.

Gwen odczuwała również pustkę w sercu, wiedząc, iż Silesia

została zniszczona, iż Andronicus zwyciężył i wszyscy, którzy cokolwiek dla niej znaczyli, zostali pojmani lub zabici. Andronicus panoszył się teraz wszędzie. Zagarnął Krąg i nie mieli się już do czego uciec. Gwen straciła nadzieję, czuła się wyczerpana; zdecydowanie zbyt wyczerpana jak na swój wiek. Co gorsza, czuła, że zawiodła wszystkich; czuła, jak gdyby żyła już zbyt wiele razy i nie miała chęci żyć dalej.

Gwendolyn dała krok naprzód, na występ, na sam skraj gzymsu, tam, gdzie nie powinno się wchodzić. Powoli rozpostarła ręce na boki i trzymała je wyciągnięte po bokach. Poczowała zimny podmuch wiatru, mroźnego wiatru zimy. Dmuchał silnie i Gwen zakołysała się nad brzegiem. Spojrzała w dół i pod swymi stopami ujrzała stromy spadek.

Gwendolyn skierowała wzrok ku niebu i pomyślała o Argonie. Zastanawiała się, gdzie jest, uwięziony w swym własnym świecie, odbywając karę z jej powodu. Ileż by oddała, by go teraz ujrzeć, usłyszeć po raz ostatni jego mądre rady. Być może to by ją ocaliło, sprawiło, że zmieniłaby zdanie.

Lecz Argon zniknął. On także płacił za swe czyny i nie mógł powrócić.

Gwen zamknęła oczy i po raz ostatni pomyślała o Thorze. Gdyby tylko tu był, to mogłoby wszystko odmienić. Gdyby pozostała jej choć jedna osoba, która darzy ją prawdziwym uczuciem, być może to skłoniłoby ją, by żyć dalej. Spojrzała w stronę widnokręgu, wbrew rozsądkowi mając nadzieję, iż ujrzy Thora. Gdy wpatrywała się w pędzące po niebie obłoki, zdało jej się niejasno, że gdzieś w oddali usłyszała ryk smoka. Był tak odległy, tak cichy, że pewna była, iż musiało jej się zdawać. To jej wyobraźnia płatała jej figle. Wiedziała, że żaden smok nie mógłby znaleźć się tutaj, w Kręgu. Taką samą pewnością żywiła co do tego, iż Thor był daleko stąd, w Imperium, w miejscu, z

którego nigdy już nie powróci.

Łzy staczały się po policzkach Gwen, gdy myślała o nim, o życiu, jakie mogli wspólnie wieść. O tym, jak bliscy sobie niegdyś byli. Przywołała wspomnienie wyrazu jego twarzy, brzmienie głosu, jego śmiech. Była pewna, że będą nierozłączni, że nic ich nigdy nie rozdzieli.

- THOR! – Gwendolyn odrzuciła w tył głowę i krzyknęła, chwiejąc się na krawędzi. W myślach błagała, by do niej wrócił.

Lecz jej głos rozniósł się echem na wietrze i ucichł. Thor był daleko stąd.

Gwendolyn opuściła dłonie i musnęła palcami amulet, który ofiarował jej Thor, ten, który niegdyś ocalił jej życie. Wiedziała, że wykorzystała swą jedyną szansę. Na więcej nie może liczyć.

Gwendolyn spojrzała w dół, za krawędź gzymsu, i spostrzegła twarz swego ojca. Otaczała go biała poświata. Uśmiechał się do niej.

Pochyliła się naprzód i jedną stopę wyciągnęła za krawędź, zamykając oczy i pozwalając, by lekki wiatr muskał jej twarz. Kołysała się, zawisnąwszy pomiędzy dwoma światami, pomiędzy żywymi a umarłymi. Osiągnęła idealną równowagę i wiedziała, że kolejny podmuch wiatru rozstrzygnie za nią, który kierunek obrać.

Thor, pomyślała. Wybacz mi.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kendrick jechał na czele wielkiej i wciąż rozrastającej się armii MacGilów, silesian i oswobodzonych wieśniaków z Kręgu. Wysypali się przez główne bramy Silesii na szeroki trakt, kierując się na wschód, ku armii Andronicusa. U boku Kendricka jechali Srog, Brom, Atme i Godfrey, a za nimi, wśród tysięcy innych wojowników, Reece, O'Connor, Conven, Elden i Indra. W drodze mijali zwęglone ciała imperialnych żołnierzy, czarne i zeszywniałe od smoczego oddechu; inni legli martwi od klingi Miecza Przeznaczenia. Thor siał ogromne zniszczenie, jak gdyby sam był armią. Kendrick rozważał to wszystko w głowie i był pełen podziwu dla szkód zadanych wrogowi przez Thora, dla siły Mycoples i Miecza Przeznaczenia.

Kendrick nie potrafił się nadziwić obrotowi wydarzeń. Ledwie kilka dni temu wszyscy byli uwięzieni, znajdowali się pod jarzmem Andronicusa i zmuszeni byli przyznać się do klęski; Thor był nadal w Imperium, Miecz Przeznaczenia – nieziszczonym snem – i nie żywili nadziei, że kiedykolwiek stamtąd powrócą. Kendrick i reszta zostali ukrzyżowani i pozostawieni na śmierć, i zdawało się, że wszystko już stracone.

Teraz jednak jechali na swych wierzchowcach jako wolni mężczyźni, na powrót stając się żołnierzami i rycerzami. Przybycie Thora dodało im sił i szala zwycięstwa zdawała przechylać się na ich stronę. Mycoples była darem niebios, potężną bronią spadającą z nieba, Silesia była teraz wolnym miastem, a ziemie Kręgu, miast być wypełnione żołnierzami Imperium, zaśmiecone były ich trupami. Droga prowadząca na

wschód obrzeżona była ciałami imperialnych żołnierzy daleko jak okiem sięgnąć.

Choć to wszystko niezwykle go pokrzepiało, Kendrick wiedział, że pół miliona ludzi Andronicusa czeka po drugiej stronie Pogórza. Odparli ich na jakiś czas, lecz nie wygnali z Kręgu. A Kendricka i pozostałych nie zadowalało siedzenie z założonymi rękoma w Silesii i czekanie, aż Andronicus się przegrupuje i zaatakuje ponownie – nie chcieli także pozwolić im uciec i wrócić do Imperium. Tarcza się podniosła i choć Andronicus nadal dysponował znacznie liczniejszą armią, teraz przynajmniej mieli szansę odnieść zwycięstwo. Teraz to armia Andronicusa się wycofywała, i Kendrick i pozostali zdecydowani byli kontynuować zapoczątkowany przez Thora ciąg zwycięstw.

Kendrick odwrócił się przez ramię ku tysiącom żołnierzy i wolnych mężczyzn jadących z nim i ujrzał na ich twarzach determinację. Wszyscy oni zakosztowali niewolnictwa i porażki i widział, jak droga im była teraz wolność. Nie tylko przez wzgląd na siebie samych, lecz także na swe żony i rodziny. Każdy z nich był rozgoryczony, ośmielony, by zemścić się na Andronicusie i upewnić się, że nie zaatakuje ponownie. Była to armia mężczyzn gotowych walczyć na śmierć i życie, i jechali jak jeden mąż. Wszędzie, gdzie docierali, oswobadzali kolejnych ludzi, rozcinając krępujące ich więzy i zbierając ogromną i cały czas się powiększającą armię.

Kendrick dochodził do siebie po udręce na krzyżu. Nie wróciły mu jeszcze dawne siły, a w nadgarstkach i kostkach, tam, gdzie szorstkie sznury wżynały się w jego ciało, czaił się wciąż nieustający ból. Spojrzał na Sroga, Broma i Atme, których krzyże sąsiadowały z jego, i ujrzał, iż oni także nie odzyskali jeszcze dawnych sił. Ukrzyżowanie odcisnęło piętno na każdym z nich. Jednak mimo tego jechali dumnie, pewnie. Nic nie pomagało

zapomnieć o odniesionych ranach szybciej niż szansa na walkę o życie, szansa na zemstę.

Kendrick nie posiadał się z radości, że jego młodszy brat Reece i pozostali legionieści wrócili z wyprawy i raz jeszcze jadą u jego boku. Smutkiem napełnił go widok rzezi Legionu w Silesii, i ich powrót przyniósł mu nieco ukojenia. Gdy dorastali, jego i Reece'a łączyły zażyłe stosunki, Kendrick ochraniał go, przyjmując rolę drugiego ojca, gdy król MacGil nie miał czasu na ojcowskie obowiązki. W pewien sposób to, że był jego przyrodnim bratem, pozwoliło Kendrickowi zbliżyć się jeszcze bardziej do Reece'a – nie ciążył na nich obowiązek, by być blisko i zbliżyli się do siebie wyłącznie dlatego, że chcieli. Kendrickowi nigdy nie udało się zbliżyć do pozostałych młodszych braci – Godfrey spędzał czas z wykolejeńcami w karczmie, a Gareth – cóż, Gareth był Garethem. Reece jako jedyny z rodzeństwa wybrał pole bitwy, jako jedyny także chciał wieść życie, które wybrał Kendrick. Serce Kendricka wzbierało dumą na myśl o nim.

W przeszłości, gdy Kendrick jechał u boku Reece'a, zawsze go ochraniał, miał na niego baczenie, lecz od jego powrotu Kendrick zauważył, że Reece sam stał się prawdziwym, zahartowanym wojownikiem, i nie odczuwał już potrzeby, by tak bardzo nad nim czuwać. Zastanawiał się, jakie trudności napotkał Reece w Imperium, co przekształciło go w tak zahartowanego i zręcznego wojownika, jakim się stał. Nie mógł się doczekać, by usiąść z nim i wysłuchać jego opowieści.

Kendrick nie posiadał się również z radości, że Thor powrócił, i nie tylko przez wzgląd na to, iż ich oswobodził – także dlatego, iż darzył go sympatią i ogromnym szacunkiem, i troszczył się o niego jak o brata. Kendrick odtwarzał wciąż w pamięci widok Thora powracającego z Mieczem w dłoni. Nie

potrafił się temu nadziwić. Tego widoku nie spodziewał się nigdy ujrzeć; co więcej, nie spodziewał się nigdy ujrzeć, jak *ktokolwiek* unosi Miecz Przeznaczenia, a co dopiero Thor, jego własny giermek, mały, prosty chłopak z rolniczej wsi na peryferiach Kręgu. Pochodzący z zewnątrz. I nawet nie MacGil.

A może się mylił?

Kendrick popadł w zadumę. Powtarzał w myślach słowa legendy: jedynie MacGil może władać Mieczem. W głębi serca Kendrick musiał przyznać, że żywił zawsze nadzieję, iż to on będzie tym, który go podniesie. Żywił nadzieję, iż ostatecznie potwierdzi dzięki temu, że jest prawdziwym MacGilem, pierworodnym. Roił sobie, że jakimś sposobem, jednego dnia okoliczności zezwolą mu podjąć tę próbę.

Nie otrzymał jednakże nigdy tej szansy, i nie zazdrościł Thorowi jego osiągnięcia. Kendrick nie był pożądlivy; wręcz przeciwnie, myślał o przeznaczeniu Thora. Nie pojmował go jednak. Czy legenda nie była prawdziwa? Czy też może Thor był MacGilem? Jakim sposobem? Chyba że Thor również był synem króla MacGila. Kendrick zamyślił się. Nie było tajemnicą, iż jego ojciec chędożył wiele kobiet poza małżeńskim łóżem – w ten sposób on, Kendrick, został poczęty.

Czy to dlatego Thor wypadł tak gwałtownie z komnaty w Silesii po rozmowie z matką? O czym dokładnie mówili? Jego matka nie chciała tego zdradzić. Po raz pierwszy trzymała coś przed nim w tajemnicy, przed nimi wszystkimi. Dlaczego właśnie teraz? Jaką tajemnicę skrywała? Co takiego mogła powiedzieć, co sprawiłoby, że Thor wybiegł tak gwałtownie, nie mówiąc im ani słowa?

Kendrick zamyślił się na temat swego własnego ojca, swego pochodzenia. Choć bardzo chciał, by było inaczej, gorzał w nim ogień na myśl, że pochodził z nieprawego łoża i po raz sam nie

wiedział który zastanowił się, kim była jego prawdziwa matka. Przez całe swe życie słyszał różne pogłoski o różnych kobietach, które chędożył jego ojciec, król MacGil, lecz nigdy nie był pewien. Gdy wszystko się uspokoi – o ile kiedyś to nastąpi – i w Kręgu wszystko będzie jak dawniej, Kendrick postanowił zyskać pewność, kim jest jego matka. Stanąc przed nią. Spytać, dlaczego go porzuciła, dlaczego nigdy nie była częścią jego życia. Jak poznała jego ojca. Naprawdę pragnął jedynie ją poznać, ujrzeć jej twarz – był ciekaw, czy wygląda jak on – i usłyszeć od niej, iż rzeczywiście jest prawowitym synem, jak każdy inny.

Kendrick był rad, iż Thor odleciał, by sprowadzić Gwendolyn, lecz w głębi duszy chciał, by pozostał z nimi. Rzucając się w bitwę niewielkimi siłami naprzeciw dziesiątkom tysięcy ludzi Andronicusa, Kendrick zdawał sobie sprawę, że teraz bardziej niż kiedykolwiek przydaliby im się Thor i Mycoples.

Kendrick jednakże był wojownikiem z krwi i kości i nie zaliczał się do tych, którzy siedzieli spokojnie i czekali na innych, by toczyli jego boje. Miał tego podążał za tym, co podpowiadał mu instynkt: wyruszyć i pokonać tyle armii Imperium, ile mu się uda z jego ludźmi. Nie posiadał specjalnych broni, jak Mycoples czy Miecz Przeznaczenia, lecz miał ręce, te same, których używał, od kiedy był chłopcem. I nigdy nie potrzebował nic więcej.

Wjeżdżali po zboczach wzgórza, a gdy dotarli na jego szczyt, Kendrick rozejrzał się i ujrzał w oddali niewielkie miasto MacGilów, Lucię, pierwsze miasto na wschód od Silesii. Trupy żołnierzy Imperium obrzeżały drogę i najwyraźniej to tutaj kończyły się zniszczenia, które zadał Thor. Na dalekim widnokręgu Kendrick dostrzegł cofający się batalion armii Andronicusa, zmierzający ku wschodowi. Przypuszczał, że

kierują się w stronę głównego obozu, by bezpiecznie skryć się po drugiej stronie Pogórza. Trzon armii cofał się – lecz pozostawił za sobą mniejszy oddział, by bronił Lucii. Kilka tysięcy ludzi Andronicusa stacjonowało w mieście i pełniło przed nim straż. Kendrick widział także mieszkańców miasta, zniewolonych przez żołnierzy.

Kendrick przywołał wspomnienia tego, co spotkało ich w Silesii, jak ich traktowano i jego twarz poczerwieniała z żądy zemsty.

- DO ATAKU! – krzyknął Kendrick.

Uniósł wysoko miecz, a za nim rozbrzmiały ozywione okrzyki tysięcy żołnierzy.

Kendrick pogonił kopniakiem konia i rzucili się w pełnym pędzie, jak jeden mąż, w dół zbocza, kierując się ku Lucii. Dwie armie gotowały się do starcia i choć ich liczby były równe, Kendrick wiedział, że hartem ducha przewyższają przeciwnika. Ten pozostawiony w mieście oddział armii Andronicusa to wycofujący się najeźdźcy, a Kendrick i jego ludzie gotowi byli walczyć na śmierć i życie, by obronić ojczyście ziemie.

Jego okrzyk wojenny wzbił się pod niebiosa, gdy zbliżali się do bram Lucii. Nadjechali tak szybko i niespodziewanie, iż kilka dziesiątek imperialnych strażników odwróciło się i popatrzyło po sobie w zupełnej konsternacji, wyraźnie nie spodziewając się tego ataku. Żołnierze Imperium odwrócili się, zniknęli za bramami i jak szaleńcy poczęli obracać korby, by opuścić broń.

Byli jednak zbyt powolni. Kilku łuczników Kendricka, jadący na przedzie, wystrzeliło i położyło ich. Umiejętnie wypuszczone strzały zatopiły się w ich piersiach i plecach, odnajdując luki w zbroi. Kendrick cisnął włócznią, podobnie jak jadący u jego boku Reece. Kendrick trafił do celu – w ogromnego wojownika naciągającego cięciwę łuku – i niezwykle wrażenie

zrobiło na nim to, że bez najmniejszego trudu Reece trafił do swego celu, przeszywając serce jednego z wojowników. Brama pozostała otwarta i ludzie Kendricka nie wahali się. Przypuścili szarżę z ogromnym okrzykiem bitewnym, mierząc w serce miasta, nie zatrzymując się, by uniknąć potyczki.

Rozległ się głośny szcęk metalu, gdy Kendrick i pozostali unieśli miecze, topory, włócznie i halabardy i zderzyli się z tysiącami żołnierzy Imperium, którzy wyjechali im naprzeciw. Pierwszy z wrogiem zetknął się Kendrick, który uniósł swą tarczę i blokując cios, w tym samym ruchu zamachnął się mieczem i zabił dwóch żołnierzy. Bez chwili zastanowienia obrócił się i zatopił miecz w brzuchu innego przeciwnika po drugiej stronie. Gdy zabijał mężczyznę, Kendrick myślał o zemście; myślał o Gwendolyn, o swoich ludziach, o wszystkich mieszkańcach Kręgu, którzy ucierpieli.

Jadący obok Reece wziął zamach buzdycanem i uderzył jednego z żołnierzy w bok głowy, strącając go z konia, a następnie uniósł tarczę i zablokował cios nadchodzący ku niemu z boku. Uderzył i powalił napastnika buzdycanem. Jadący obok Elden rzucił się naprzód ze swym wielkim toporem i opuścił go na żołnierza, który zamierzał się na Reece'a. Przebił jego tarczę i trafił w pierś.

O'Connor oddał kilka strzałów, które trafiły precyzyjnie do celu nawet z tak niedużej odległości, podczas gdy Conven rzucił się w gęstwą bitwy i ciął zaciekłe, rzucając się przed pozostałych mężczyzn, nie zaprzatając sobie nawet głowy tym, by unieść tarczę. Miał tego siekć mieczem, zmierzając w środek skupiska żołnierzy Imperium, jak gdyby chciał zginąć. Lecz, co zaskakujące, nie stało się tak. Miał tego zadawać śmierć na wszystkie strony.

Indra walczyła nieopodal. Była nieustraszona, dzielniejsza

niż większość mężczyzn. Używała swego sztyletu z wprawą i sprytem, kierując kolejne szeregi i zatapiając ostrze w gardłach żołnierzy Imperium. Myślała wtedy o swych ojczystych ziemiach, o tym, jak wiele jej ludzie wycierpieli, uciśnieni przez Imperium.

Jeden z żołnierzy Imperium zamachnął się toporem na głowę Kendricka, który nie zdążył się uchylić. Przygotował się na cios, lecz usłyszał donośny brzęk i ujrzał swego przyjaciela Atme, który blokował cios tarczą. Atme dobył krótkiej włóczni i zatopił ją w brzuchu napastnika. Kendrick wiedział, iż – po raz kolejny – zawdzięcza przyjacielowi życie.

Gdy zbliżył się do nich kolejny żołnierz, z łukiem i strzałą wymierzoną w Atme, Kendrick rzucił się do przodu i odepchnął mieczem, wytracając mu łuk z rąk, aż poleciał wysoko w niebo, a strzala minęła swój cel i poszybowała nad głową Atme. Następnie Kendrick uderzył rękojeścią miecza w grzbiet nosa żołnierza i strącił go z konia na ziemię, gdzie stratowano go na śmierć. Teraz on ocalił życie Atme.

I tak toczyła się bitwa, dalej i dalej, armie odpierały cios za cios i po obu stronach padali ludzie, lecz więcej po stronie Imperium – ludzie Kendricka miotani szalem parli coraz głębiej w miasto. W końcu rozmach, jakiego nabrali, pchnął ich do przodu jak falę. Imperium miało silnych wojowników, nawykłych jednakże do tego, by atakować. Tym razem zaskoczono ich i nie byli już w stanie zebrać się i powstrzymać naporu armii Kendricka. Zostali odepchnięci i padali coraz liczniej.

Po blisko godzinie zacieklej walki straty Imperium przerodziły się w całkowity odwrót. Po ich stronie rozbrzmiał dźwięk rogu i jeden za drugim zaczęli się odwracać i galopować w przeciwnym kierunku, próbując uciec z miasta.

Z jeszcze głośniejszym krzykiem Kendrick i jego ludzie

puścili się w pogoń za nimi – ścigali ich przez całą Lucię i dalej, gdy wypadli za tylne bramy.

Który żołnierz batalionu – nadal liczącego setki ludzi – pozostał przy życiu, pędził co tchu w pozornym zamięcie ku horyzontowi. Pojmani ludzie MacGila w Lucii wydali z siebie donośny okrzyk, gdy zostali oswobodzeni. Ludzie Kendricka rozcinali liny i oswobadzali ich po drodze, i pojmani nie tracili czasu – dopadali koni poległych żołnierzy Imperium, dosiadali ich, odarłszy wpierw zwłoki z broni, i przyłączali się do wojowników Kendricka.

Armia Kendricka niemal podwoiła swą wielkość i, licząc tysiąc mężów, pędziła za żołnierzami Imperium, jadąc w górę i dół wzniesień. Byli coraz bliżej i O'Connor wraz z innymi łucznikami zdołali położyć niektórych z nich, ich ciała padały tu i tam.

Pościg trwał i Kendrick zastanawiał się, dokąd zmierzają, gdy wraz ze swymi ludźmi dotarł na wyjątkowo wysokie wzniesienie. Gdy spojrzął w dół, ujrzał jedno z największych miast MacGila na wschód od Silesii – Vinesię – skrytą w dolinie i otoczoną z dwu stron górami. Było to solidne miasto, znacznie wspanialsze niż Lucia, o masywnych kamiennych murach i wzmocnionych żelaznych bramach. To tutaj, zdał sobie sprawę Kendrick, uciekały resztki batalionu – miasto chroniły dziesiątki tysięcy ludzi Andronicusa.

Kendrick zatrzymał się wraz ze swymi ludźmi na szczycie wzniesienia i począł rozważać sytuację. Vinesia była sporym miastem, a ludzie Andronicusa przewyższali ich liczebnie. Wiedział, że podjęcie próby niosłoby ze sobą zbyt wielkie ryzyko, że najbezpieczniejszy byłby powrót do Silesii i wdzięczność za zwycięstwo, które odnieśli tego dnia.

Kendrick nie miał jednak ochoty na bezpieczne wybory – ani

jego ludzie. Pragnęli krwi. Pragnęli zemsty. A w dniu takim jak ten szanse nie miały już znaczenia. Nastał czas, by pokazać ludziom Imperium, z czego wykuci są MacGilowie.

- NAPRZÓD! – wrzasnął Kendrick.

Tysiące mężczyzn ruszyły naprzód z krzykiem, szarżując zuchwale w dół zbocza, ku wielkiemu miastu i większemu przeciwnikowi, gotowi oddać życie, zaryzykować wszystko dla honoru i męstwa.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gareth kasłał i rzeził, przemierzając opustoszałe ziemie. Potykał się co rusz, usta miał spękane z braku wody, a pod jego zapadniętymi oczami znajdowały się ciemne kręgi. Kilka ostatnich dni było koszmarem, podczas którego spodziewał się zginąć więcej niż raz.

Gareth cudem umknął ludziom Andronicusa w Silesii, gdzie skrył się w tajemnym przejściu głęboko w ścianie i czekał na właściwy moment. Czekał, zwinięty w ciemności jak szczur. Miał wrażenie, że spędził tam wiele dni. Był świadkiem tego, co się wydarzyło w mieście – nie dowierzając własnym oczom patrzył, jak Thor zjawia się na grzbiecie smoka i zabija wszystkich tych żołnierzy. W powstałym zamęcie Gareth wywęszył swą szansę.

Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, prześlizgnął się przez tylne bramy Silesii i obrał drogę na południe wzdłuż Kanionu, trzymając się głównie lasu, by nie zostać spostrzeżonym. Nie miało to znaczenia – drogi i tak były opustoszałe. Wszyscy wyruszyli na wschód, by walczyć w wielkiej bitwie o Krąg. Idąc, Gareth widział zwęglone ciała ludzi Andronicusa obrzeżające drogę i wiedział, że bitwy tutaj, na południu, zostały już stoczone.

Kierował się coraz dalej na południe, instynktownie zmierzając ku Królewskiemu Dworowi – lub temu, co z niego pozostało. Wiedział, że został splądrowany przez ludzi Andronicusa, że najpewniej znajdzie jego zgliszcza, lecz i tak chciał się tam udać. Pragnął znaleźć się z dala od Silesii, w jedynym miejscu, gdzie – jak wiedział – znajdzie schronienie. Miejscu opuszczonym przez innych. Miejscu, w którym on,

Gareth, był niegdyś najwyższym władcą.

Po dniach wędrówki Gareth, osłabiony, majacząc z głodu, wyłonił się w końcu z lasu i w oddali spostrzegł Królewski Dwór. Trwał tam wciąż, jego mury wciąż stały na miejscu, przynajmniej po części, choć osmalone i rozsypujące się. Wokół leżały zwłoki ludzi Andronicusa – dowód na to, iż był tu Thor. Poza tym nie było tam nikogo, prócz hulającego wiatru.

Odpowiadało to Garethowi. I tak nie zamierzał wkraczać do miasta. Przybył tu, by udać się do niewielkiego, ukrytego zabudowania tuż przed murami. Chadzał tam w dzieciństwie. Był to okrągły, marmurowy budynek, wznoszący się ledwie na kilka stóp nad ziemią, które dach zdobiły misternie rzeźbione posągi. Zawsze sprawiał wrażenie pradawnego – był tak nisko osadzony, że zdawał się wyrastać z czeluści ziemi. I taki był. Była to krypta MacGilów. Miejsce, w którym złożono ciało jego ojca – a przed nim, jego ojca.

Gareth wiedział, że krypta pozostanie nietknięta. Wszak komu zależałoby na zniszczeniu grobowca? Wiedział, że jest to jedyne miejsce, w którym nikt nigdy nie będzie go szukał, gdzie będzie mógł się skryć. Było to miejsce, w którym mógł się schronić, mógł pozostać zupełnie sam. I miejsce, w którym mógł być ze swymi przodkami. Choć Gareth nienawidził swego ojca, ostatnimi dniami z zaskoczeniem zaczął dostrzegać, iż pragnie być bliżej niego.

Gareth przyspieszył kroku, idąc przez puste pola. Zimny podmuch wiatru sprawił, że zadrżał. Okrył się ciaśniej peleryną. Usłyszał piskliwe zawodzenie zimowego ptaka, a gdy spojrzał w górę, ujrzał, że ogromne, okropne czarne ptaszysko zatacza koła wysoko nad nim. Z każdym piskiem z pewnością spodziewało się, że Gareth upadnie i stanie się jego kolejnym posiłkiem. Gareth nie dziwił mu się. Gonił resztkami sił i był przekonany, że

zdawał się temu ptaszysku wyśmienitym posiłkiem.

W końcu dotarł do budynku, obiema dłońmi chwycił masywną żelazną klamkę i szarpnął z całych sił. Świat wokół niego zawirował i Gareth niemal zaczął majaczyć z wycieńczenia. Drzwi zaskrzypiały i musiał użyć resztek sił, by je otworzyć.

Gareth zniknął szybko w ciemności, a żelazne drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem, który poniósł się echem.

Chwycił niezapaloną pochodnię ze ściany, gdzie – jak wiedział – się znajdowała, i rozpałił ją. Zapłonęła wystarczająco jasno, by widział stopnie, po których schodził coraz głębiej i głębiej w mrok. Im niżej schodził, tym bardziej przenikliwy stawał się chłód i tym mocniej dął wiatr. Wicher wdzierał się tu, na dół, przez niewielkie szczeliny. Gareth nie potrafił odegnać uczucia, że to jego przodkowie wyją, potępiając jego uczynki.

- ODEJDŹCIE! – krzyknął do nich.

Jego głos rozniósł się echem, odbiwszy się od ścian krypty.

- NIEBAWEM DOSTANIECIE TO, CZEGO CHCECIE!

Lecz wiatr nie ustawał.

Gareth, rozwścieczony, zszedł niżej, aż dotarł w końcu do wspaniałej, marmurowej komnaty, o wysokich na dziesięć stóp stropach, gdzie wszyscy jego przodkowie leżeli złożeni w marmurowych grobowcach. Gareth przemierzył ponuro komnatę, zmierzając ku samemu jej końcowi, gdzie spoczywał jego ojciec. Jego kroki odbijały się echem od marmurowej posadzki.

Dawny Gareth roztrzaskałby grobowiec ojca. Teraz jednakże – sam nie wiedział, skąd ta zmiana – zaczynał odczuwać z nim pewną więź. Nie potrafił tego pojąć. Być może to wina ulatującego działania opium; a może powodował to fakt, iż wiedział, że on sam także wkrótce umrze.

Gareth dotarł do wysokiego grobowca i pochylił się, opierając na nim głowę. Zaskoczył go widok własnych łez.

- Tęskno mi do ciebie, ojczyźnie – zawodził Gareth. Jego głos odbił się echem w pustce.

Łkał i łkał, i łzy spływały po jego policzkach, aż kolana mu osłabły i osunął się, wycieńczony, opierając się o marmur. Przysiadł, wsparty o nagrobek. Wiatr zawył, jak gdyby w odpowiedzi, i Gareth odłożył na ziemię pochodnię, która płonęła coraz słabiej i słabiej – był to maleńki płomień ginący w mroku. Gareth wiedział, że niebawem wszystko okryje ciemność i dołączy do tych, których darzy największym uczuciem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Steffen kroczył ponuro samotnym leśnym szlakiem, oddalając się z wolna od Wieży Schronienia. Serce mu pękało na myśl, że zostawił tam Gwendolyn, kobietę, którą poprzysiągł chronić. Bez niej był niczym. Od chwili, w której ją poznał czuł, że jego życie wreszcie nabrało sensu – było nim czuwanie nad nią i poświęcenie swych dni, by odwdziaczyć się za to, że pozwoliła mu – jemu, prostemu słudze – piąć się w górę. Nade wszystko jednak wdzięczny był za to, że jako pierwsza osoba w jego życiu Gwendolyn nim nie pogardzała i nie lekceważyła go, oceniając po tym, jak wyglądał.

Steffena przepełniała duma, gdyż pomógł jej bezpiecznie dotrzeć do Wieży. Lecz na myśl o tym, że ją tam pozostawił, odczuwał wewnątrz pustkę. Dokąd się teraz uda? Cóż pocznie?

Gdy nie musiał już jej chronić, jego życie ponownie zdało mu się bezcelowe. Nie mógł wrócić do Królewskiego Dworu ani Silesii: Andronicus podbił obydwa miasta i Steffen przypomniał sobie zniszczenia, jakie widział, gdy zbiegali z Silesii. Spojrzawszy na miasto ostatni raz, ujrzał swych ludzi – jeńców i niewolników. Powrót nie okazałby się rozsądnym rozwiązaniem. Poza tym Steffen nie chciał ponownie przemierzać Kręgu i znaleźć się tak daleko od Gwendolyn.

Steffen błądził bez celu przez wiele godzin, posuwając się krętymi leśnymi ścieżkami, i zbierał myśli. W końcu coś przyszło mu do głowy. Szedł dalej wiejską dróżką na północ, prowadzącej do wzgórza, najwyższego punktu w okolicy, z którego dostrzegł niewielkie miasto wzniesione na szczycie innego wzgórza w

oddali. Ruszył w jego kierunku, a gdy dotarł na górę, obrócił się i upewnił, że osada zapewniała to, co było mu potrzebne: doskonały widok na Wieżę Schronienia. Jeśli Gwendolyn kiedykolwiek postanowi ją opuścić, chciał być w pobliżu, by mieć pewność, że będzie mógł stanąć u jej boku, towarzyszyć jej i ją chronić. Wszak poprzysiągł jej swą lojalność. Nie armii bądź miastu, lecz jej. Była jego narodem.

Gdy Steffen wszedł do niewielkiej, prostej wioseczki, postanowił zostać tam, w miejscu, z którego zawsze będzie mógł obserwować Wieżę i wyglądać Gwendolyn. Gdy przechodził przez jej bramy, ujrzał, że była to nijaka, biedna osada, ot, jedna z maleńkich wiosek na peryferiach Kręgu, tak przysłonięta Lasem Południowym, że ludziom Andronicusa z pewnością nawet nie przyszło na myśl, by się tam zapuścić.

Steffena powitały ciekawskie spojrzenia tuzinów wieśniaków, na twarzach których malowały się ignorancja i brak współczucia. Wpatrywali się w niego z rozdziawionymi buziami i dobrze mu znanymi wzgardą i drwiną, z którymi zmagał się od urodzenia. Czuł na sobie ich szydercze spojrzenia.

Steffen miał chęć odwrócić się i uciec, lecz zmusił się, by tego nie robić. Musiał zostać niedaleko Wieży i przez wzgląd na Gwendolyn przetrzymać wszystko.

Jeden z wieśniaków, krzepki mężczyzna, który przekroczył już czterdziesty rok życia, podobnie jak pozostali mający na sobie łańchmany, obrócił się i ruszył w jego stronę z podłym uśmiechem na twarzy.

- Cóż my tu mamy, coż to za odmieniec?

Pozostali wybuchnęli śmiechem, zwracając się ku nim i podchodząc.

Steffen zachował spokój, spodziewając się takiego powitania – przez całe swe życie nie natykał się na inne. Wiedział

już, że im głębiej na prowincji, tym większą przyjemność ludzie czerpią z wyszydzenia go.

Steffen sięgnął ręką w tył i upewnił się, że łuk znajduje się w gotowości na jego plecach, na wypadek gdyby wieśniacy okazali się nie tylko okrutni, lecz także skorzy do bitki. Wiedział, że gdyby zaszła potrzeba, mógłby położyć kilku z nich szybciej, niż zdążyliby mrugnąć. Lecz nie przybył tu, by walczyć. Szukał tu schronienia.

- A może nie jest tylko zwykłym dziwolągiem, co? – spytał inny, gdy spora i wciąż się powiększająca grupa groźnie wyglądających wieśniaków zacieśniała wokół niego koło.

- Po jego oznaczeniach widać, że nie jest – rzekł inny. – Wygląda mi to na królewską zbroję.

- A ten łuk – to piękna skóra.

- O strzałach nie wspominając. Złote groty, czy tak?

Zatrzymali się ledwie kilka stóp przed nim, łypiąc na niego groźnie spode łbów. Przypominali mu tych, którzy dręczyli go, gdy był dzieckiem.

- Kim więc jesteś, dziwolągu? – spytał jeden z nich, przypatrując mu się.

Steffen wziął głęboki oddech, zdecydowany zachować spokój.

- Nie zamierzam wyrządzić wam krzywdy – zaczął.

Wieśniacy wybuchnęli śmiechem.

- Krzywdy? Ty? Jakąż to krzywdę mógłbyś nam wyrządzić?

- Nie skrzywdziłbyś nawet naszych kurek! – parsknął śmiechem inny.

Steffenowi krew napłynęła do twarzy, gdy tłum roześmiał się głośniejsze, lecz nie pozwolił, by wyprowadzili go z równowagi.

- Szukam miejsca, w którym mógłbym otrzymać nocleg i strawę. Mam nawykłe do pracy ręce i silne plecy. Najmijcie mnie

do pracy, a nie będę się wam naprzykrzał. Nie trzeba mi wiele. Nie więcej niż każdemu innemu człowiekowi.

Steffen pragnął zatracić się ponownie w jakiejś niewdzięcznej pracy, jak przez te wszystkie lata spędzone w czeluściach zamku, w służbie u króla MacGila. Pomogłoby mu to odegnąć myśli, które go dręczyły. Mógłby wykonywać ciężką pracę i żyć nieznany przez nikogo, do czego przywykł, nim poznał Gwendolyn.

- Nazywasz siebie człowiekiem? – zawołał jeden z nich ze śmiechem.

- Może nam się do czegoś przyda – zawołał inny.

Steffen spojrzał na niego z nadzieją.

- Do toczenia bitew z naszymi psami i kurkami!

Wieśniacy wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Zapłaciłbym niezłą sumkę, żeby to zobaczyć!

- Jeśli jeszcze nie spostrzeżliście, w Kręgu toczy się wojna – odrzekł chłodno Steffen. – Jestem przekonany, iż nawet w tak niewielkiej wiosce na prowincji jak ta przyda wam się para rąk, by nie zabrakło zapasów.

Wieśniacy spojrzeli po sobie zbici z pantaląku.

- Oczywiście, że wiemy o wojnie – rzekł. – Lecz nasza wieś jest zbyt mała. Armie się tu nie zapuszczą.

- Nie podoba mi się, jak mówisz – powiedział inny. – Tak wymyślnie? Wygląda mi na to, że dawali ci nauki. Myślisz, żeś lepszy niż my?

- Nie jestem lepszy niż żaden z was – rzekł Steffen.

- To chyba jasne – zaśmiał się inny.

- Dosyć tych żartów! – krzyknął jeden z wieśniaków poważnym głosem.

Postąpił naprzód, rozpychając innych na boki silną dłonią. Był starszy niż pozostali i sprawiał wrażenie poważnego

człowieka. Tłum zamilkł w jego obecności.

- Jeśli rzeczywiście o to ci chodzi – rzekł mężczyzna swym głębokim, szorstkim głosem. – Przyda mi się dodatkowa para rąk w młynie. Płacę workiem zboża i dzbanem wody na dzień. Śpisz w stodole, jak pozostałe chłopaki z wioski. Jeśli przystajesz na te warunki, najmę cię.

Steffen skinął do niego głową, rad, iż wreszcie pojawił się ktoś, kto potraktował go poważnie.

- Nie proszę o nic więcej – powiedział.

- Tędy – rzekł mężczyzna, torując sobie drogę przez tłum.

Steffen podążył za nim i stanął przed ogromnym, drewnianym młynem zbożowym, wokół którego zebrani byli młodzieńcy i mężczyźni. Każdy z nich, zlany potem i pokryty pyłem, stał w błocie i pchał ogromne, ciężkie drewniane koło, chwytając szprychę i idąc z nią naprzód. Steffen zatrzymał się, przyjrzał, na czym polega praca i zrozumiał, że będzie to katorga. W sam raz.

Steffen odwrócił się, by rzec mężczyźnie, że przyjmuje jego propozycję, lecz ten już odszedł, założywszy, że tak będzie. Wieśniacy po rzuceniu kilku ostatnich drwin zajęli się na powrót swymi sprawami, a Steffen spojrział przed siebie, na koło, na nowe życie, które go czekało.

Przez chwilę był słaby, pozwolił sobie marzyć. Roił sobie życie w zamkach, arystokrację i wysoką pozycję. Widział siebie jako ważną osobistość, prawą rękę królowej. Powinien był wiedzieć, że nie powinien folgować swej wyobraźni. Co oczywiste, takie życie nie było mu przeznaczone. Nigdy. To, co mu się przytrafiło, poznanie Gwendolyn, było łutem szczęścia. Teraz jego życie ograniczać się będzie do tego. Lecz było to przynajmniej życie, które znał. Życie, które rozumiał. Życie pełne znoju. A bez Gwendolyn – może to i nawet lepiej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Thor ponaglał Mycoples, gdy mknęli przez chmury, zbliżając się coraz bardziej do Wieży Schronienia. Thor czuł każdą cząstką swego ciała, że Gwen znajduje się w niebezpieczeństwie. Czuł to drżenie w koniuszkach palców u rąk, przebiegało przez całe jego ciało, mówiło mu, *ostrzegalo* go. Szybciej, szeptało mu.

Szybciej.

- Szybciej – ponaglił Thor Mycoples.

Mycoples wydała z siebie w odpowiedzi cichy ryk, uderzając silniej swymi ogromnymi skrzydłami. Thor nie musiał nawet wypowiadać tych słów – Mycoples pojmowała wszystko, jeszcze zanim to wypowiedział – lecz i tak to zrobił. Poczul się dzięki temu lepiej. Czuł się bezradny. Czuł, że coś bardzo złego dzieje się z Gwen i że liczy się każda sekunda.

Przebili się w końcu przez skłębione chmury i wtedy Thora ogarnęła ulga, ujrzał bowiem wznoszącą się w oddali Wieżę Schronienia. Była to budowla pradawna i niesamowita, budząca dziwny niepokój – idealnie okrągła, smukła wieża wyciągająca się ku niebu, niemal sięgająca obłoków. Wzniesiono ją z pradawnego czarnego, błyszczącego kamienia i Thor nawet już tutaj wyczuwał bijącą z niej energię.

Gdy znaleźli się bliżej, nagle dostrzegł coś wysoko na dachu wieży. Był to jakiś człowiek. Stał na krawędzi z rozpostartymi na boki rękoma. Oczy miał przymknięte i kołysał się na wietrze.

Thor natychmiast domyślił się kto to.

Gwendolyn.

Serce zaczęło mu się tłuc w piersi, gdy ją ujrzał. Wiedział, o czym ona myśli. Wiedział też dlaczego. Myślała, że już o nią nie dbał i Thor nie potrafił się pozbyć wrażenia, że to jego wina.

- SZYBCIEJ! – krzyknął.

Mycoples uderzała skrzydłami jeszcze mocniej i lecieli teraz tak szybko, że Thorowi zapierało dech.

Zbliżając się, Thor patrzył jak Gwen robi krok w tył, schodzi z krawędzi i staje z powrotem bezpiecznie na dachu. Jego serce przepełniła ulga. Nawet nie zobaczywszy go, z własnej woli zmieniła zdanie i zdecydowała się nie rzucać.

Mycoples wydała z siebie ryk, a wtedy Gwen podniosła wzrok i po raz pierwszy spostrzegła Thora. Ich spojrzenia się spotkały i nawet z tak dużej odległości Thor widział malujący się na jej twarzy szok.

Mycoples dotknęła dachu i w tej samej chwili Thor zeskoczył z jej grzbietu, nie czekając, aż na nim stanie, i puścił się biegiem w stronę Gwendolyn.

Gwen odwróciła się i wpatrywała w niego oczyma otwartymi w zupełnym zaskoczeniu. Wyglądała, jak gdyby patrzyła na ducha.

Thor biegł ku niej z sercem tłukącym się w piersi, podekscytowany do granic możliwości, i wyciągnął do niej rękę. Padli sobie w objęcia i trzymali się mocno, a Thor podniósł ją i przycisnął do siebie, wirując z nią dokoła.

Thor słyszał, jak Gwen łka mu do ucha, czuł, jak jej gorące łzy spływają po jego karku i ledwie był w stanie uwierzyć, że naprawdę tu jest, że trzyma ją w ramionach. To działało się naprawdę. Był to sen, który widział oczyma duszy, dzień po dniu, noc za nocą, gdy był daleko na ziemiach Imperium, gdy był pewien, że już nigdy nie powróci, że jego oczy już nigdy nie spoczną na Gwendolyn. A oto teraz trzymał ją w objęciach.

Był z dala od niej tak długo, że wszystko w niej zdało mu się nowe. I doskonałe. Poprzysiągł sobie, że już nigdy nie uzna żadnej chwili z nią za rzecz oczywistą.

- Gwendolyn – wyszeptał jej do ucha.

- Thorgrinie – odrzekła szeptem.

Trzymali się w objęciach sam nie wiedział jak długo, po czym powoli rozluźnili uścisk i pocałowali się. Był to namiętny pocałunek i żadne z nich się nie odsunęło.

- Żyjesz – rzekła. – Jesteś tu. Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

Mycoples prychnęła i Gwendolyn podniosła wzrok znad ramienia Thora, a wtedy Mycoples uderzyła raz skrzydłami. Na twarzy Gwen odmalował się lęk.

- Nie lękaj się – rzekł Thor. – Na imię jej Mycoples. To moja przyjaciółka. Zostanie także twoją przyjaciółką. Chodź ze mną.

Thor chwycił dłoń Gwendolyn i poprowadził ją powoli wzdłuż krawędzi dachu. Gdy się zbliżali, wyczuwał jej strach. Nie dziwił się. Był to wszak prawdziwy, żywy smok, a Gwen nigdy nie znajdowała się tak blisko żadnego z tych stworzeń.

Mycoples również wpatrywała się w Gwen swymi ogromnymi, błyszczącymi czerwonymi oczami, prychnając cicho, poruszając skrzydłami i wyginając szyję w łuk. Thor miał wrażenie, że wyczuwa w niej zazdrość. I, być może, ciekawość.

- Mycoples, poznaj Gwendolyn.

Mycoples dumnie odwróciła łeb.

Po czym nagle obróciła się z powrotem i zajrzała Gwendolyn prosto w oczy, jak gdyby chciała przewiercić ją spojrzeniem na wskroś. Pochyliła się, tak blisko, że jej pysk niemal dotykał Gwendolyn.

Gwen wciągnęła gwałtownie powietrze z zaskoczeniem i zachwytem – i być może strachem. Wyciągnęła w górę drżącą

dłoń i położyła ją delikatnie na długich nozdrzach Mycoples, przesuając po fioletowych łuskach.

Po kilku pełnych napięcia sekundach Mycoples w końcu zamrugała, opuściła łeb i potarła nim czule o brzuch Gwen. Mycoples pocierała nosem o jej brzuch, jak gdyby miała na jego punkcie obsesję. Thor nie pojmował dlaczego.

Następnie, równie szybko, Mycoples odwróciła łeb i spojrzała w dal.

- Jest piękna – wyszeptała Gwen.

Odwróciła się i spojrzała na Thora.

- Porzuciłam nadzieję, że kiedykolwiek powrócisz – rzekła.

– Myślałam, że to nigdy nie nastąpi.

- I ja tak myślałem – rzekł Thor. – Myśl o tobie trzymała mnie przy życiu. Dała mi powód, by przeżyć. By powrócić.

Padli sobie znów w ramiona, trzymając się mocno. Muskały ich lekkie podmuchy wiatru. W końcu odsunęli się od siebie.

Gwendolyn spojrzała w dół i spostrzegłszy Miecz Przeznaczenia u biodra Thora otworzyła szeroko oczy. Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Wróciłeś z Mieczem – rzekła, patrząc na niego niedowierzająco. – Ty jesteś tym, który miał go podnieść.

Thor skinął głową w odpowiedzi.

- Lecz jak... - zaczęła, po czym ucichła. Wyraźnie ją to przytłaczało.

- Sam nie wiem – powiedział Thor. – Po prostu byłem w stanie to zrobić.

Otworzyła szerzej oczy, pełna nadziei, gdy dotarło do niej coś jeszcze.

- Zatem Tarcza znów się podniosła – powiedziała z nadzieją w głosie.

Thor z powagą skinął głową.

- Andronicus jest uwięziony – rzekł. – Oswobodziliśmy już Królewski Dwór i Silesię.

Na twarzy Gwendolyn odmalowały się ulga i radość.

- To ty – powiedziała, pojawiaj się. – To ty oswobodziłeś nasze miasta.

Thor skromnie wzruszył ramionami.

- To głównie zasługa Mycoples. I Miecza. Ja tylko im towarzyszyłem.

Gwen rozpromieniła się w uśmiechu.

- A nasi ludzie? Czy są bezpieczni? Czy ktoś przeżył?

Thor skinął głową.

- W większości żyją i mają się dobrze.

Rozpromieniła się w uśmiechu, wyglądając znów na młodszą.

- Kendrick oczekuje cię w Silesii – rzekł Thor. – Podobnie jak Godfrey, Reece, Srog i wielu, wielu innych. Wszyscy oni żyją i mają się dobrze, a miasto jest wolne.

Gwendolyn rzuciła się naprzód i padła Thorowi w objęcia, wtulając się w niego mocno. Czuł, że te wieści przyniosły jej niesamowitą ulgę.

- Myślałam, że wszystko było stracone – rzekła, łkając cicho. – Że zniknęło na zawsze.

Thor pokręcił głową.

- Krąg przetrwał – rzekł. – Andronicus się wycofuje. Powrócimy i pozbędziemy się go na dobre. A później odbudujemy się.

Nagle Gwendolyn odwróciła się do niego plecami i spojrzała w dal, w niebo, ocierając łzę. Owinęła się ciasniej peleryną, a na jej twarzy dostrzegł lęk.

- Nie wiem, czy mogę powrócić – rzekła z wahaniem. – Coś się zdarzyło. Gdy byłeś daleko.

Thor odwrócił się i stanął przed nią, kładąc jej dłonie na ramionach.

- Wiem, co cię spotkało – rzekł. – Twoja matka mi powiedziała. To nie powód do wstydu – powiedział.

Gwendolyn patrzyła na niego. W jej oczach błysnęło zaskoczenie.

- *Wiesz?* – spytała, zszokowana.

Thor potwierdził skinieniem głowy.

- To nic nie znaczy – rzekł. – Kocham cię równie mocno, jak zawsze. Nawet bardziej. Nasza miłość – to się liczy. Tego nie da się zniszczyć. Pomszczę cię. Własnymi rękami zabiję Andronicusa. A nasza miłość nigdy nie umrze.

Gwen pospieszyła naprzód i uściśnęła Thora mocno. Jej łzy spływały mu po karku. Czuł, jak wielka była jej ulga.

- Kocham cię – rzekła mu Gwen do ucha.

- Ja ciebie także kocham – odrzekł.

Gdy Thor stał tak, trzymając ją w objęciach, jego serce nappełniło się trwogą. Pragnął teraz, w tej chwili, bardziej niż kiedykolwiek zadać jej to pytanie. Poprosić o rękę. Czuł jednak, że wprawdzie musi wyjawic jej swój sekret, powiedziec jej, kto jest jego ojcem.

Myśl o tym przepelniła go wstydem i upokorzeniem. Oto stał, poprzysięgłszy przed chwilą, iż uśmierci mężczyznę, którego oboje nienawidzili nade wszystko. Jak mógł w swych kolejnych słowach wyznac, że Andronicus jest jego ojcem?

Thor był przekonany, że gdyby to zrobił, Gwendolyn znienawidziłaby go na zawsze. A nie mógł ryzykować, że ją straci. Nie po wszystkim, co się stało. Darzył ją zbyt wielkim uczuciem.

Miał tego sięgnąć więc drżącymi dłońmi za koszulę i wyjął stamtąd naszyjnik, ten który znalazł wśród skarbów smoka, ze

sznurem utkanym ze złota i błyszczącym złotym sercem, ciężkim od diamentów i rubinów. Wyciągnął go przed siebie, pod światło słoneczne, a Gwen, ujrawszy go, wciągnęła gwałtownie powietrze.

Thor podszedł od tyłu i zapiął naszyjnik na jej szyi.

- Drobną dowód mej miłości i przywiązania – rzekł.

Prezentował się na niej pięknie, a złoto połyskiwało, odbijając na wszystkie strony promienie słońca.

Thor wyczuwał pierścień w kieszeni i poprzysiął ofiarować go jej we właściwej chwili. Gdy zbierze się na odwagę, by wyznać jej prawdę. Lecz nie nastał jeszcze ku temu czas, choć miał nadzieję, że będzie inaczej.

- Jak zatem widzisz, możesz wrócić – rzekł Thor, muskając jej policzek wierzchnią stroną swej dłoni. – *Musisz* wrócić. Twoi ludzie cię potrzebują. Potrzebują przywódcy. Krąg bez przywódcy jest niczym. Czekają, aż ich poprowadzisz. Połowa Kręgu wciąż znajduje się w posiadaniu Andronicusa. Nasze miasta muszą jeszcze zostać odbudowane.

Spojrzał jej w oczy i widział, że rozważa to w myślach.

- Zgódź się – naciskał Thor. – Wróć ze mną. Ta Wieża to nie miejsce, w którym młoda kobieta powinna spędzić resztę swych dni. Krąg cię potrzebuje. *Ja* cię potrzebuję.

Thor wyciągnął dłoń i czekał.

Gwendolyn wbiła wzrok w swe stopy, wahając się.

W końcu wyciągnęła rękę i umieściła swoją dłoń w jego. Jej oczy stawały się coraz jaśniejsze, płonęła w nich miłość i ciepło. Widział, że powoli staje się znów dawną Gwendolyn, którą znał, pełną życia, miłości i radości. Jak gdyby była kwiatem, który na jego oczach ponownie rozkwita.

- Zgadza się – rzekła cicho, uśmiechając się.

Przytulili się i Thor trzymał ją mocno, przysięgając, że już

nigdy nie wypuści jej z objęć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Erec otworzył oczy i ujrzał, że leży w ramionach Alistair. Spojrzał w jej przejrzyste błękitne oczy, promieniejące miłością i ciepłem. W kącikach jej ust igrał uśmiech i Erec czuł bijące z jej dłoni ciepło, które ogarnęło jego ciało. Poruszył się i poczuł się zupełnie zdrów, jak nowo narodzony, jak gdyby nigdy nie zadano mu żadnej rany. Przywróciła go ze świata zmarłych.

Erec, zaskoczony, usiadł i spojrzał w oczy Alistair, zastanawiając się po raz kolejny, kim naprawdę jest, jakim sposobem może nosić w sobie takie moce.

Gdy Erec usiadł i potarł głowę, natychmiast przypomniał sobie: ludzie Andronicusa. Atak. Obrona jaru. Głaz.

Skoczył na równe nogi i ujrzał, że jego ludzie wpatrują się w niego, jak gdyby oczekiwali na jego wskrzeszenie – i rozkazy. Na ich twarzach dostrzegł ulgę.

- Na jak długo straciłem przytomność? – odwrócił się gorączkowo i zapytał Alistair. Dręczyło go poczucie winy, że opuścił swych ludzi na tak długo.

Lecz ona uśmiechnęła się do niego czule.

- Ledwie sekundę – rzekła.

Erec nie pojmował, jak to możliwe. Czuł się tak rześko, jak gdyby spał całe wieki. Gdy się podniósł, spostrzegł, że jego krok jest bardziej sprężysty. Odwrócił się i rzucił ku wejściu do jaru, gdzie ujrzał swe dzieło: ogromny głaz, który roztrzaskał, blokował przejście i ludzie Andronicusa nie mogli już przedostać się na drugą stronę. Dokonał niemożliwego i odparł znacznie większą armię. Przynajmniej na chwilę.

Nim zdążył uradować się ze zwycięstwa, Erec usłyszał nagły krzyk dochodzący z góry i podniósł wzrok: tam, na szczycie urwiska, krzyczał jeden z jego ludzi, który po chwili spadł w tył, obracając się w powietrzu, i legł martwy na ziemi.

Erec spojrział na niego i zobaczył zatopioną w ciele mężczyzny włócznię, następnie podniósł wzrok i ujrzał, że coś się dzieje w górze, usłyszał także dochodzące stamtąd krzyki. Na jego oczach tuziny ludzi Andronicusa pojawiły się na szczycie, walcząc wręcz z ludźmi księcia, cios za cios, i Erec pojął, co się stało: dowódca Imperium podzielił swe siły, posyłając część z nich w jar, a część od razu w górę urwiska.

- NA GÓRĘ! – rozkazał Erec. – WSPINAĆ SIĘ!

Ludzie księcia ruszyli za nim, gdy wbiegał po zboczu z mieczem w dłoni, wdrapując się po stromym spadku, kamieniach i pyłe. Co kilka kroków ześlizgiwał się i wyciągał dłoń, ocierając ją o skały, chwytając się i starając się z całych sił nie spaść. Biegł, lecz ściana była tak stroma, że bardziej wspinał się, niż biegł; każdy krok pokonywał z trudem. Wokół niego rozlegał się zgrzyt zbroi i sapanie i dyszenie mężczyzn, którzy wdrapywali się obok niego po stoku niczym górskie kozice.

- ŁUCZNICY! – krzyknął Erec.

W dole kilka tuzinów łuczników księcia, wspinających się na górę, zatrzymało się i obrało cel na szczycie urwiska. Wypuścili grad strzał i kilku żołnierzy Imperium z krzykiem padło w tył i poleciało w dół zbocza. Jedno z ciał spadało wprost na Ereca; uchylił się i ledwie go uniknął. Jeden z ludzi księcia nie miał jednak tyle szczęścia – spadające zwłoki uderzyły w niego i posłały krzyczącego w tył, na ziemię, gdzie zmiażdżyły na śmierć.

Łucznicy księcia zajęli pozycje w górnych i dolnych częściach zbocza, wypuszczając strzały za każdym razem, gdy

żołnierz Imperium wychylał się za krawędź, by zatrzymać ich na górze.

Lecz na górze trwała zaciekle walka wręcz i nie wszystkie strzały trafiały w swój cel: jedna z nich chybiła, lądując omyłkowo w plecach jednego z ludzi księcia. Żołnierz krzyknął i wygiął się w pałąk. Żołnierz Imperium wykorzystał sposobność i dźgnął mężczyznę, który spadł w dół urwiska, krzyząc. Lecz gdy żołnierz Imperium odsłonił się, inny łucznik zatopił strzałę w jego brzuchu, zabijając go. Jego zwłoki spadły w dół zbocza głową naprzód.

Erec zdwoił swe wysiłki, podobnie jak mężczyźni wokół niego, pędząc co sił w górę urwiska. Gdy zbliżył się do szczytu i był ledwie stopy od niego, poślizgnął się i zaczął się osuwać; zamachał rękoma i jedną dłonią pochwycił gruby korzeń wystający ze skały. Zawisł na nim, trzymając się z całych sił, następnie podciągnął się, odzyskał równowagę i ruszył dalej.

Erec dosięgnął szczytu szybciej niż inni i rzucił się naprzód z okrzykiem bitewnym i uniesionym wysoko mieczem, pragnąc pomóc swym ludziom, którzy utrzymywali pozycje na górze, lecz byli odpierani.

Na górze było ledwie kilka tuzinów ich ludzi i każdy z nich zajęty był walką wręcz z żołnierzami Imperium, których dwóch przypadało na jednego wojownika księcia. Z każdą upływającą sekundą na szczycie pojawiała się coraz więcej żołnierzy Imperium.

Erec walczył jak szaleniec, szarżując i dźgając dwóch żołnierzy jednocześnie, uwalniając swych ludzi. W całym Kręgu nie było nikogo szybszego w bitwie niż on, i z dwoma mieczami w rękach, siekąc na wszystkie strony, Erec korzystał ze swych wyjątkowych umiejętności czempiona Srebrnej Gwardii, by odpierać Imperium. W pojedynkę siał ogromne zniszczenie, gdy

obracał się, robił uniki i siekł, posuwając się coraz głębiej w gęstwą imperialnych żołnierzy. Uchyłał się, uderzał głową i parował, i przesuwał się tak szybko, że zdecydował nie używać swej tarczy.

Erec przedzierał się przez nich jak burza, powalając tuzin żołnierzy tak szybko, iż niemal nie zdążyli się bronić. A wokół niego zebrali się ludzie księcia.

Reszta ludzi księcia dotarła na szczyt, z Brandtem i księciem na czele, i walczyła u boku Ereca. Niebawem szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na ich stronę i teraz to oni odpierali ludzi Imperium, a wokół nich zaczynały się piętrzyć trupy.

Erec rozprawił się z ostatnim żołnierzem Imperium na szczycie, odepchnął go na skraj przepaści, po czym odchylił się i kopniakiem posłał w dół po stronie Imperium. Żołnierz poszybował w dół, krzycząc.

Erec i jego ludzie stali, próbując złapać oddech. Erec postąpił naprzód, na szeroki występ, na sam skraj urwiska po stronie, z której nadeszło Imperium. Pragnął zobaczyć, co znajduje się w dole. Imperium mądrze przestało posyłać mężczyzn w górę, lecz Erec miał złe przeczucie, że mogą mieć jeszcze jakieś rezerwy. Jego ludzie podeszli i zatrzymali się obok niego.

W najdzikszych wyobrażeniach Erec nie widział nic, co przygotowałyby go na ten widok. Jego serce na chwilę przestało bić. Mimo setek ludzi, których udało im się zabić, mimo tego, iż zamknęli jar i stali na szczycie, na dole wciąż kłębiły się dziesiątki tysięcy żołnierzy Imperium.

Erec nie mógł w to uwierzyć. Nie szczydzili wysiłków, by dotrzeć tak daleko, a wszystkie szkody, które wyrządzili, nie nadważyły nawet sił niemającej końca armii Imperium. Będą wciąż posyłali na górę kolejnych mężczyzn. Erec i jego ludzie

mogli zabić kolejne tuziny, może nawet setki. Lecz tysiące w końcu ich pokonają.

Erec czując się bezradny. Po raz pierwszy w życiu wiedział, że za chwilę zginie, tutaj, na tej ziemi, w tym dniu. Nie dało się temu zaradzić. Nie żałował tego. Bronili się heroicznie i jeśli miał umrzeć, nie było na to lepszego sposobu ani miejsca. Chwytał swój miecz, gotując się, i zawahał się jedynie na myśl, czy Alistair jest bezpieczna.

Być może, pomyślał, w przyszłym życiu dane mu będzie spędzić z nią więcej czasu.

- Cóż, nie najgorzej nam szło – dobiegł go głos.

Erec odwrócił się i zobaczył, że obok niego z dłonią na rękojeści miecza, równie pogodzony z losem, stoi Brandt. Tych dwóch stoczyło razem niezliczoną ilość bitew, wiele razy wróg przewyższał ich liczebnie – lecz Erec nigdy nie widział na obliczu przyjaciela tego wyrazu, który ujrzał teraz. Musiał odzwierciedlać jego własny: zwiastował zbliżającą się śmierć.

- Przynajmniej polegniemy z mieczami w dłoni – rzekł książę.

Powiedział dokładnie to, co Erec pomyślał.

W dole żołnierze Imperium, jak gdyby zdawali sobie tego sprawę, spojrzeli w górę. Tysiące zaczęły się zbierać i maszerować równo z dobytą bronią, kierując się w ich stronę. Setki łuczników Imperium przyklękły i Erec wiedział, że to ostatnie sekundy, nim rozpocznie się rozlew krwi. Przygotował się i wziął głęboki oddech.

Nagle gdzieś na niebie, daleko na horyzoncie, rozległ się pisk. Erec podniósł wzrok i rozejrzał się po nieboskłonie, zastanawiając się, czy się przesłyszał. Raz słyszał krzyk smoka i zdało mu się, że tak właśnie brzmiał. Nigdy nie zapomniał tego dźwięku, który usłyszał podczas swego szkolenia, podczas

Rytuału Stu. Nie spodziewał się już nigdy go usłyszeć. To nie było możliwe. Smok? Tutaj, w Kręgu?

Erec wyciągnął szyję i w oddali, w rozpędzanych przez wiatr chmurach ujrzał coś, co wyryte będzie w jego umyśle po kres jego dni: ku nim leciał, uderzając wielkimi skrzydłami, ogromny fioletowy smok o dużych, płonących czerwonych ślepiach. Ten widok przepełnił Ereca strachem większym niż jakakolwiek armia.

Jednak gdy wyteżył wzrok, przerażenie ustąpiło miejsca szokowi. Zdało mu się, że na grzbiecie smoka widzi dwoje ludzi. Zmrużywszy oczy, rozpoznał ich. Czyżby jego oczy płatały mu figle?

Na grzbiecie smoka siedział Thorgrin, a za nim, oplótnięty go w pasie, córka króla MacGila. Gwendolyn.

Nim Erec zdołał się zastanowić nad tym, co widzi, smok zanurkował, spadając ku ziemi jak orzeł. Otworzył paszczę i wydał z siebie przeraźliwy ryk, a był to dźwięk tak przenikliwy, że głąz obok Ereca zaczął pękać. Ziemia zadrżała, gdy smok rzucił się w dół, otworzył paszczę i zionął strumieniem ognia, jakiego Erec nigdy wcześniej nie widział.

Dolina wypełniła się wrzaskami tysięcy żołnierzy Imperium, których pochłaniały kolejne fale ognia. Dolina rozświetliła się płomieniami. Thor kierował smoka po bliższych i dalszych szeregach Andronicusa, w mgnieniu oka ścierając w proch dziesiątki z nich.

Pozostali żołnierze odwrócili się i puścili biegiem ku horyzontowi. Tych Thor również dogonił, każąc smokowi zionąć w nich ogniem.

Po kilku chwilach wszyscy ludzie w dole – mężczyźni, którzy, jak Erec był przekonany, doprowadzą do jego śmierci – sami byli martwi. Nie pozostało z nich nic, jedynie zwęglone

trupy i płomienie, ulatujące dusze. Cały batalion Imperium zniknął.

Erec spojrział w górę, otworzywszy buzię w szoku, i patrzył, jak smok wzbija się wysoko w powietrze, bijąc swymi wielkimi skrzydłami, i przelatuje nad nimi. Kierował się na północ. Gdy ich mijał, wśród jego ludzi rozległy się okrzyki radości.

Erec zaniemówił, pełen podziwu dla brawurowych popisów Thora, jego nieustraszoneści, tego, jak panował nad bestią – i dla siły bestii. Erec otrzymał drugą szansę – on i wszyscy jego ludzie – i po raz pierwszy od dawna był przekonany, że wszystko ułoży się dobrze. Teraz mogą odnieść zwycięstwo. Z bestią jak ta mogą pokonać nawet milionową armię Andronicusa, mogą zwyciężyć.

- Naprzód! – rozkazał Erec.

Był zdecydowany podążać śladem smoka, za wonią siarki, płomieniem na niebie, dokądkolwiek ich to doprowadzi. Thorgrin powrócił i nastał czas, by do niego dołączyć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kendrick przypuszczał szarżę na wierzchovcu otoczony swymi ludźmi, których tysiące zebrały się przed Vinesią, miastem, w którym skrył się batalion Andronicusa. Wysoka, żelazna brona broniła wejścia za bramy miasta. Jego mury były grube, a tysiące ludzi Andronicusa kłębiło się na zewnątrz i wewnątrz. Było ich znacznie więcej niż ludzi Kendricka. Nie mógł już liczyć na to, że ich zaskoczy.

Co gorsza, zza miasta nadciągały z odsieczą kolejne tysiące ludzi Andronicusa, zalewając teren. W chwili, gdy Kendrick już myślał, że mają ich w garści, sytuacja szybko się odwróciła. Teraz armia maszerowała równo, zdyscyplinowana, ku Kendrickowi, gotowa siać zniszczenie.

Innym możliwością był odwrót do Silesii, utrzymanie jej przez jakiś czas, nim Imperium odbierze ją raz jeszcze, nim uczyni ich wszystkich na powrót niewolnikami. A do tego nie mógł dopuścić.

Kendrick nigdy nie cofał się przed starciem – nawet jeśli wróg miał nad nim przewagę liczebną – podobnie jak inni zebrani wokół niego dzielni wojownicy armii MacGila, Silesii i Srebrnych. Oni wszyscy – Kendrick wiedział o tym – będą walczyć z nim na śmierć i życie. Zaciskając dłoń na rękojeści miecza wiedział, że właśnie to czeka ich tego dnia.

Ludzie Imperium wydali z siebie okrzyk bitewny, a ludzie Kendricka odpowiedzieli na niego swoim, głośniejszym.

Gdy Kendrick i jego ludzie pędzili w dół zbocza na spotkanie zbliżającej się armii, wiedząc, że będzie to bitwa, której

nie mogą wygrać, lecz na którą i tak się porwą, ludzie Andronicusa także przyspieszyli i pędzili w ich kierunku. Kendrick czuł, jak wiatr targa mu włosy, rękojeści miecza drży w jego dłoni i wiedział, że to tylko kwestia czasu, nim zniknie w tym ogromnym szczęku metalu, tym ogromnym, dobrze mu znanym rytuale mieczy.

Ku swojemu zaskoczeniu Kendrick usłyszał wysoko nad sobą jakiś pisk; wyciągnął szyję, by spojrzeć w niebo i zobaczył, jak coś wyłania się z chmur, i aż spojrzał ponownie. Już raz to widział – Thora na grzbiecie Mycoples – lecz ten widok wciąż zapierał mu dech w piersi. Tym bardziej, że tym razem leciała z nim Gwendolyn.

Kendrick uradował się, patrząc jak nurkują, i zdał sobie sprawę, co się za chwilę zdarzy. Uśmiechnął się szeroko, uniósł wyżej miecz i ponaglił konia, po raz pierwszy tego dnia zdając sobie sprawę, że to jednak oni zwyciężą.

* * *

Thor i Gwen lecieli na grzbiecie Mycoples, zanurzając się i wynurzając z chmur. Thor ponaglał smoczycę, której ogromne skrzydła biły coraz szybciej i szybciej. Wyczuwając, że Kendrickowi i pozostałym grozi niebezpieczeństwo, gwałtownie dał nura i przebił się przez chmury. Widział rozległe ziemie w dole: wśród pofałdowanych wzgórz Kręgu ujrzał spory oddział Andronicusa, pędzący ku ludziom Kendricka przez puste tereny.

Thor ponaglił Mycoples.

- W dół! – wyszeptał.

Zanurkowała nisko, tak blisko ziemi, że Thor mógł niemal zeskoczyć, po czym otworzyła paszczę i ziała ogniem, którego żar

niemal sparzył Thora. Kolejne fale ognia przetaczały się po ziemi, a wokół rozlegały się krzyki przerażonych żołnierzy Imperium. Mycoples siała zniszczenie, jakiego nigdy nie widzieli, podpalając mile ziem i uśmiercając tysiące ludzi Andronicusa.

Ci, którzy przeżyli, odwrócili się i poczęli uciekać. Thor postanowił pozwolić Kendrickowi i jego ludziom zająć się resztą.

Thor odwrócił się w kierunku miasta i ujrzał kolejne tysiące żołnierzy Imperium za jego murami. Wiedział, że Mycoples nie będzie mogła manewrować na zamkniętym terenie o stromych, wąskich ścianach, a wylądowanie tam będzie zbyt ryzykowne. Thor widział setki żołnierzy naciągających ciężki łuków w stronę nieba i mierzących włóczniami i obawiał się, że z tak bliskiej odległości mogą wyrzucić Mycoples krzywdę. Wcale mu się to nie podobało. Czuł, jak Miecz Przeznaczenia pulsuje w jego dłoni i wiedział, że tę walkę będzie musiał stoczyć sam.

Thor pokierował Mycoples na ziemię przed miastem, przed ogromną żelazną broną.

Gdy stanęła na ziemi, pochylił się i wyszeptał do jej ucha:

- Brama. Spal ją, a ja zajmę się resztą.

Mycoples usiadła i zaskrzeczała w odpowiedzi, buntowniczo uderzając skrzydłami. Wyraźnie chciała zostać z Thorem, walczyć u jego boku za murami miasta. Lecz Thor nie pozwolił jej na to.

- To moja walka – nalegał. – A ty musisz zanieść Gwen w bezpieczne miejsce.

Mycoples zdawała się ustępować. Nagle odchyliła się i zionęła ogniem w żelazną bramę tak długo, aż stopiła się i nie pozostał po niej nawet ślad.

Thor pochylił się do Mycoples.

- Leć! – wyszeptał do niej. – Doprowadź Gwendolyn w bezpieczne miejsce.

Thor zeskoczył z jej grzbietu, czując, jak Miecz Przeznaczenia pulsuje w jego dłoni.

- Thor! – zawołała za nim Gwendolyn.

Lecz Thor pędził już ku stopionym bramom. Usłyszał, jak Mycoples odlatuje i wiedział, że zabiera Gwendolyn w bezpieczne miejsce.

Thor wpadł na dziedziniec, w samo serce miasta, w mrowie tysięcy mężczyzn. Miecz Przeznaczenia drgał w jego dłoni jak żywe stworzenie i sprawiał wrażenie lżejszego niż powietrze. Musiał tylko go trzymać.

Thor poczuł, że jego ręka, nadgarstek i ciało poruszają się i zaczyna sieć i atakować we wszystkich kierunkach. Miecz ze świstem wżynał się w ludzi jak w masło, zabijając tuziny za jednym pociągnięciem. Thor zamachnął się i ciął na wszystkie strony. Z początku Imperium także starało się go atakować; lecz po tym, jak Thor przecinał przez tarcze, przez zbroje, przez inną broń, jak gdyby w ogóle ich tam nie było, gdy zabijał rząd za rządem ludzi, pojęli, z czym przyszło im się zmierzyć: z magicznym wirem zniszczenia, którego nie dało się zatrzymać.

W mieście zrodził się popłoch. Tysiące żołnierzy Imperium odwróciły się i próbowały uciec przed mury, znaleźć się z dala od Thora. Lecz nie było dokąd uciec. Thor, prowadzony mieczem, był zbyt szybki, jak błyskawica rozchodząca się po mieście. Ogarnięci paniką żołnierze wbiegali w mury miasta, w siebie wzajemnie, rzucając się w popłochu ku wyjściu.

Thor nie pozwolił im uciec. Pędem przemierzył każdy zakamarek miasta, a miecz niósł go z prędkością, jakiej wcześniej nie znał. Myśląc o Gwendolyn, i o tym, co uczynił jej Andronicus, zabijał żołnierza za żołnierzem, dokonując zemsty. Nastał czas, by naprawić zło, którym Andronicus nękał Krąg.

Andronicus. Jego ojciec. Myśl ta rozpałała ogień w jego

sercu. Z każdym uderzeniem miecza Thor wyobrażał sobie, że zabija go, niszcząc swe pochodzenie. Pragnął być kimś innym, *pochodzić* od kogoś innego. Pragnął ojca, z którego mógłby być dumny. Każdego, byle nie Andronicusa. A jeśli zabije wystarczająco wielu tych mężczyzn, być może, łudził się, uwolni się od niego.

Thor walczył półprzytomnie, obracając się w każdą stronę, aż w końcu zdał sobie sprawę, że ciął powietrze. Rozejrzał się i ujrzał, że każdy żołnierz, każdy spośród tysięcy ludzi Andronicusa leży martwy na ziemi. Miasto przepełnione było trupami. Nie było już kogo zabijać.

Thor stał sam na placu miasta, dysząc ciężko. Od Miecza w jego dłoni biła poświata. Nikt się nie poruszał.

Thor usłyszał odległe wiwaty; otrząsnął się, wybiegł za bramy miasta i w oddali ujrzał ludzi Kendricka, szarżujących za pozostałymi żołnierzami, odpierając ich dalej.

Gdy Thor puścił się biegiem przez bramy miasta, Mycoples ujrzała go i obniżyła lot, czekając na niego z Gwendolyn na grzbiecie. Thor wsiadł na smoczycę i raz jeszcze wzbili się w powietrze.

Lecieli nad armią Kendricka i spojrzawszy w dół Thor spostrzegł, że wyglądają jak mrówki. Wznosili zwycięskie okrzyki, gdy ich mijał. W końcu znaleźli się przed armią Kendricka, przed ogromnym kłębowiskiem ludzi, koni i pyłu. Przed nimi znajdowały się rozproszone resztki legionów Andronicusa.

- W dół – wyszeptał Thor.

Zanurkowali i zbliżyli się do jadących na tyle ludzi Andronicusa, a wtedy Mycoples zionęła ogniem, zabijając rząd za rzędem, tworząc ogromną, powiększającą się ścianę ognia. Rozległy się krzyki i Thor szybko unicestwił całą tylną straż.

W końcu nie było już kogo zabijać.

Lecieli dalej, przekraczając rozległe równiny. Thor chciał się upewnić, że żaden z wrogów nie pozostał przy życiu. W oddali dostrzegł ogromny łańcuch gór, Pogórze, oddzielający wschód od zachodu. Na tym terenie, aż do Pogórza, nie było ani jednego żołnierza Imperium. Thor ucieszył się.

Całe Zachodnie Królestwo Kręgu zostało oswobodzone. Starczy zabijania na jeden dzień. Słońce poczęło chylić się ku zachodowi i cokolwiek leżało przed nimi, po wschodniej stronie Pogórza, mogło tam na razie pozostać.

Thor zatoczył koło i ruszył z powrotem w kierunku Kendricka. Ziemia płynęła pod nim szybko i niebawem usłyszał krzyki i wiwaty patrzących w niebo mężczyzn, wykrzykujących jego imię.

Wylądował przed armią, zsiadł i pomógł Gwendolyn zejść.

Ogromna grupa zebrała się wokół nich i wszyscy spieszyli naprzód, by ich objąć. Rozlegały się donośne okrzyki zwycięstwa, a żołnierze napierali zewsząd. Kendrick, Godfrey, Reece i jego inni bracia legionieści, Srebrni – wszyscy, których Thor znał i o których dbał spieszyli, by objąć jego i Gwendolyn.

W końcu wszyscy byli znów razem. W końcu byli wolni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Andronicus przemierzał obóz gwałtownym krokiem i, miotany wściekłością impulsywnie wyciągnął swe długie szpony i oderwał głowę młodego żołnierza, który miał nieszczęście stać w pobliżu. Maszerując, Andronicus pozbawiał głów jednego żołnierza po drugim, aż w końcu jego ludzie pojęli i zaczęli się cofać, by przypadkiem nie znaleźć się blisko niego. Wiedzieli, że nie powinni zbliżać się do niego, gdy był w takim nastroju.

Rozstępowali się na boki, gdy Andronicus przemierzał gwałtownie obóz liczący dziesiątki tysięcy żołnierzy, wszyscy trzymali się na bezpieczną odległość. Nawet jego generałowie trzymali się z daleka, podążając za nim, wiedząc, że lepiej się nie zbliżać, kiedy jest tak rozdrażniony jak teraz.

Porażka to jedno. Lecz porażka taka jak ta – nic takiego nie zdarzyło się wcześniej w całej historii Imperium. Andronicus nigdy wcześniej nie doświadczył porażki. Jego życie było jednym długim pasmem zwycięstw, a każde kolejne było bardziej brutalne i satysfakcjonujące niż poprzednie. Nie znał smaku porażki. Teraz go poznał. I nie był nim zachwycony.

Andronicus raz po raz przetrząsał w myślach to, co się wydarzyło, zastanawiał się, jakim sposobem sprawy przybrały tak niepomyślny obrót. Ledwie wczoraj zdawało mu się, że jego zwycięstwo jest całkowite, że Krąg należy do niego. Zniszczył Królewski Dwór i podbił Silesię; ujarzmił wszystkich MacGilów i poniżył ich przywódczynię, Gwendolyn; zadawał mękę ich najświetniejszym żołnierzom na krzyżach, zamordował już Kolka i miał zamiar dobić Kendricka i pozostałych. Argon wmieszał się

w jego sprawy, wyrwał mu z rąk Gwendolyn nim zdążył ją zabić i Andronicus zamierzał to naprawić, sprowadzić ją z powrotem i zabić wraz z innymi. Jeszcze dzień, a osiągnąłby całkowite zwycięstwo i świętość.

I wtedy wszystko zmieniło się – i to tak szybko – na gorsze. Thor i smok pojawili się na widnokręgu jak upiory, spadli na nich nagle i płomieniami i Mieczem Przeznaczenia zdołali zmieść całe oddziały jego ludzi. Andronicus obserwował to wszystko z bezpiecznej odległości; miał dobry zmysł bitewny i zarządził odwrót tutaj, na tę część Pogórza, podczas gdy jego zwiadowcy przez cały dzień przynosili mu raporty, informując, jakie zniszczenia wyrządza Thor i smok. Na południu, nieopodal Savarii, zmiotli cały batalion; w Królewskim Dworze i Silesii sprawy przedstawiały się równie źle. Teraz całe Zachodnie Królestwo Kręgu, wcześniej pod jego panowaniem, zostało oswobodzone. Było to nie do pomyślenia.

Wrzało w nim na myśl o Mieczu Przeznaczenia. Uciekł się do takich środków, by pozbyć się go z Kręgu, a oto znów go tu sprowadzono i Tarcza na powrót się podniosła. To oznaczało, że był uwięziony w Kręgu z tymi ludźmi, których tu miał; mógł się stąd wydostać, a jakże, lecz nie mógł sprowadzić więcej oddziałów. Szacował, że wciąż miał jakieś pół miliona żołnierzy tutaj, po tej stronie Pogórza – więcej niż potrzebował, by zyskać przewagę liczebną nad MacGilami. Jednakże w starciu z Thorem, Mieczem Przeznaczenia i tym smokiem liczby nie miały już znaczenia. Teraz, jak na ironię, szczęście uśmiechnęło się do przeciwnika. Nigdy wcześniej nie znalazł się w takiej sytuacji.

Jak gdyby sprawy nie mogły przybrać bardziej niepomyślnego obrotu, jego szpiedzy donieśli mu, że sytuacja na jego ziemiach, w stolicy Imperium, nie jest stabilna, że Romulus spiskuje, by odebrać mu tron.

Andronicus wydawał wściekle pomruki, gdy gwałtownym krokiem przemierzał obóz, rozważając swe możliwości, szukając kogoś – kogokolwiek – kogo mógłby za to wszystko obwinić. Jako dowódca wiedział, że najmądrzejszą decyzją taktyczną byłby odwrót i opuszczenie Kręgu już teraz, nim Thor i smok ich odnajdą. Zdołałby ocalić te siły, które mu pozostały, wejść na okręty, wrócić do Imperium okryty hańbą i dopilnować, by nikt nie odebrał mu tronu. Krąg był wszak jedynie pyłkiem pośród ogromnych połaci Imperium, a każdemu wielkiemu dowódcy raz może powinąć się noga. Panowałby wciąż nad dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami świata i wiedział, że to powinno go zadowalać.

Lecz nie tak postępował Wielki Andronicus. Andronicus nie należał ani do roztropnych, ani do zadowolonych. Zawsze podążał za swymi namiętnościami i choć wiedział, że podejmuje ogromne ryzyko, nie był gotów na to, by opuścić to miejsce, by przyznać się do klęski, by pozwolić Kręgowi wyslizgnąć mu się z rąk. Nawet gdyby musiał poświęcić całe swe Imperium, znajdzie sposób, by zmiażdżyć i zdominować to miejsce. Bez względu na środki.

Andronicus nie potrafił kontrolować smoka ani Miecza Przeznaczenia. Lecz Thorgrin... to zupełnie co innego. Jego syn.

Andronicus zatrzymał się i westchnął, rozważając to w myślach. Cóż za ironia: jego własny syn jako ostatni stoi mu na drodze ku dominacji nad światem. W jakiś sposób zdało mu się to właściwe. Nieuniknione. Wiedział, że to najbliżsi ludzie zawsze krzywdzą najbardziej.

Przywołał w myślach przepowiednię. Oczywiście pozwolenie na to, by jego syn żył, było błędem. Ogromnym błędem, jaki popełnił. Jednak miał do niego słabość, mimo tego, iż wiedział, że według przepowiedni może on doprowadzić do

jego upadku. Pozwolił Thorowi żyć i teraz musiał za to zapłacić.

Andronicus szedł dalej przez obóz, a jego oficerowie podążali za nim. Dotarł w końcu na jego obrzeża i stanął przed namiotem mniejszym niż pozostałe, jedynym szkarłatnym namiotem w morzu czerni i złota. Tylko jeden człowiek miał czelność posiadać namiot innej barwy, jedyny człowiek, którego bali się jego ludzie.

Rafi.

Czarnoksiężnik Andronicusa, najnikczemniejsza istota, jaką kiedykolwiek spotkał. Rafi doradzał mu na każdym kroku, chronił go swą złą energią, bardziej niż ktokolwiek inny odpowiadał za pozycję, jaką osiągnął Andronicus. Andronicusowi nie podobało się to, że musiał zwracać się do niego teraz, przyznawać się, jak bardzo był mu potrzebny. Jednak gdy napotykał przeszkodę nie z tego świata, rzecz magiczną, zwracał się zawsze do Rafiego.

Gdy zbliżył się do namiotu, napotkał spojrzenie dwóch niegodziwych istot, osłoniętych szkarłatnymi pelerynami, których żółte ślepia świeciły w głębi kapturów. Były to jedyne stworzenia w całym obozie, które ośmielały się nie kłaniać się w jego obecności.

- Przyzywam Rafiego – oznajmił Andronicus.

Istoty, nie obracając się, wyciągnęły ręce i odchyliły połę namiotu.

Z jego wnętrza wydobył się odór tak przeraźliwy, że Andronicus aż się wzdrygnął.

Nastąpiła długa chwila oczekiwania. Wszyscy generałowie za Andronicusem zatrzymali się i przypatrywali w nerwowym oczekiwaniu, podobnie jak cały obóz – wszyscy odwrócili się, by popatrzeć. W obozie zaległa gęsta cisza.

W końcu z wnętrza szkarłatnego namiotu wyłoniła się

wysoka i chuda postać, dwukrotnie wyższa od Andronicusa, chuda jak gałąź drzewa oliwnego, ubrana w ciemnoszkarłatne szaty, której twarz ginęła gdzieś w ciemności pod kapturem.

Rafi stanął przed nim i Andronicus widział jedynie nieruchome spojrzenie utkwione w jego twarzy, jego żółte oczy, osadzone w zbyt bladym ciele.

Pełna napięcia cisza trwała.

W końcu Andronicus postąpił naprzód.

- Chcę, by Thorgrin zginął – rzekł Andronicus.

Po długiej ciszy Rafi zachichotał. Był to głęboki, niepokojący dźwięk.

- Ojcowie i synowie – rzekł. – Zawsze to samo.

Andronicus trawiła niecierpliwość.

- Potrafisz mi pomóc? – zapytał z naciskiem.

Rafi stał długo w milczeniu, wystarczająco długo, by Andronicus zaczął rozważać, czyby go nie ukatrupić. Wiedział jednak, że byłoby to nierozważne posunięcie. Raz, w napadzie gniewu, Andronicus popędliwie usiłował go dźgnąć i jego miecz stopił się w powietrzu, w jego dłoni. Rękojeść sparzyła mu dłoń; ręka wracała do zdrowia przez długie miesiące.

Andronicus stał więc, zacisnąwszy zęby, i znosił ciszę.

W końcu spod kaptura Rafiego dobiegło mruczenie.

- Energie, które otaczają chłopca, są bardzo silne – rzekł Rafi powoli. – Lecz każdy ma jakąś słabość. On wzbił się magią. I magią można go pokonać.

Andronicus, zaintrygowany, dał krok naprzód.

- O jakiej magii mówisz?

Rafi zawahał się.

- Takiej, z jaką nigdy jeszcze nie miałeś do czynienia – odparł. – Tej przeznaczonej jedynie dla istot takich jak Thor. Jest twym potomkiem, lecz także czymś więcej. Jest potężniejszy

nawet niż ty. Jeśli dożyje tego dnia.

Andronicus zagotował się ze złości.

- Powiedz mi, jak go pojmać – rzekł gorączkowo.

Rafi potrząsnął głową.

- To zawsze było twoją słabością – powiedział. – Chcesz go pojmać, lecz nie zabić.

- Wpierw go pojmem – poprawił go Andronicus. – A następnie zabiję. Istnieje sposób, by tego dokonać, czy nie?

Znow nastąpiła długa cisza.

- Owszem, istnieje sposób, by pozbawić go jego mocy – rzekł Rafi. – Jeśli odbierze mu się jego cenny Miecz i smoka, będzie tylko zwykłym chłopcem.

- Pokaż mi, jak tego dokonać – polecił Andronicus.

Nastąpiła długa cisza.

- Będziesz musiał za to zapłacić – odrzekł w końcu Rafi.

- Cokolwiek – rzekł Andronicus. – Oddam ci cokolwiek.

Rozległ się przeciągły, mroczny śmiech.

- Myślę, że nadejdzie dzień, w którym będziesz tego żałował – odrzekł Rafi. – Bardzo, bardzo żałował.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Romulus maszerował drogą misternie ułożoną ze złotych bloków, prowadzącą do Volusii, stolicy Imperium. Żołnierze odziani w swe najświetniejsze zbroje stawali na baczność, gdy ich mijał. Romulus kroczył na czele swej armii, z której pozostało ledwie kilka setek żołnierzy, zniechęconych i posępnych po potyczce ze smokami.

Romulus płonął z gniewu. Wracął okryty hańbą. Przez całe swe życie powracał zwycięsko, jak bohater; teraz wracał w ciszy, okryty wstydem, prowadząc za sobą, miast trofeów i jeńców, żołnierzy, którzy ponieśli klęskę.

Spalało go to od wewnątrz. Niemądre było z jego strony zapuszczanie się tak daleko w pogoni za Mieczem i porwanie się na walkę ze smokami. Pozwolił, by rządziło nim jego wysokie mniemanie o sobie; powinien był wiedzieć, by tak nie postępować. Poszczyściło mu się, że w ogóle udało mu się uciec, nie wspominając nawet o tym, że część jego ludzi przeżyła. Wciąż słyszał ich krzyki, czuł swąd ich zwęglonych ciał.

Jego ludzie usłuchali go i walczyli dzielnie, idąc na śmierć z jego rozkazu. Lecz gdy na jego oczach tysiące skurczyły się do kilku setek, wiedział, że czas się wycofać. Zarządził nagły odwrót i jego pozostałe siły wślizgnęły się do tuneli, gdzie schroniły się przed smoczym oddechem. Trzymali się podziemi i przebyli całą drogę do stolicy pieszo.

A teraz byli tutaj, maszerowali przez wznoszące się na setki stóp ku niebu bramy miasta. Weszli do legendarnego miasta, wzniesionego w całości ze złota, w którym roiły się tysiące

żołnierzy Imperium, maszerujące w formacjach i ustawione wzdłuż ulic, stające na baczność, gdy ich mijał. Wszak, skoro nie było tu Andronicusa, to Romulus *de facto* władał Imperium i był najbardziej poważanym spośród wszystkich wojowników. Przynajmniej wcześniej, przed swą niedawną przegraną. Teraz, po ich porażce, nie wiedział, jak ludzie będą na niego patrzeć.

Porażka nie mogła się zdarzyć w mniej dogodnej chwili. Romulus gotował swój zamach, gotował się do objęcia władzy i odsunięcia od niej Andronicusa. Gdy kluczył uliczkami tego misternie zbudowanego miasta, mijając fontanny, starannie ułożone ścieżki w ogrodach, sługi i niewolników, rozmyślał o tym, że miał powrócić z Mieczem Przeznaczenia w dłoni, jak to sobie wyobrażał, z mocą większą niż kiedykolwiek posiadał, powracał osłabiony. Teraz, miał objąć władzę, która słusznie mu się należy, zmuszony będzie przeprosić przed Radą i mieć nadzieję, że nie utraci swej pozycji.

Wielka Rada. Na samą myśl skręcało go w środku. Romulus nie należał do tych, którzy odpowiadaliby przed kimkolwiek, nie wspominając już o radzie utworzonej z mieszkańców Imperium, którzy nigdy nie dzierżyli w dłoni miecza. Każda z dwunastu prowincji Imperium posyłała dwóch przedstawicieli, co dawało łącznie dwa tuziny przywódców z każdego zakątka Imperium. W teorii to oni zarządzili Imperium; w rzeczywistości jednak Andronicus władał, jak mu się podobało, a Rada robiła, co im mówił.

Jednak gdy Andronicus wyruszył do Kręgu, powierzył w ręce Rady więcej władzy niż kiedykolwiek wcześniej; Romulus przypuszczał, iż Andronicus uczynił to dla ochrony własnej i ktoś pilnował Romulusa, by upewnić się, że jego tron będzie na niego czekał, gdy powróci. To posunięcie rozzuchwaliło Radę; zachowywali się teraz, jak gdyby naprawdę sprawowali władzę

nad Romulusem. I na tę chwilę Romulus musiał ścierpieć upokorzenie odpowiadania przed tymi ludźmi. Wszystkich osobiście wybrał Andronicus, byli to jego poplecznicy, ludzie, których tam umieścił, by upewnić się, że nic nie zagrazi jego tronowi. Rada miała się wszelkich sposobów, by wzmacniać pozycję Andronicusa i osłabiać każdego, kto mu zagrażał – zwłaszcza Romulusa. A porażka Romulusa stanowiła po temu świetny pretekst.

Romulus dotarł do błyszczącego kapitolu – ogromnego, czarnego, okrągłego budynku, który wznosił się wysoko ku niebu, otoczonego złotymi kolumnami, o błyszczącej złotej kopule. Powiewał na niej sztandar Imperium, a nad drzwiami znajdowało się godło – złoty lew z orłem w paszczy.

Gdy Romulus pokonywał setkę złotych schodów, jego ludzie zatrzymali się na placu. Ruszył samotnie ku wrotom kapitolu, pokonując po trzy stopnie naraz. Jego broń obijała się ze zgrzytem o zbroję.

By otworzyć masywne wrota u szczytu schodów, trzeba było tuzina sług. Ich skrzydła wznosiły się na pięćdziesiąt stóp i wykonane były z błyszczącego złota usianego czarnymi punktami, na których odcisnięta była pieczęć Imperium. Rozwarli je na oścież i Romulus poczuł gwałtowny, zimny podmuch wiatru, który uniósł włoski na jego ciele, gdy wchodził do słabo oświetlonego wnętrza. Ogromne wrota zamknęły się za nim i poczuł, jak zawsze gdy wchodził do tego budynku, jak gdyby składano go do grobu.

Romulus szedł po marmurowej podłodze, zaciskając szczęki. Odgłos jego ciężkich butów odbijał się echem. Chciał już mieć z głowy to spotkanie i zająć się ważniejszymi sprawami. Doszły go pogłoski o fantastycznej broni, tuż przed tym, jak się tu zjawiał, i chciał się dowiedzieć, czy to prawda. Jeśli tak, to zmieni

wszystko, odwróci bieg wydarzeń na jego korzyść. Jeśli naprawdę istnieje, to wszystko – Andronicus, Rada – nie miałyby już dla niego żadnego znaczenia. Całe Imperium byłoby wreszcie naprawdę jego. Myśl o tej broni była jedyną rzeczą, która sprawiała, że Romulus pokonywał pewnie kolejne stopnie i jeszcze jedne wielkie drzwi, po czym wszedł do okrągłego pomieszczenia, w którym obradowała Wielka Rada.

We wnętrzu tej ogromnej sali znajdował się okrągły, czarny stół z otworem pośrodku i wąskim przejściem dla jednej osoby. Wokół niego siedzieli przedstawiciele Rady o srogich obliczach, dwadzieścia cztery czarne szaty. Wszyscy mieli siwiejące rogi i szkarłatne oczy, ociekające czerwienią pod wpływem lat. Romulus czuł się upokorzony, musząc stanąć przed nimi, musząc precyzyjnie przejść przez wąskie przejście i stanąć pośrodku stołu, być otoczonym ludźmi, do których musiał się zwrócić. Upokarzające było to, że musiał odwracać się we wszystkie strony, by do nich mówić. Sala i ten stół celowo zostały zaprojektowane w ten sposób, była to kolejna zagrywka Andronicusa, by zastraszać innych.

Romulus stał pośrodku pomieszczenia w ciszy przez sam nie wiedział jak długo, gotując się ze złości. Nęciło go, by wyjść, lecz powstrzymał się.

- Romulus z Legionu Octakin – zaanonsował oficjalnie jeden z członków Rady.

Romulus obrócił się i ujrzał kościstego, starszego członka rady o zapadniętych policzkach i przyprószonych siwizną włosach, wpatrującego się w niego szkarłatnymi oczyma. Ten mężczyzna był popiecznikiem Andronicusa i Romulus wiedział, że zrobi wszystko, by zaspokoić pragnienia Andronicusa.

Starzec odchrząknął.

- Powróciłeś do Volusii okryty hańbą, poniósłszy porażkę.

Nie brak ci śmiałości, skoro się tu pokazujesz.

- Stałeś się nieostrożnym i prędkim dowódcą – rzekł inny.

Romulus obrócił się i ujrzał wpatrujące się w niego pełne wzgardy oczy po drugiej stronie kręgu.

- Straciłeś tysiące naszych ludzi w bezowocnych poszukiwaniach Miecza, w twojej nierozważnej potyczce ze smokami. Zawiodłeś Andronicusa i Imperium. Co rzekniesz na swą obronę?

Romulus wpatrywał się w niego wyzywająco.

- Nie żałuję swych czynów – rzekł. – Odzyskanie Miecza było ważkie dla Imperium.

Inny starzec nachylił się.

- Lecz *nie* odzyskałeś go, czy tak?

Krew napłynęła Romulusowi do twarzy. Ukatrupiłby tego człowieka, gdyby tylko mógł.

- Niemal odzyskałem – odrzekł w końcu.

- *Niemal* nic nie znaczy.

- Napotkaliśmy niespodziewane przeszkody.

- Smoki? – zauważył jeden z członków rady.

Romulus zwrócił się ku niemu.

- Jak można być tak nierozważnym? – rzekł członek rady. – Naprawdę sądziłeś, że uda ci się je zwyciężyć?

Romulus odchrząknął. Wzbierał w nim gniew.

- Nie. Mym celem nie było zabicie smoków. Było nim odzyskanie Miecza.

- Jak już wspomniałem, w tej kwestii także ci się nie powiodło.

- Co gorsza – rzekł inny. – Nastawiłeś smoki przeciwko nam. Z całego Imperium napływają raporty o ich atakach. Rozpętałeś wojnę, której nie jesteśmy w stanie wygrać. To ogromna strata dla Imperium.

Romulus nie próbował już odpowiadać; wiedział, że doprowadzi to jedynie do kolejnych oskarżeń i pretensji. Wszak byli to ludzie Andronicusa i kierowały nimi inne pobudki.

- Ogromna szkoda, iż nie ma tu wielkiego Andronicusa, by we własnej osobie cię wychłostał – rzekł inny członek rady. – Jestem przekonany, iż nie pozwoliliby ci przeżyć tego dnia.

Odchrząknął i oparł się o krzesło.

- Lecz skoro go tu nie ma, musimy czekać na jego powrót. Teraz rozkażesz armii wysłać legiony okrętów, by wspomóc Wielkiego Andronicusa w Kręgu. A jeśli chodzi o ciebie, zostaniesz zdegradowany, pozbawiony oręża i stopnia. Nie opuszczaj baraków i oczekuj naszych dalszych rozkazów.

Romulus wgąbił się w niego, nie dowierzając.

- Powinno cię ucieszyć, iż nie zabijamy cię na miejscu. A teraz odejść – rzekł inny członek rady.

Romulus zacisnął pięści. Spurpurowiał i zmierzył spojrzeniem każdego z członków rady. Poprzysiągł w duchu, że zabije każdego z nich. Lecz rzekł sobie, że musi się z tym wstrzymać, że jeszcze nie czas. Mógłby zyskać trochę zadowolenia z zabicia ich teraz, lecz nie pomogłoby mu to osiągnąć jego ostatecznego celu.

Romulus obrócił się i wypadł z sali. Jego kroki odbijały się echem, gdy wychodził przez otwarte drzwi, które zaraz za nim zamknięto.

Romulus wymaszerował z budynku kapitolu i ruszył w dół setki złotych schodów, ku oczekującym go żołnierzom. Odwrócił się do swego zastępcy.

- Panie – rzekł generał, pochylając się nisko. – Jakie są twoje rozkazy?

Romulus wpatrywał się w niego, myśląc. Nie mógł, rzecz zrozumiała, wykonać rozkazów Rady; wręcz przeciwnie, nastał

czas, by się im sprzeciwić.

- Rada rozkazała, by wszystkie okręty Imperium powróciły natychmiast do naszych brzegów.

Generał rozwarł szeroko oczy.

- Panie, lecz wtedy Wielki Andronicus pozostanie w Kręgu bez możliwości powrotu do Imperium.

Romulus odwrócił się i spojrzał na niego przeciągle, chłodno.

- Nigdy nie kwestionuj mych rozkazów – odrzekł głosem zimnym jak lód.

Generał skłonił się.

- Oczywiście, panie. Proszę o wybaczenie.

Dowódca odwrócił się i odszedł szybkim krokiem, i Romulus wiedział, że wykona jego rozkazy. Był oddanym żołnierzem.

Romulus uśmiechnął się do siebie. Jakimi głupcami byli członkowie Rady, myśląc, że ich usłucha, że wykona ich rozkazy. Zdecydowanie go nie doceniali. Wszak nie dysponowali nikim, kto by go zdegradował, i nim to do nich dotrze, Romulus, mając jeszcze władzę, wyda wystarczająco dużo rozkazów, by powstrzymać ich przed uzyskaniem nad nim kontroli. Andronicus jest wielki, lecz Romulus jest większy.

Na obrzeżach placu stał mężczyzna odziany w szatę w kolorze jarzącej się zieleni z opuszczonym kapturem, odsłaniającym szeroką, płaską żółtą twarz o czterech oczach. Mężczyzna miał długie, chude ręce, palce długie jak ramię Romulusa, i czekał cierpliwie. Był Wokablem. Romulus nie lubił zadawać się z tą rasą, lecz w pewnych okolicznościach był do tego zmuszony – i to właśnie była jedna z nich.

Romulus podszedł do Wokabla, wyczuwając z odległości kilku kroków, jak dziwaczny, a zarazem straszny był. Stwór

wpatrywał się w niego swymi czterema oczami. Wyciągnął jeden ze swych długich palców i dotknął jego piersi. Romulus zatrzymał się natychmiast, gdy dotknął go oślizgły palec.

- Znaleźliśmy to, po co nas posłałeś – rzekł stwór, po czym z jego gardła dobył się dziwny, gulgoczący dźwięk. – Lecz będzie cię to sporo kosztowało.

- Zapłacę, ile zechcecie – rzekł Romulus.

Stwór zawahał się, jak gdyby podejmując decyzję.

- Musisz przyjść sam.

Romulus zawahał się.

- Skąd mam wiedzieć, czy mówisz prawdę? – spytał Romulus.

Stwór pochylił się i na jego twarzy pojawiło się coś, co mogłoby imitować uśmiech. Romulus żałował, że tak się stało. Jego oczom ukazały się setki małych, ostrych zębów w prostokątnej szczęce.

- Nie możesz tego wiedzieć – odrzekł.

Romulus spojrział we wszystkie jego oczy. Wiedział, że nie może ufać temu stworowi. Musiał jednak spróbować. Rzecz, którą go kusił, była zbyt wspaniała, by ją zlekceważyć. Romulus szukał jej całe swe życie: była to mityczna broń, która – jak głosi legenda – może opuścić Tarczę i pozwolić przekroczyć Kanion.

Stwór obrócił się do niego plecami i zaczął odchodzić, a Romulus stał w miejscu, przyglądając mu się. Po chwili ruszył za nim.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gwendolyn leciała na grzbiecie Mycoples, trzymając się kurczowo Thora, a wiatr targał jej włosy. Był zimny, lecz dawał przyjemne, odświeżające uczucie. Zaczynała na powrót czuć, że żyje.

Tak naprawdę Gwendolyn nigdy nie czuła się tak szczęśliwa, jak w tej chwili. Wszystko znów było na swym miejscu. Czuła swoje dziecko, kopiące w jej brzuchu, i wyczuwała, że raduje się ono z bliskości Thora. Gwen niecierpliwiła się, by podzielić się z Thorem nowinami, lecz czekała na idealny moment. A odkąd opuścili Wieżę Schronienia, nie mieli chwili, by pomówić.

Rzucili się w wir walki i przygody, siedząc we dwoje na grzbiecie Mycoples, a Gwen patrzyła zdumiona, jak bestia zabija dziesiątki ludzi Andronicusa. Nie miała dla nich ani krztyny litości. Wręcz przeciwnie – odczuwała zadowolenie, czuła, że jej pragnienie zemsty powoli się wypełnia. Każdy zabity żołnierz Imperium, każde oswobodzone miasto i osada były powetowaniem ich krzywd. Po tych wszystkich klęskach, po obserwowaniu, jak wróg sieje zniszczenie na jej ojczystych ziemiach, zwycięstwo było przyjemnym uczuciem.

Po oswobodzeniu Vinesii Kendrick i jego ludzie ruszyli z powrotem w kierunku Silesii. Gwendolyn i Thor postanowili polecieć na Mycoples i tam się z nimi spotkać. Dzięki Mycoples posuwali się dużo szybciej niż konie i mieli więcej czasu dla siebie. Thor pokierował Mycoples tak, by zabrała ich na powietrzną wyprawę po Zachodnim Królestwie. Lecąc, Gwen

patrzyła w dół i ku swojemu zadowoleniu widziała dziesiątki zgładzonych ludzi Andronicusa, trupy zaściełające ziemię od Pogórza aż po Kanion. Zachodnie Królestwo, jak z ulgą zauważyła Gwen, było całkowicie wolne.

Rzecz jasna, połowa armii Imperium pozostała po drugiej stronie Pogórza, lecz Gwendolyn to nie martwiło. Widząc ogrom zniszczenia, jakie Thor zadał tego dnia, było dla niej oczywiste, że pozostałości jego armii mogą zmieść nazajutrz. Andronicusowi nie pozostawało nic innego, niż poddać się lub ponieść klęskę.

Po raz pierwszy od sama nie wiedziała jak dawna nie musiała niczym się martwić. Nadszedł czas, by świętować. Mycoples uderzała ogromnymi skrzydłami i Gwendolyn przyjrzała się jej z podziwem. Wciąż nie docierało do niej, że siedzi na grzbiecie smoka.

Chwyciła się Thora, gdy odbywali nastrojową podróż nad Kręgiem, patrząc w dół na góry, doliny i pofałdowane wzgórza, widząc je po raz pierwszy z tej perspektywy. Dotarli do Kanionu i w oddali, na horyzoncie błysnęły wody Tartuwianu. Skręcili i lecieli teraz wzdłuż skraju Kanionu. Gwen dech zaparło w piersi, gdy ujrzała go, jego wirującą mgłę rozświetloną promieniami zachodzących słońc z tej perspektywy. Zdawał się równie rozległy, jak cały świat.

Skręcili i skierowali się ku Silesii, a serce Gwen zaczęło gwałtownie bić na myśl o tym, że powróci do swych ludzi. Przed przybyciem Thora lękała się powrotu, spojrzenia ludziom w oczy. Teraz jednak nie czuła już wstydu. Wręcz przeciwnie, wypełniały ją radość, a nawet duma. W końcu pojęła mądrość zawartą w słowach Argona i zrozumiała, iż to, co jej się przytrafiło, nie miało nic wspólnego z tym, kim jest, iż to jej nie określało. Miała przed sobą całe życie i do niej należała decyzja, czy pozwoli sobie

na szczęście, czy też je zniszczy. Zdecydowała, że będzie żyła. To była najlepsza zemsta. Nie pozwoli, by cokolwiek ją pokonało.

Wszystkie możliwe barwy mieniły się w mgłę pod nimi i była to najromantyczniejsza podróż, jaką Gwen odbyła, przekraczała jej najśmielsze wyobrażenia. Nade wszystko rozpieszczała ją radość, że odbywa ją z Thorem. Nie mogła się doczekać, kiedy wylądują, kiedy w końcu zostaną sami, by móc przekazać mu wspaniałe nowiny, że nosi w sobie dziecko. Wyczuwała, że Thor także pragnie czymś się z nią podzielić i raz po raz zastanawiała się, czy poprosi o jej rękę. Uśmiechnęła się na tę myśl i aż zakręciło jej się w głowie z podekscytowania. Niczego na świecie nie pragnęła bardziej.

Lecieli nad Królewskim Dworem i Gwendolyn na chwilę zamarło serce na widok szczątków tego wspaniałego miasta, jego osmolonych murów, opuszczonych domostw, roztrzaskanych fontann i posągów. Lecz przynajmniej jego mury wciąż stały; były osmolone i w niektórych miejscach kruszyły się, lecz nie wszędzie się zawaliły. Gwen czuła się zdecydowana, czuła, że jej życie ma sens. Poprzysięgła sobie, że odbuduje Królewski Dwór. Będzie świetniejszy niż kiedykolwiek, wspanialszy niż za czasów jej ojca. Będzie to błyszczący bastion nadziei, ostrzeżenie dla wszystkich. Przekonają się, że Krąg przetrwał, i że trwać będzie przez kolejne stulecia.

Lecieli coraz dalej na północ i w końcu ich oczom ukazała się Silesia. Jej lśniący kamień wznosił się ku niebu, połyskując na widnokręgu. Górne i dolne miasto widoczne były nawet stąd i serce Gwen zaczęło bić mocniej na widok Kendricka i jego ludzi, którzy wlewali się przez bramy miasta na ogromny dziedziniec, powracając ze zwycięskich bojów.

Thor ponaglił Mycoples i zanurkowali, lądując na samym środku miasta. Wtedy wśród mężczyzn rozległy się donośne

wiwaty, a Mycoples wygięła szyję w łuk i skrzeknęła z dumy.

Thor zeskoczył ze smoczego grzbietu, podał rękę Gwendolyn i pomógł jej zsiąść, a gdy ich stopy dotknęły ziemi, powitały ich wiwaty tysięcy zebranych. Gęsty tłum machał w uniesieniu nakryciami głowy i wykrzykiwał imiona Thora i Gwendolyn. Gwen dostrzegała na wszystkich twarzach miłość i oddanie, gdy zbliżyli się do nich i objęli ją ze wszystkich stron. Zdała sobie sprawę, że są zachwyceni jej powrotem. I to uczucie przepełniło jej serce. Myślała, że będą patrzeć na nią zażenowani lub rozczarowani. Nie mogła się bardziej mylić. Kochali ją wciąż, równie mocno jak wcześniej; może nawet bardziej.

Gwen czuła się znów jak w domu. To było jej miejsce, tutaj, z tymi ludźmi, pomagając im. Nie w Wieży Schronienia, w odosobnieniu. Musiała pogodzić się ze światem. Argon miał rację.

- Siostrze moja! – dobiegł ją głos.

Gwen uradowała się, gdy odwróciwszy się ujrzała przed sobą swego najmłodszego brata Reece'a, żywego. Wrócił z wyprawy w Imperium. Nie spodziewała się, że jeszcze kiedykolwiek go ujrzy.

Podbiegł naprzód i uściskał ją, ona także go przytuliła. Zdawał się być starszy, bardziej zahartowany w boju, dojrzały.

- Tak się cieszę, że żyjesz – rzekła.

Nastrój panujący w powietrzu był nie tylko świąteczny, nie tylko wesoły – było to uniesienie. Jak gdyby wszyscy zebrani tutaj odradzali się. Objęła swych braci – Godfreya, Kendricka – a później kolejni ludzie wychodzili naprzód i obejmowali ją, był to niekończący się strumień życzliwych jej osób. Stojąc tak u boku swych braci, nie mogła nie pomyśleć o swym ojcu i reszcie rodzeństwa. Oto stali tutaj, ona, Kendrick, Godfrey i Reece, czworo z sześciorga. Gareth był dla nich stracony. A Luanda, jak

zawsze, trzymała się od nich z daleka. Zdawało się, że nie potrafi opanować swej zazdrości o Gwendolyn. Lecz przynajmniej było ich czworo, i nigdy nie czuła się tak bliska Kendrickowi, Godfreyowi i Reece'owi jak w tej chwili. Czuła, jak gdyby wszyscy stali się w końcu bliską rodziną. Cóż za ironia, że stało się to po śmierci ich ojca.

Spotkanie przerodziło się w ogromne święto. Wszyscy oswobodzeni silesianie radowali się, że żyją, że wyrwali się z rąk Andronicusa. Godfrey nie tracił czasu: z pomocą Akortha i Fultona pokierował grupą mężczyzn ku ukrytym karczmom i wkrótce beczułki piwa wytoczyły się na dziedziniec. Wśród mieszkańców rozległy się krzyki i wiwaty i Gwen poczuła, że ktoś podnosi ją w górę na swe ramiona. Znalazła się wysoko w powietrzu, krzycząc z uciechy, podczas gdy Thor unosił się także na czyichś ramionach obok niej. Rozległy się kolejne donośne okrzyki i wiwaty, i obnoszono ich po mieście. Pojawili się grajkowie, brzdąkający na cymbałach, grający na fletach, trąbkach i bębnach. Grali tradycyjne melodie, skocznie, wesoło. Ludzie puścili się w tany.

Gwendolyn postawiono na ziemi i Thor odnalazł ją, splatając swe dłonie z jej i wirując z nią w tradycyjnym tańcu. Gwen piszczała i śmiała się, gdy zataczał z nią koła, wpierv w jedną stronę, później w drugą. Tańczyli we dwoje wśród tysięcy innych, wirując zapamiętane, przysuwając się i odsuwając. Zmienili partnerów i Gwen znalazła się w ramionach Godfreya, później Kendricka, Reece'a, Eldena, O'Connora, Sroga, i na powrót Thora.

Tańczyli i tańczyli, a słońce pochylało się coraz niżej. Powietrze przecinały krzyki, a bukłaki z winem krążyły w tłumie na przemian z kuflami spienionego piwa. Ludzie pili, śpiewali, wiwatowali i tańczyli, i ku zaskoczeniu Gwen Silesia znów

wypełniona była odgłosami radości i śmiechem.

Gdy zaczęło zmierzchać, dokoła zapłonęły pochodnie, rozświetlając niebo, a tańce i świętowanie trwały dalej, jak gdyby dzień dopiero się rozpoczął. Gwen odwróciła się i ujrzała prowizoryczną scenę, wtaczaną na dziedziniec, ogromną drewnianą platformę na kołach, wysoką na dobre dziesięć stóp. Gdy dotarła na środek dziedzińca, jej brat Godfrey wskoczył na nią z okrzykiem. Akorth i Fulton oraz kilku innych kompanów Godfrey, których rozpoznawała z karczmy, poszli w jego ślady. Wdrapali się na scenę z kuflami piwa w obu dłoniach, pijąc łąpczywie, zachęcani krzykami i wiwatami tysięcy.

Tłum zebrał się wokół sceny, gdy Godfrey, Akorth i Fulton podeszli na przód sceny i zwrócili się do nich.

- Sądzę, że nadszedł czas na przedstawienie, moi drodzy bracia i siostry, czyż nie? – zawołał Godfrey.

Wszyscy poparli ten pomysł okrzykiem.

- Lecz, na Boga, o czym powinno mówić to przedstawienie? – ryknął Akorth przesadnie głosem kiepskiego aktora. Gwendolyn roześmiała się.

- Rzeknę... o Andronicusie! – wtrącił Fulton.

Z pijanego i awanturczego tłumu dobiegły ich krzyki niezadowolenia.

- A któż miałby go zagrać? – zawołał Godfrey.

- Cóż, ja jestem najwyższy i najgrubszy z was wszystkich, zatem rola powinna przypaść mnie – odparł Akorth, pochylając się i patrząc z udawanym gniewem na tłum, naśladując Andronicusa.

Tłum zawył z uciechy, a Gwendolyn śmiała się razem z nimi. Tak przyjemnie było się śmiać. Czuła, że uchodzą z niej wszystkie stłumione emocje, gdy obserwowała twarze i gesty kiepskich aktorów, którzy szydzili z Andronicusa. Czuła się znów

bezpieczna, jak gdyby nie była już sama, jak gdyby wszyscy znajdowali się w tej samej sytuacji. Tak przyjemnie było być znów żywym i wolnym, a wyśmiewanie wszystkich jej trosk odbierało im moc.

Thor zbliżył się do niej, objął ją w pasie ręką i przyciągnął mocno do siebie, śmiejąc się razem z nią. Dotyk jego dłoni na jej brzuchu sprawiał jej przyjemność; sprawiało to, że myślała o ich dziecku. Gdy patrzyła na słońce zachodzące nad tym starożytnym połyskującym czerwonym miastem, chciała zatrzymać tę wypełnioną radością i śmiechem chwilę, sprawić, by nigdy się nie skończyła. W końcu wszystko było na swoim miejscu. Chciała tylko, by tak pozostało już na zawsze.

* * *

Reece śmiał się z całego serca, stojąc w tłumie obok swych braci legionistów, Thora, Eldena, O'Connora i Convena, i obserwował Godfreya, Akortha i Fultona na scenie. Śmiał się po raz pierwszy od sam nie wiedział jak dawna i nie potrafił przestać, gdy patrzył, jak Godfrey naśladuje Andronicusa.

- Ja powinienem zagrać McClouda! – zagrzemiał Fulton w stronę widowni.

Wszyscy zaczęli krzyczeć niezadowoleni, a Fulton skrył twarz w dłoniach, następnie wyciągnął chustkę i przykrył nią jedno oko, jak gdyby była to opaska.

- Byłbym zapomniał, że nie mam teraz jednego oka! – wykrzyknął, naśladując McClouda, i tłum zawył ze śmiechu.

- MacGilowie zmusili mnie do odwrotu, więc nie pozostaje mi nic innego, jak przyłączyć się do Andronicusa! – wrzasnął Fulton.

Rzucił się biegiem przez scenę i otoczył ramieniem Akortha. Ruszyli dalej razem, potykając się jeden o drugiego i wzbudzając salwy śmiechu.

- Łatwiej więc będzie was obu zabić! – krzyknął Godfrey, ruszając naprzód ze sztucznym mieczem i dźgając ich obu.

Tłum zawył i krzyknął uradowany, gdy Akorth i Fulton padli na scenę; pozostali aktorzy przyskoczyli do nich, udając, że ich dźgają.

Reece śmiał się wraz z innymi i czuł już, że piwo uderza mu do głowy. Po tylu miesiącach podróży miło było znaleźć się na powrót w domu. Po wszystkich udrękach, które przeszli w Imperium, tak naprawdę nie spodziewał się, że powróci do domu żywy, i wciąż był w szoku. Tak przywykł do przebywania w nieprzyjaznym otoczeniu i do walki, że nawet ta jedna noc odpoczynku, to, że nie musiał się o nic martwić, zdała mu się wspaniałym uczuciem.

Lecz podczas gdy jego przyjaciele wybuchali śmiechem i obserwowali przedstawienie, Reece nie potrafił się skupić. Co innego zajmowało jego myśli i odłączył się od grupy, przeszukując wzrokiem tłum, jak robił odkąd powrócił, szukając jakiegokolwiek śladu kobiety, która zajmowała jego myśli.

Selese.

Od kiedy wrócił do Kręgu, Reece nie był w stanie myśleć o niczym innym. Przypomniawszy sobie, iż Selese mieszkała w niewielkiej wiosce niedaleko stąd, lecz słyszał raporty i wiedział, że wszystkie te wioski zostały zaatakowane. Wiedział, że większość wieśniaków zginęła; słyszał jednakże, że kilku z nich uciekło i dotarło do Silesii, szukając tu schronienia. Modlił się, by Selese była wśród nich, by jakimś cudem jej się udało, by była tu wraz z innymi i by go jeszcze pamiętała.

Nade wszystko miał nadzieję, że zależało jej na nim choć po

części tak bardzo, jak jemu na niej.

Myśli o Selese dodawały mu sił podczas wyprawy i poprzysiągł, że jeśli kiedykolwiek wróci żywy, odnajdzie ją i wyzna jej, jak bardzo mu na niej zależy. Teraz, gdy powrócił do domu, czuł, że nie ma chwili do stracenia.

Reece spiesznie przeciskał się przez tłum, przyglądając się wszystkim twarzom, pragnąc znaleźć jakiś jej ślad. Lecz choć bardzo starał się ją znaleźć, przeszukując rząd za rzędem ludzi, nie natrafił na żaden ślad.

Tracił ducha, przepychając się przez tłum tysięcy ludzi, kręcących się z jednej strony w drugą. Zapadał coraz większy mrok i coraz trudniej było mu rozróżniać twarze oświetlane słabym światłem pochodni. Po chwili wszystkie zaczęły mu się rozmazywać przed oczami.

Reece zaczynał tracić nadzieję. Selese pewnie się nie udało, powiedział sobie. A nawet jeśli jej się udało, nie będzie nim zainteresowana.

W powietrzu rozniosła się woń jadła i gdy Reece się odwrócił, ujrzał, iż wynoszą długie stoły, na których piętrzyły się wszelkiego rodzaju mięsiwa, sery i przysmaki. Gdy słudzy postawili je, tłum ruszył w ich kierunku. Reece, któremu kiszki grały marsza, podszedł do stołu, chwycił kawał mięsa i wgryzł się w nie. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo był wygłodniały. Po pochłonięciu nogi kurczęcia i garści ziemniaków, które przepłukał kuflem piwa, poczuł, że zaczynają mu wracać siły.

Reece stał, wpatrując się bezmyślnie w przedstawienie, nie widząc go i zastanawiając się, co się stało z Selese.

Nagle poczuł, że ktoś stuka palcem w jego ramię.

Odwrócił się i serce na chwilę przestało mu bić.

Stała przed nim uśmiechnięta, zaciskając dłonie nerwowo i

niepewnie podnosząc na niego oczy, najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział.

Selese.

Stała przed nim, a w jej błyszczących oczach dostrzegł miłość. Na jego widok na jej twarzy odmalowała się radość.

Reece, zbity z pantafelów, musiał zamrużyć kilkakrotnie oczami, zastanawiając się, czy to rzeczywistość, czy jedynie wytwór jego wyobraźni.

- Szukałam cię wszędzie – rzekła. – Odnalazłam twych braci z Legionu i rzekli mi, że mogę cię znaleźć przy stole.

- Tak rzekli? – powiedział Reece, nadal wpatrując się w jej roześmiane oczy, ledwie wypowiadając te słowa. Chciał jej powiedzieć tyle naraz, jak gorącym uczuciem ją darzył, i że nigdy nie przestał o niej myśleć.

Miał tego stać tam jak zakłęty, ze zdenerwowania nie mogąc się poruszyć. Słowa nie chciały dobrać się z jego ust. Gdy stał tak zakłopotany, nie odzywając się ani słowem, Selese zaczęła tracić pewność, jak gdyby zastanawiała się, czy w ogóle był zainteresowany rozmową z nią.

- Chciałam z tobą pomówić, odkąd opuściłeś mą wioskę – rzekła. – Próbowałam cię odnaleźć i dowiedziałam się, że opuściłeś Krąg.

- Tak, wyruszyłem do Imperium – powiedział Reece. – Na wyprawę w poszukiwaniu Miecza. Właśnie wróciliśmy. Myślałem, że nigdy nie powrócę.

- Cieszę się, że tak się nie stało – rzekła.

Patrzył na nią i zamyślił się.

- Dlaczego? – zapytał. – Myślałem, że wtedy w wiosce powiedziałaś, że mnie nie lubisz.

Odchrząknęła i cień zmartwienia przemknął po jej czole.

- Myślałam wiele o tym, co mi powiedziałaś. O tym, jak

mnie kochasz. O tym, jak powiedziałam, że to szaleństwo.

Wpatrywał się w nią, kiwając głową.

- Lecz, widzisz, wcale tak nie myślałam – dodała. – Nie jesteś szaleńcem. To, co do mnie czułeś – ja także to czuję. Tak naprawdę nie przybyłam do Silesii, by szukać tu bezpiecznego schronienia. Przybyłam tu, by cię odnaleźć.

Reece czuł, że serce wali mu bez opamiętania, gdy usłyszał jej słowa. Niezupełnie do niego docierały. Mówiła dokładnie to samo, co on myślał.

Wyciągnął dłoń i musnął jej policzek.

- Podczas wyprawy myślałem o tobie, o niczym innym – rzekł. – To dzięki tobie wytrzymałem.

Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, oczy jej zabłysnęły.

- Modliłam się każdego dnia, byś wrócił szczęśliwie – powiedziała.

Znów rozbrzmiała muzyka i ludzie poczęli tańczyć do dźwięków harfy i liry.

Reece uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

- Zatańczysz ze mną? – spytał.

Spuściła wzrok i uśmiechnęła się, podając mu swą dłoń. Był to najdelikatniejszy dotyk jego życia. Zadrżał, gdy go dotknęła.

- Niczego nie pragnę bardziej.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sylwetkę Luandy oświetlały pochodnie. Opierała się o kamienny mur na skraju dziedzińca Silesii, patrząc na odbywającą się zabawę, i gotowała się wewnątrz. Najwięcej uwagi poświęcano tego wieczoru – jak zawsze – jej siostrze, Gwendolyn, uwielbianej przez wszystkich dokoła od kiedy były dziećmi. Było dokładnie tak, jak kiedy dorastały: na nią, Luandę, najstarszą, ojciec nie zwracał uwagi, wszystkimi czułościami zasypując najmłodszą córkę. Jej ojciec traktował ją niemal tak, jak gdyby nie istniała. Wszystko, co najlepsze, dostawało się Gwendolyn. A zwłaszcza miłość ich ojca.

Myśl o tym rozpaliała w sercu Luandy ogień. Widok zachwyconej Gwendolyn przywrócił nie tak odległe wspomnienia. Oto były tu, teraz, tyle lat później, ich ojciec nie żył, a Gwendolyn wciąż była w centrum uwagi, nadal to z jej powodu świętowano, to ją wszyscy uwielbiali. Luanda nigdy nie nawiązywała łatwo relacji, nie posiadała charyzmy, osobowości, ani wrodzonej radości życia, jak Gwendolyn. Nie posiadała także jej dobroci ani uprzejmości; po prostu nie taka była z natury.

Lecz Luanda nie dbała o to. W miejsce dobroci, uroku i wdzięku Gwendolyn posiadała nieskrywaną ambicję, nawet agresję, jeśli było to konieczne. Przejawiała wszystkie agresywne cechy ich ojca, a Gwendolyn – wszystkie powiązane z dobrocią. Luanda ani myślała za to przeproszać; według niej to właśnie dzięki temu ludzie parli naprzód. Bywała bezceremonialna, bezpośrednia, a nawet podła, jeśli tego wymagała sytuacja. Wiedziała, czego pragnie i osiągała to, usuwając ze swej drogi

wszystko i wszystkich. Sądziła zawsze, iż za to ludzie będą ją podziwiać i szanować.

Miast tego lista jej wrogów stawała się coraz dłuższa – w przeciwieństwie do Gwen, która miała przyjaciół bez liku, która nigdy niczego nie szukała, a której jednak udawało się wszystko otrzymać. Luanda patrzyła, jak jedna osoba za drugą wiwatuje na cześć Gwendolyn, jak unoszą ją na ramionach, widziała ją z Thorgrinem, idealnym dla niej mężczyzną, podczas gdy ona utknęła z Bronsonem, McCloudem, okaleczonym przez własnego ojca. To nie było sprawiedliwe. Jej ojciec potraktował ją jak swoją własność, oddał za żonę McCloudowi, by móc zaspokoić swe polityczne ambicje. Powinna była odmówić. Powinna była zostać w domu i to ona powinna była odziedziczyć Królewski Dwór po śmierci ojca.

Nie była gotowa się poddać, zrezygnować. Pragnęła tego, co miała Gwendolyn. Pragnęła być królową, tutaj, na ojczystych ziemiach. I dostanie to, czego chce.

- Traktują ją, jak gdyby była królową – wysyczała Luanda do Bronsona, stojącego u jej boku. Stał tam głupio, jak prostak, z uśmiechem na gębie i kuflem piwa w dłoni. Nienawidziła go. Co go tak cieszyło?

Bronson odwrócił się ku niej, poirytowany.

- Ona *jest* królową – rzekł. – Dlaczego mieliby traktować ją inaczej?

- Odstaw ten kufel i przestań świętować – zarządziła, musząc na kimś wyładować swój gniew.

- A to czemu? – odparował. – Wszak świętujemy. Też powinnaś spróbować – to nie boli.

Spojrzała na niego gniewnie w odpowiedzi.

- Jesteś nieudacznikiem, a nie mężczyzną – wyparowała. – Nie pojmujesz nawet, co to oznacza? Moja młodsza siostra jest

teraz królową. Teraz wszyscy będziemy przed nią odpowiadać. Ty również.

- A cóż w tym złego? – zapytał. – Zdaje się być miłą osobą. Luanda wrzasnęła, podniosła ręce i popchnęła Bronsona.

- Nigdy tego nie pojmiesz – warknęła. – Ja w każdym razie zamierzam coś z tym zrobić.

- Co takiego? – spytał. – O czym ty mówisz?

Luanda odwróciła się i ruszyła przed siebie, a Bronson pospieszył za nią, próbując zrównać z nią krok.

- Nie podoba mi się to spojrzenie – rzekł. – Znam je. Nie zwiastuje nigdy nic dobrego. Dokąd idziesz?

Spiorunowała go wzrokiem, niecierpliwiąc się.

- Pomówię z moją matką, poprzednią królową. Wciąż posiada sporą władzę. Jeśli ktoś mnie zrozumie, to właśnie ona. Jestem wszak jej pierworodną. Tron należy się mnie. Ona pomoże mi go zdobyć.

Odwróciła się, by odejść i poczuła zimną dłoń na swym ramieniu. Obejrzała się i spojrzała na Bronsona. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Niemądrze postępujesz – powiedział chłodno. – Nie jesteś kobietą, którą niegdyś znałem. Twoja ambicja zmieniła cię. Twoja siostra okazała nam niezwykłą wspaniałomyślność. Przyjęła nas, gdy zbiegliśmy od McCloudów, gdy nie mieliśmy gdzie się podziać. Zapomniałaś o tym? Zaufała nam. Czy w ten sposób chcesz jej odplacić? Jest dobrą i mądrą królową. Została wybrana przez twego ojca. *Ona*. Nie ty. Wygłupisz się, mieszając się w sprawy Królewskiego Dworu.

Luanda spojrzała na niego wilkiem, niemal wybuchając.

- Nie jesteśmy już w Królewskim Dworze – syknęła. – A sprawy, o których mówisz – to *moje* sprawy. Jestem MacGilówną. *Pierwszą* MacGilówną – uniosła palec i dźgnęła go

w pierś. – I nigdy więcej nie mów mi, jak mam się zachowywać.

Z tymi słowy Luanda odwróciła się na pięcie i pospieszyła przez dziedziniec, schodami w dół do dolnej Silesii. Postanowiła znaleźć swą matkę i odsunąć Gwendolyn od władzy.

* * *

Luanda przemierzała gwałtownym krokiem korytarze zamku w dolnej Silesii, mijając kolejnych strażników, aż dotarła do komnaty matki. Zlekceważwszy sługi, bez pukania wpadła do środka.

Poprzednia królowa siedziała tyłem do Luandy w wysokim drewnianym krześle, otoczona dwiema służkami i Hafold. Wpatrywała się w ciemność nocy za niewielkim okienkiem. Luanda poszła za jej spojrzeniem i dostrzegła pochodnie rozświetlające dolną Silesię, tysiące iskier światła, i słyszała odległe okrzyki zabawy.

- Nigdy nie nauczyłaś się pukać, Luando – rzekła beznamyennie jej matka.

Luanda zamarła w miejscu, zaskoczona, że jej matka wiedziała, iż to ona.

- Skąd wiedziałaś, że to ja? – spytała Luanda.

Jej matka pokręciła głową, nie odwracając się.

- Twój chód był zawsze szczególny. Zbyt raptowny. Zbyt niecierpliwy. Jak twego ojca.

Luanda zmarszczyła brwi.

- Pragnę pomówić z tobą na osobności – rzekła.

- To nigdy nie zwiastuje nic dobrego, czyż nie? – odrzekła jej matka.

Po długiej ciszy jej matka skinęła dłonią; dwie służki i

Hafold przemierzyły komnatę i wyszły, zamykając za sobą dębowe drzwi.

Luanda stała, milcząc, po czym pospieszyła naprzód, zatrzymując się po drugiej stronie krzesła swej matki, postanawiając spojrzeć jej w twarz.

Stanęła naprzeciw niej, spojrzała i z zaskoczeniem spostrzegła, jak bardzo jej matka się postarzała, zmaląła, odkąd widziała ją po raz ostatni. Odzyskała zdrowie po zatruciu, lecz wyglądała na znacznie starszą niż kiedykolwiek. Jej oczy zdawały się po części martwe, jak gdyby jakaś część niej zmarła dawno temu, wraz z jej mężem.

- Raduje mnie twój widok, matko – rzekła.

- Nieprawda – odparła jej matka, wpatrując się w nią chłodno, beznamiętnie. – Powiedz, po co przyszłaś.

Luandę zirytował jej sposób bycia, jak zawsze.

- A któż powiedział, że chcę od ciebie czegoś więcej niż przywitać się i życzyć ci zdrowia? Wszak jestem twą córką. Twą pierworodną córką.

Jej matka mrugnęła.

- Zawsze czegoś ode mnie chciałaś – rzekła jej matka.

Luanda zacisnęła szczęki, zbierając siły. Marnowała czas.

- Chcę sprawiedliwości – rzekła w końcu Luanda.

Jej matka mrugnęła.

- A w jakiej formie się jej spodziewasz? – spytała matka ostrożnie.

Luanda dała krok naprzód, zdecydowana.

- Chcę tronu. Chcę być królową. Tytułu i pozycji, które odebrała mi moja siostra. Należą się mnie. To ja jestem pierworodna. Nie ona. Ja jestem pierwszym dzieckiem twoim i ojca. To niewłaściwe. Zostałam pominięta.

Jej matka westchnęła, niewzruszona.

- Nikt cię nie pominął. Pozwolono ci podjąć decyzję. Wybrałaś McClouda. Postanowiłaś nas opuścić i władać innym królestwem.

- Mój ojciec wybrał dla mnie McClouda – zaprotestowała Luanda.

- Twój ojciec pytał cię, co o tym sądzisz. I sama podjęłaś taką decyzję – rzekła królowa. – Zdecydowałaś, że chcesz być królową odległych ziem, a nie zostać tutaj, na własnych. Gdybyś postanowiła inaczej, może byłabyś teraz królową. Lecz nie jesteś.

Luanda poczerwieniała.

- Ale to *niesprawiedliwe!* – upierała się. – Jestem *starsza* niż ona!

- Lecz twój ojciec bardziej kochał ją – odrzekła zwyczajnie matka.

Słowa te zatopiły się w Luandzie jak sztylet i zmroziły całe jej ciało. Dotarło do niej, że jej matka powiedziała prawdę.

- A którą z nas *ty* kochałaś bardziej, matko? – spytała Luanda.

Jej matka podniosła wzrok i przez długi czas patrzyła jej w oczy, beznamiętnie, jak gdyby ją oceniała.

- Sądzę, że żadnej z was – rzekła w końcu. – Ty byłaś zdecydowanie zbyt ambitna. A Gwendolyn... - jej matka zamilkła z zakłopotanym wyrazem twarzy.

Luanda zatrzęsała się.

- Ty nie kochasz nikogo, prawda? – spytała. – Nigdy nie kochałaś. Jesteś po prostu starą, niezdolną do miłości kobietą.

Jej matka uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- A ty nie masz żadnej władzy – odparła. – W przeciwnym razie nie odwiedzałaśbyś starej, niezdolnej do miłości kobiety.

Luanda postąpiła naprzód, rozogniona.

- *Żądam*, byś oddała mi mój tron! Rozkaż Gwendolyn

przekazać władzę w me ręce!

Jej matka zaśmiała się.

- A czemuż miałabym to zrobić? – spytała. – Jest lepszą królową, niż ty kiedykolwiek mogłabyś być.

Luandzie krew napłynęła do twarzy, a w całym jej ciele zapłonął ogień.

- Pożałujesz tego, matko – wycedziła przez zęby głosem przepełnionym nienawiścią.

Luanda odwróciła się i wypadła z komnaty, lecz nim zatrzasnęła drzwi, usłyszała ostatnie słowa matki, nie dające jej spokoju:

- Gdy dożyjesz mego wieku – rzekła. – Odkryjesz, że pozostało ci w życiu ledwie kilka rzeczy, których nie żałujesz.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Thor stał ponuro obok swych braci z Legionu – Reece’a, Eldena, O’Connora i Convena, a także tuzina innych legionistów, którzy przeżyli najazd Andronicusa. Ustawili się w rzędzie z pochodniami w dłoniach. Późną nocą, gdy zabawa powoli zamierała, stanęli wśród sporego tłumu na dziedzińcu miasta. Gwen stanęła przed nim i wtedy zaległa grobowa cisza. Za nimi wznosił się ogromny stos pogrzebowy, wysoki na tuzin stóp i szeroki na sto, a na nim złożono wszystkie dzielne dusze, które zostały zabite przez ludzi Andronicusa.

Wśród nich – co bardzo zabolęło Thora – znalazł się jego dawny dowódca, Kolk, oraz tuziny legionistów i Srebrnych. Myśl, że wszyscy ci mężni wojownicy polegli, broniąc Kręgu, gdyż on nie wrócił na czas, by im pomóc, legła mu ciężko na sercu. Gdyby tylko odnalazł Miecz wcześniej, pomyślał, może to wszystko by się nie zdarzyło.

Gwendolyn zaordynowała tę posługę w trakcie zabawy, by wspomnieć zmarłych, tych, którzy polegli w obronie miasta, i oddać im cześć. Thor był z niej niezwykle dumny. Stała przed nimi, przed tysiącami, które patrzyły na nią z nadzieją, patrzyły na nią jak na ich przywódcę.

Opuściła głowę i tysiące jej ludzi poszły za jej przykładem. W głuchej ciszy słychać było jedynie trzaskanie pochodni i wycie wiatru. W poważnym wyrazie jej twarzy Thor dostrzegł jej własne cierpienie. Naprawdę pojmowała, co czuli pogrążeni w żalu i Thor wiedział, że cokolwiek ma zamiar rzec, nie będą to puste słowa.

- W czasie naszej największej radości – zaczęła Gwendolyn ponuro, a jej głos rozniósł się po dziedzińcu, jak głos przywódcy. – Musimy przerwać, by wspomnieć naszą największą tragedię. Te dzielne dusze oddały swe życie, by bronić naszego kraju, naszego miasta, naszego honoru. Walczyliście z nimi ramię w ramię. My mieliśmy to szczęście i przeżyliśmy. Oni nie.

Wzięła oddech.

- Niech bogowie mają w opiece ich dusze, a my zrobimy dla nich miejsce w naszej pamięci. Walczyli za sprawę, za którą my wciąż walczymy. Imperium nadal znajduje się w naszych granicach i każdy z nas musi walczyć na śmierć i życie, aż wyprzemy najeźdźcę z naszego umiłowanego Kręgu na dobre.

- TAK JEST! – krzyknął tłum jak jeden mąż, i tysiące głosów wzbily się w powietrze, gdy nastąpiła północ.

Gwen odwróciła się i uniosła wysoko pochodnię, a Thor i pozostali poszli w jej ślady. Ponuro podeszli do stosu, następnie każdy z nich pochylił się i podłożył ogień do drewna.

W kilka chwil płomienie podchwyciły i wystrzeliły w górę, ku nocy, tworząc ogromny ogień i rozświetlając dziedziniec miasta. Płomienie wznosiły się wysoko w zimnej nocy i Thor czuł bijący od nich żar nawet tam, gdzie stał. Zmuszał się, by się nie cofnąć, by spojrzeć w ogień, zapamiętać wszystkich braci, których stracił, Kolka. Zawdzięczał Kolkowi bardzo wiele: przyjął go do Legionu – choć niechętnie – i pomógł go szkolić. Poróżnili się czasem, lecz Thor nie chciał, by zginął. Wręcz przeciwnie, czekał z niecierpliwością na wyraz twarzy Kolka, gdy ujrzy go z Mieczem w dłoni. Był to jeszcze jeden powód, który pchał go ku zemście.

Ogień wspinał się ku niebu, a Thor widział zrozpaczone twarze swych pozostałych braci legionistów. Żaden z nich nie był bardziej zrozpaczony niż Conven, na którego twarzy wyryty był

wciąż żał po stracie brata.

Gwen stanęła u boku Thora i gdy stali tak, wpatrując się w milczeniu w płomienie wraz z tysiącami innych, Aberthol, podpierając się laską, wyszedł z tłumu i postąpił naprzód. Odwrócił się i stanął twarzą do nich, odchrząkując przed ogromnym, trzaskającym ogniem.

- Dzisiejszej nocy następuje przesilenie zimowe. Od teraz każdy kolejny dzień staje się odrobinę jaśniejszy, odrobinę dłuższy. Nastąpił przełom i nic dziwnego, że nasze zbawienie nadeszło dzisiaj. Było to zapisane w gwiazdach. Jesteśmy na drodze ku odnowieniu, ku odrodzeniu się. Odbudujemy, co było niegdyś. Musimy jednak zawsze pamiętać o zniszczeniu. Bowiem tylko z popiołów wyrosnąć może najsilniejsze drzewo.

Krąg cierpiał od toczonych od tysięcy lat bitew – rzekł. – To nie pierwszy pogrzeb dzielnych wojowników. Ani nie ostatni. Lecz te męzne młode dusze zginęły, odpierając najazd wielki jak żaden, z którym przyszło się zmierzyć ich przodkom. Ich uczynki zapisane zostaną w annałach MacGilów i pamiętane będą po wsze czasy.

- TAK JEST! – wykrzyknął tłum.

Aberthol przerwał.

- Pamiętajcie, iż nosicie w sobie teraz cząstkę nich – ciągnął dalej. – Nie myślcie, że wasze życie jest trwałe. Największą iluzją, w jakiej żyjemy, jest trwałość życia. Jesteście śmiertelni, jak oni. Nie wahajcie się zmierzyć się z wrogiem, żyć męźnie. Przekształćmy nasz żal. Walczmy nadal za sprawę, za którą i oni walczyli, szukajmy sprawiedliwości i przekształćmy rytuały pogrzebowe w rytuał mieczy.

- TAK JEST! – wykrzyknął tłum.

Zabito w dzwony, Aberthol wycofał się i wtedy tłum zaczął się rozchodzić. Thor i pozostali powoli odwrócili się i również

odeszli. Na dziedzińcu rozpalono niewielkie ogniska i ludzie podzielili się na mniejsze grupki. Atmosfera nocnej zabawy nieco spoważniała, gdy wspominali zmarłych o północy.

Tłum podzielił się na niewielkie grupki i ludzie kulili się przy ogniskach, podając sobie bukłaki z winem, smażyli przysmaki i opowiadali historie. Niektórzy zasypiali siedząc lub leżąc, wyczerpani dniem bitwy, rozgrzani ciepłem ognisk i brzuchami zapełnionymi strawą i trunkami.

Thor odłączył się od reszty i znalazł się wśród Gwendolyn, Kendricka, Godfrey'a, Reece'a, Eldena, O'Connora i Convena. Reece'owi towarzyszyła Selese, a Eldenowi Indra. Thora ucieszył widok Reece'a z dziewczyną, o której nie przestawał mówić przez całą wyprawę.

Rozsiedli się wygodnie na ziemi wokół płomieni niedużego ogniska. Gwen siedziała obok Thora i ten otoczył ją ramieniem, przyciągając blisko, czując pod dłonią jej miękką futrzaną pelerynę. Krohn podszedł blisko i oparł się na nodze Gwen, a Thor przecesał dłonią sierść na jego głowie i podał mu kolejny kawałek mięsa. Krohn zjadł go z radością. Thor zapomniał już, jak bardzo Krohn był przywiązany do Gwen i nie wiedział, czy bardziej się cieszy na jego czy jej widok.

Gdy siedzieli wokół ogniska, rozdano im napitek, którego Thor nigdy wcześniej nie widział. Thor spojrzał w dół, na ciepły kubek spienionego białego płynu, który mu podano. W tak zimną noc był jak znalazł.

- Kunta – wyjaśnił Srog zaciekawionej grupie. – Napitek silesian.

Thor złapał go obiema dłońmi i podniósł do ust. Był pikantny i ciepły, spieniony z wierzchu i smakował jak wanilia połączona z rumem. Był pyszny i rozgrzewał Thorowi gardło i pierś. Uderzył mu od razu do głowy i Thor natychmiast

zorientował się, że wypił zbyt dużo. Podobnie jak wszyscy wokół niego.

Thor podniósł wzrok i ujrzał dwóch zbliżających się legionistów, którzy zatrzymali się nad nimi.

- Możemy się przyłączyć? – spytał jeden z nich.

Thor pamiętał, że poznał ich kiedyś, zaraz gdy się zaciągnął, lecz nie rozmawiał z nimi długo: Serna i Krog. Serna, ten, który się odezwał, był wysokim, szerokim w barach żołnierzem, mniej więcej w wieku Thora, o długich, brązowych włosach i brązowych oczach o przeszywającym spojrzeniu, szeroko rozstawionych i wąskich. Wyglądał na dużo starszego, niż był, pod jego oczami odznaczały się kręgi i Thor wiedział, że jeśli był jednym z tych, którzy przetrwali, w istocie musi być dobrym wojownikiem. Drugi, Krog, był kilka lat starszy, niski, o ciemnej karnacji, ogolonej głowie i sporym kołowym kolczyku w lewym uchu. Miał na sobie kamizelę bez rękawów, nawet w tym ziąbie, a pod nią wyraźnie rysowały się jego mięśnie. Nie uśmiechał się i Thor widział, że ten człowiek żyje, by walczyć.

Obaj spojrzeli na Thora z szacunkiem i w rzeczy samej, Thor spostrzegł, iż wszyscy patrzyli na niego inaczej od jego powrotu.

- Proszę – rzekł Thor, który zawsze był uprzejmy i gościnnie. Przesunął się, robiąc im miejsce. Podeszli i usiedli obok niego.

Przywitali się skinieniem głowy z pozostałymi legionistami, którzy odpowiedzieli im tym samym. Po spędzeniu tak dużej ilości czasu z Reece'em, Eldenem, O'Connorem i Convenem nieco dziwnie było patrzeć, jak ich grupa się powiększa, zwłaszcza po stracie Convala. Lecz było to również przyjemne uczucie. Wszak wszyscy należeli do Legionu i musieli trzymać się razem – zwłaszcza do czasu, gdy szeregi Legionu nie zostaną ponownie zapełnione.

Oczy Serny i Kroga spoczęły na Mieczu Przeznaczenia

zatkniętego u jego pasa. Spojrzeli na Thora niczym na boga.

- Jest ciężki? – spytał Serna.

Pozostali odwrócili się i spojrzeli na Thora, i ich oczy także spoczęły na Mieczu Przeznaczenia. Po raz pierwszy ktoś go o niego zapytał i nie był pewien, co powinien odrzec. Nie rozmyślał o nim zbyt wiele – posługiwanie się nim przychodziło mu naturalnie.

Thor pokręcił głową.

- Tak naprawdę jest lżejszy niż moje pozostałe miecze – odparł Thor. – Zdaje się nic nie ważyć.

- Lecz dwudziestu mężczyzn nie potrafiło go unieść – rzekł Krog. – Jest ciężki. Po prostu w *twoich* rękach staje się lekki.

- Dlatego, że to ty jesteś tym, któremu przeznaczone jest nim władać – dodał Kendrick.

Thor wzruszył ramionami.

- Nie wiem dlaczego – odrzekł z pokorą. – Jest to dla mnie równie wielką tajemnicą, co dla was.

- To dlatego, że twoje przeznaczenie jest wspaniałe – powiedział Aberthol, pochylając się z drugiej strony ogniska. Płomienie rozświetlały jego twarz.

- A jakie to przeznaczenie? – spytał Thor, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej.

Aberthol potrząsnął głową.

- Tego nie wie nikt – rzekł. – O Mieczu pisano i śpiewano pieśni od siedmiu pokoleń królów z rodu MacGil, lecz prawdą jest, że nikt nie wie, skąd pochodzi ani co znaczy. Wiadomo tylko, iż podtrzymuje Tarczę. I że ty jesteś jedynym w całej znanej nam historii, ze wszystkich pokoleń, ze wszystkich króli, który go uniósł.

Wszyscy spojrzeli na Thora z podziwem i poczuł się skrępowany. Nie znajdował przyjemności w zwracaniu na siebie

uwagi.

- Staralem się jedynie służyć Kręgowi – odparł Thor.

- I rzeczywiście służyłeś mu dobrze, przyjacielu – powiedział Kendrick, nachylając się i kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Jeszcze nie skończyłem – rzekł Thor. – Nie, póki Andronicus tu jest. Nazajutrz, gdy słońce wzejdzie, wzniosę się na Mycoples z Mieczem w dłoni i stanę do walki z tymi, którzy pozostali jeszcze z jego armii. Nie dam mu czasu na przegrupowanie i ucieczkę do Imperium.

- A my przyłączymy się do ciebie – wtrącił się Kendrick.

- Może i nie jesteśmy tak szybcy jak ty – dodał Atme. – Lub tak potężni jak Mycoples. Lecz mamy ludzi, mamy miecze i zabijemy, kogo tylko nam się uda.

Thor skinął głową.

- W takim razie chętnie przystanę na wasze towarzystwo – rzekł Thor.

- A gdy będzie po wszystkim – wtrącił O'Connor. – Czym się zajmiemy, gdy nie będzie już żadnych bitew do stoczenia?

- Odbudujemy się – rzekła Gwendolyn.

Wszyscy spojrzeli na nią z szacunkiem.

- Przywrócimy Królewski Dwór do dawnej świetności – dodała. – Raz jeszcze wzniesie się w pełni blasku.

- I Silesię – wtrącił Srog.

- Odbudujemy też Legion – rzekł Brom.

- Ja z całą pewnością z ulgą przyjmę odpoczynek od potyczek – powiedział Elden. – Nie ustawaliśmy w walce, odkąd przekroczyliśmy Kanion. Powrócę do mej wioski rodzinnej i przekonam się, czy mój ojciec żyje. Może pomogę mu odbudować jego chatę.

Odwrócił się do siedzącej obok Indry.

- Mam nadzieję, że udasz się tam ze mną – dodał.

Lecz ona tylko wzruszyła ramionami.

- Życie domowe nie jest dla mnie – rzekła. – Wolałabym toczyć boje.

Elden wyglądał na rozczarowanego.

Kendrick odwrócił się do Sandary, która siedziała obok niego i wpatrywała się w płomień. Jej sylwetka była idealna, niezwykle szlachetna. Będąc rasy imperialnej, zdawała się obca w tej grupie.

- Mam nadzieję, że ty pozostaniesz tu ze mną – rzekł do niej cicho Kendrick.

Spojrzała na niego, po czym szybko odwróciła wzrok.

- Nie jestem godna tego zaszczytu, mój panie – odparła.

- Jesteś, bardziej niż ktokolwiek inny – odrzekł Kendrick. – Ocaliłaś nam wszystkim życie. Zostań ze mną, a będziesz żyła niczym królowa.

- Jestem tylko prostą niewolnicą, w służbie Andronicusa – odrzekła.

- Nie jesteś już w służbie – poprawił ją Kendrick. – Jesteś teraz wolna. Twój dom jest tutaj, w Kręgu. Jeśli tego chcesz.

Spuściła wzrok.

- Byłam świadkiem tego, jak ludzie Andronicusa siali zniszczenie wśród wielu ludów, na wielu ziemiach – rzekła. – Będę wolna dopiero gdy ujrzę go martwego. Do tego dnia jestem jego niewolnicą. Lękam się, że tu wróci.

- Nigdy – upierał się Kendrick.

- Słyszałaś, co rzekł Thor – dodał Reece. – Andronicus zostanie zmiażdżony nazajutrz.

Lecz Sandara nie sprawiała wrażenia przekonanej i w grupie zaległa głęboka cisza.

- Pragnęłabym ujrzeć wśród nas jeszcze dwóch ludzi – rzekła

Gwendolyn. – Brakuje Steffena. Pomógł mi bezpiecznie dotrzeć do Wieży Schronienia i nie widziałam go od tamtej pory.

- Poślemy oddział, by go odnaleźć – rzekł Kendrick. – Sprowadzimy go z powrotem.

- I Argona – dodała Gwen. – Zaryzykował swe życie dla mnie, a teraz płaci za to. Zniknął, a ja nie wiem, gdzie jest – ani czy kiedykolwiek wróci.

Thor zamyślił się o tym i ta myśl sprawiła mu ból. Tęsknił mocno za Argonem i chciał go ujrzeć, zapytać o Miecz, o swe przeznaczenie – a nade wszystko, o swego ojca. Thor odnosił wrażenie, iż niemal słyszy Argona, jakiś słaby głos w głowie, w urywkach snów, lecz czarnoksiężnik zdawał się być dalej niż kiedykolwiek. Thor zastanawiał się, gdzie teraz jest, czy jest uwięziony, czy kiedykolwiek powróci. Czuł, jak gdyby utracił członka rodziny.

Gwendolyn nachyliła się i Thor przycisnął ją mocniej do siebie; spojrzał w jej przejrzyste oczy, w których odbijał się blask płomieni ogniska, pochylił się i pocałował ją. Czuł, że żyje. Jego serce biło w niecierpliwym oczekiwaniu. Wyczuwał pierścień w kieszeni i bardziej niż kiedykolwiek chciał ją zapytać, jej go ofiarować.

Lecz najpierw – wiedział to – musiał jej powiedzieć. Musiała wiedzieć o potworze, od którego pochodzi. Im więcej o tym myślał, tym mocniej zaczynał drżeć.

- Drżysz – rzekła Gwen.

- Z zimna – skłamał Thor.

Uśmiechnęła się, pochyliła i wyszeptała mu do ucha:

- Chodź ze mną.

Wstała bez słowa, a Thor chwycił jej dłoń i pozwolił, by poprowadziła go w mrok nocy, między ogniskami, dokądkolwiek tylko chciała.

* * *

Thor i Gwendolyn weszli w wiekowe wnętrza zamku Sroga w górnej Silesii. Strażnicy stawali na baczność, gdy mijali ich w oświetlonych pochodniami korytarzach. Trzymali się za ręce i Gwen prowadziła go, klucząc kolejnymi korytarzami i schodami w górę, aż w końcu sługa otworzył drzwi do komnaty gościnnej.

Gdy weszli do środka, Thor omiótł wzrokiem starożytny łukowaty strop z kamienia, huczący w ogromnym marmurowym kominku ogień, masywne łoże o czterech kolumnach, ściany rozświetlone płomieniem pochodni i był niezwykle wdzięczny Srogowi za jego gościnność. Przydzielono im komnatę godną króla i królowej. Rzecz jasna, Gwendolyn *była* królową, lecz Thor czuł, że nie zasługuje na nic z tego, co znajdowało się w pomieszczeniu. W swojej głowie wciąż był chłopcem z jednej z wielu małych wioseczek na obrzeżach Kręgu.

Jednak wchodząc do tej komnaty, poczuł się jak król. Zawsze roił sobie, że czeka go wspanialsze życie; lecz teraz, gdy miał je przed sobą, gdy widział je na własne oczy, nie mógł w to uwierzyć. To wszystko zdawało się nierealne. Oto był tu, z Gwendolyn, królową, dzierżąc w dłoni Miecz Przeznaczenia, ze swym własnym smokiem czekającym na zamkowych ziemiach. Zdołał nie tylko zaciągnąć się do Legionu, lecz także stać się jego dowódcą; nie tylko zdobył szacunek Srebrnych, lecz stał się tym, którego najbardziej podziwiali. Miał wielkie marzenia, lecz nigdy tak wielkie. I teraz, gdy spełniły się wszystkie, trudno było mu w to uwierzyć. Wciąż spodziewał się, że ktoś go obudzi i rzeknie mu, że śni.

Gdy Gwendolyn wzięła jego dłoń, ciepło i dotyk jej

miękkiej, delikatnej skóry sprawiły, iż poczuł, że to dzieje się naprawdę; czuł, jak gdyby dotykał ją po raz pierwszy. I gdy trzymał ją w objęciach, zrozumiał, że jego radość nie ma nic wspólnego z tą komnatą, zamkiem ani niczym innym – brała się jedynie z miłości Gwendolyn. Choć wszystko inne zdawało się nierealne, jej miłość i jego miłość do niej zdawały się naturalne. Stanowiły dla niego punkt oparcia.

Podchodząc do sterty futer przed kominkiem, gdzie Gwendolyn prowadziła go z uśmiechem, Thor poczuł, że zaczyna się denerwować, jak gdyby był z nią po raz pierwszy. Doświadczyli rozłąki tak długiej, dzieliło ich tyle czasu i taka odległość, że w pewien sposób czuł, jak gdyby poznawał ją od nowa. Poczuł trzepot w żołądku i dawną obawę, że powie coś niewłaściwego.

Thor sięgnął wstecz pamięcią i przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, jak odebrało mu wtedy mowę. To dziwne, lecz po części znów tak właśnie się czuł. Musiał przyznać, że wciąż onieśmiewało go jej piękno, jej urok, jej wdzięk – wszystko. Nie potrafił się wyzbyć uczucia, iż należy do klasy wyższej niż on, że jest dużo wspanialsza, niż on kiedykolwiek będzie.

Położyli się na futrach i Gwen pochyliła się i złożyła pocałunek na jego ustach, a on go odwzajemnił. Nie odsuwali się przez długi czas. Ogień trząskał obok nich i Thor czuł jego ciepło na twarzy. Wziął ją w objęcia i leżeli przytuleni na futrach.

Gwen uśmiechnęła się do niego i Thor czuł, że dzięki temu jednemu uśmiechowi wszystko wraca na swoje miejsce.

Thor jednak nadal był zdenerwowany, lecz z innego powodu. Gdy Gwendolyn spojrzała mu w oczy, zastanawiał się, czy jakimś cudem rozpoznaje, kto jest jego ojcem. Zamrugał i odwrócił wzrok, skrępowany, i miał nadzieję, że tak nie jest. Wiedział, że to niemądre myśli, że to niemożliwe, lecz i tak nie

dawały mu spokoju. Musiał zrzucić z siebie ten ciężar, wyjawic jej prawdę. Jednocześnie nie chciał zniszczyć tej chwili.

Gwen odwróciła wzrok i Thor wyczuł, że ona także chce mu coś wyznać. Nie wiedział, co takiego, lecz znał ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że o czymś mu nie mówi. Dostrzegał to w delikatnym drzeniu jej warg. Zamyślił się. Czy wie o jego ojcu? Czy też chodzi o coś innego?

Przyglądając się jej, nie potrafił sobie wyobrazić, jakie okropieństwa dotknęły ją z ręki Andronicusa. Lecz oto była tu, wciąż szczęśliwa, uśmiechnięta. Podziwiał ją bardziej, niż byłby w stanie rzec. Była silniejsza niż on – silniejsza niż oni wszyscy.

- Co się stało? – spytała w końcu Gwendolyn. – Zdajesz się cichy.

Thor potrząsnął głową. Obawiał się mówić, obawiał się wyznać jej prawdę. Wiedział, że musi to zrobić, lecz nie potrafił zebrać się na odwagę. Odczuwał zbyt wielki wstyd.

- Ja... ja... tęskniłem do ciebie – wyjąkał.

Była to prawda, tęsknił do niej – lecz nie to najbardziej zajmowało jego myśli.

- I ja do ciebie – uśmiechnęła się. – Czułam, jak gdyby nie było cię całe wieki. Zdajesz się być innym chłopakiem niż ten, który opuszczał Krąg. Zdajesz się być bardziej... mężczyzną – uśmiechnęła się.

Thor pojmował, co miała na myśli. Sam czuł się starszy. Dużo, dużo starszy.

- Imperium... - zaczął, po czym przerwał. – Było bardzo obce... Wszystko tam jest tak bardzo inne, tak egzotyczne... Ujrzałem takie rzeczy... - przerwał.

Uniosła jego dłoń i przyłożyła ją do swych ust.

- Innym razem – rzekła cicho. – Wojnom i bitwom nie ma końca, lecz ta chwila jest *nasza*. To rzadka możliwość.

Nacieszmy się nią. Teraz mamy czas dla siebie.

Thor czuł, jak serce tłucze mu się w piersi na dźwięk jej słów. Pochyliła się i znów się pocałowali. Obejmowała go mocno, a on przycisnął ją w odpowiedzi jeszcze mocniej, i przesunęli się na futrach. Światła pochodni migotały w pięknej komnacie.

Thor pozwolił sobie zapomnieć o wszystkim. Wszystkie troski świata zaczęły ulatywać z jego myśli, zniknęły i myślał wyłącznie o Gwendolyn. O ich miłości. Odnalazł swe miejsce na świecie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Luanda mknęła przez noc u boku Bronsona, galopując ciemnymi drogami prowadzącymi z Silesii na wschód, w kierunku Pogórza. Nigdy nie przypuszczała, iż będzie znów jechać w tę stronę. Tego dnia, gdy uciekła od McCloudów, poprzysięgła nigdy tam nie wracać, poprzysięgła przeżyć resztę swych dni po stronie Kręgu należącej do MacGilów.

Lecz wszystko odmieniło się diametralnie. Po śmierci jej ojca i objęciu rządów przez Gwendolyn, najazd Andronicusa odmienił jej życie w sposób, jakiego nigdy się nie spodziewała. Najwyraźniej nie było już dla niej miejsca po stronie Kręgu MacGilów, żadnej pozycji, z której mogłaby rządzić, żadnego sposobu, by nie musiała odpowiadać przed swą młodszą siostrą. Była pierworodną i ani myślała to robić. To nie było sprawiedliwe. Jeśli nie umożliwią jej władania królestwem, Luanda sama się o to upomni.

Luanda wydała z siebie krzyk i pogoniła konia kopniakiem, i pognęła dalej w noc. Bronson jechał niechętnie kilka stóp za nią. Przypomniała sobie ich kłótnię nim opuścili Silesię. Bronson zawsze był taki niewinny, taki łatwowierny; cóż za ironia, wzięwszy pod uwagę jego ojca, potwora i manipulatora. Musiała namówić Bronsona, by jechał z nią, więc skłamała, a on dał się podejść. Po tym katastrofalnym spotkaniu z matką okłamała Bronsona, mówiąc, że jej matka prosiła ją, by pośredniczyła w zawarciu rozejmu, by pojawiła się u Andronicusa z propozycją kapitulacji. Że rozejm oszczędzi życie tysięcy mężczyzn i przyspieszy powrót Andronicusa do Imperium. I że Luanda,

należąca do rodziny królewskiej lecz nie zajmująca żadnego oficjalnego stanowiska, będzie po temu idealną osobą.

Bronson przypatrywał się jej, skołowany, nie ujrawszy nigdy wcześniej, by Luanda dbała o dobro innych. Uwierzył i zgodził jej towarzyszyć, myśląc, że zmierzają tam w dobrej sprawie. Zasugerował, by wzięli ze sobą grupę żołnierzy, lecz Luanda odmówiła, nalegając, by jechali sami. Nie mogła mieć wokół siebie żadnych żołnierzy MacGilów, gdy będzie wprowadzała w czyn swe zamiary.

Gdy skierowali konie przez wąską górską przełęcz prowadzącą przez Pogórze i dotarli na szczyt, Luanda dostrzegła w oddali światło tysiąca pochodni, które mogło pochodzić jedynie z obozu Andronicusa. Zamarła na ten widok. Jej plan był desperacki, wiedziała o tym, lecz gdy raz już stworzyła jakiś plan, trzymała się go bez względu na wszystko. Znajdzie Andronicusa i zawrze z nim układ: przyprowadzi mu Thora, a on w zamian uczyni z niej królową całego Kręgu. Był to układ – była przekonana – którego nie odrzuci.

Oczy Luandy błyszczały, gdy pogoniła konia i pognała w dół stromego zbocza, pędząc po stronie Kręgu McClouda ku obozowi Andronicusa. Bronson, nieświadomy jej knowań, jechał obok, nadal myśląc, że będzie pośredniczyć w propozycji rozejmu w imieniu Gwendolyn. Bronson może okazać się przydatny, jeśli odpowiednio nim pokieruje. Wiedziała, że gdy pozna prawdę, wpadnie w gniew – lecz wtedy będzie już za późno. Ona zostanie królową, a jemu nie pozostanie nic innego, jak nie sprzeciwić się. Wszak tak naprawdę nie liczy się to, w jaki sposób osiągnie swój cel. Ważne, że zostanie królową.

Droga w obozie zwężyła się i wprowadziła ich w gęstwę żołnierzy. Panowała tam napięta atmosfera. Droga oświetlona była z obu stron pochodniami, a żołnierze Imperium przyglądali

im się. Luanda wyczuwała niepokój w powietrzu i wiedziała, że teraz czeka ją najtrudniejsze zadanie. Musi przekonać ich, by zaprowadzili ją do Andronicusa; musi rozkazać im z całą władczością, na jaką tylko potrafi się zebrać – w przeciwnym razie ryzykuje pojmanie przez wroga.

- Nie jestem przekonany, czy to taki dobry pomysł – rzekł jadący obok Bronson. W jego głosie słyszała strach. Zapuszczali się coraz głębiej w obóz Imperium.

- Andronicus może nas zabić – nawet jeśli wyjdziemy z propozycją pokoju. Może powinniśmy zawrócić.

Luanda zignorowała go, jadąc głębiej w obóz, ku najjaśniejszemu światłu pośrodku, ku największemu namiotowi. Wiedziała, że musi on należeć do Andronicusa.

Nagle kilku oficerów Imperium zastąpiło im drogę, zmuszając ich konie, by się zatrzymały. Odwróciła się i zobaczyła, że z tyłu także zagrodzono im przejście.

Luanda odwróciła się w stronę oficerów, którzy stali przed nimi, i obrzuciła ich swym najwynioślejszym spojrzeniem. Była jednak pierworodną córką króla i wiedziała, jak zaprezentować się po królewsku.

- Zaprowadźcie nas do Andronicusa – rozkazała. – Przychodzimy z propozycją kapitulacji.

Luanda celowo tak ubrała w słowa to, co chciała powiedzieć, by nie mogli orzec, o czyją kapitulację chodziło – i aby Bronson również tego nie odgadł.

Oficerowie Imperium wymienili zdziwione spojrzenia, następnie przenieśli wzrok na nią; po wyrazach ich twarzy widziała, że jej wyniosły, arystokratyczny sposób bycia działał, zaskoczył ich.

W końcu rozstąpili się, chwycili wodze ich koni i poprowadzili ich powoli w kierunku ogromnego namiotu.

Namiotu Andronicusa.

Oficerowie zmusili Luandę i Bronsona, by zsiadli ze swych wierzchowców i poprowadzili ich dalej pieszo. Pochodnie płonęły tutaj jeszcze jaśniej, tłum był gęstszy, a na zimnym nocnym wietrze powiewał sztandar z ogromnym godłem – lwem z ptakiem w paszczy. Serce Luandy zaczęło walić jak oszalałe, gdy zbliżali się do namiotu. Zdała sobie sprawę, że teraz znajduje się na ich łasce. Modliła się, by jej plan się powiódł.

Zatrzymano ich kilka stóp przed namiotem, a jego poły rozchyliły się gwałtownie i na zewnątrz wyszedł największy i najbardziej bezwzględny dwunożny stwór, na jakim kiedykolwiek spoczęły oczy Luandy. Spostrzegła skurczone czerepy na jego naszyjniku, jego rogi, złowróżbny sposób, w jaki się nosił i nie miała wątpliwości, iż to właśnie jest Wielki Andronicus.

Gdy spojrzała na niego, wbrew sobie gwałtownie wciągnęła powietrze.

Andronicus uśmiechnął się, patrząc w dół, jak gdyby pomyślał, że ofiary same wylądowały u jego stóp.

Luanda przełknęła ślinę i nagle zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście był to taki dobry pomysł.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Thorgrin stał na szczycie najwyższego pagórka ziem nizinnych Zachodniego Królestwa Kręgu, ze wzrokiem utkwionym w drodze, jak zawsze, od kiedy był chłopcem, wypatrując ludzi króla. Patrzył na drogę, połyskującą w porannej mgle, i widział stamtąd także całą swą wioskę, tkwiącą na swym dawnym miejscu, niezmienioną. Jednakże tym razem, gdy się jej przyjrzał, dostrzegł, że jest opuszczona. Zdawało mu się, że jedynie on pozostał na tym świecie.

Thor zwrócił spojrzenie ponownie ku drodze, skąd dochodziło donośne dudnienie. Pojawił się tam tuzin zaprzężonych w konie powozów z polerowanego złota, połyskujących w słońcu. Pędzili w jego stronę. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy, tumany kurzu wzbijały się w powietrze i serce Thora biło szybciej, gdy biegł w dół zbocza, by wyjść im na spotkanie.

Stanął na środku drogi, a konie zatrzymały się ledwie kilka stóp przed nim. Stał w milczeniu, wpatrując się w tych dzielnych wojowników, w ich zakryte hełmami twarze. Wczesnoranne promienie słońca odbijały się od ich zbroi. Konie stały w miejscu, dysząc ciężko, poruszając się niespokojnie.

Thor podniósł wzrok na siedzącego na koniu dowódcę, a gdy ten uniósł zasłonę hełmu, Thora zastygł w miejscu na widok tego, co ujrzał.

Wojownik wyglądał jak on, dokładnie jak on, lecz był młodszy.

Thor pojął, że to jego syn.

- Ojczy – rzekł wojownik do Thora.

Thor spojrział na siedzącego prosto, dumnie chłopca, który miał nie więcej niż dziesięć lat, lecz był wysoki na swój wiek. Dostrzegł w jego twarzy, jego włosach rysy Gwendolyn. Thor patrzył na niego i wzbierała w nim duma. Jego syn siedział na swym wierzchowcu, dzierżąc złotą halabardę, a jego złota zbroja połyskiwała w słońcu. Z dumą spoglądał na swego ojca. Zachowywał się jak prawdziwy wojownik. Miał szare oczy Thora i silną, szlachetnie zarysowaną szczękę. Siedział wyprężony na koniu, jak gdyby nic na całym świecie nie przyprawiało go o trwożę.

Thor, oniemiały z wrażenia, postąpił krok naprzód.

- Rzeknij – powiedział Thor, ledwie dobywając z siebie głos.
– Jak ci na imię?

Chłopiec otworzył usta i już miał przemówić, gdy wtem, nim zdążył się odezwać, Thor mrugnął i znalazł się przed jeziorem. Obok stała Gwendolyn i patrzyła na niego czule. Pochyliła się, pocałowała go i wzięła za rękę. Spojrzała w dół, na wodę u ich stóp, a on poszedł w jej ślady. W odbiciu ze zdumieniem spostrzegł, że Gwendolyn jest przy nadziei.

Thor odwrócił się i przyjrzał się jej badawczo. Jej brzuch był płaski. Lecz gdy zwrócił się ponownie w stronę wody, jej brzuch był ogromny. Nie pojmował tego.

Thor wyciągnął rękę w kierunku wody, jak gdyby chciał dotknąć odbicia, a wtedy nagle poczuł, że coś go wciąga, wsysa pod powierzchnię.

Thor miotał się w wodzie, młócił rękoma w rwącym nurcie, próbując złapać powietrze. Spojrział na bok i ujrzał obok siebie niesionego w dół rzeki Convala, trupa o szeroko otwartych oczach, a obok Convala – Kolka. Wokół niego unosiło się więcej zwłok, i dostrzegł twarze wszystkich tych, których kiedykolwiek

znał i kochał.

Thor mrugnął i znalazł się na grzbiecie lecącej Mycoples. Spojrzał w dół i ujrzał ludzi Andronicusa, rozproszonych daleko jak okiem sięgnąć. Rozkazał Mycoples zanurkować, lecz smoczyca zatrzymała się w powietrzu, bijąc swymi ogromnymi skrzydłami, i nie chciała go usłuchać. Wyczuł, że chce mu coś przekazać: jeśli zbliży się choć odrobinę, zginie.

Lecz Thor ponaglał Mycoples i w końcu, choć niechętnie, zanurkowała. Uczyniła to jednak zbyt szybko i Thor poczuł, że spada z jej grzbietu i obracając się przecina powietrze. Młóćąc rękoma spadał w kierunku ziemi, w kierunku ludzi Andronicusa, którzy wyciągali włócznie w górę. Thor przygotował się na uderzenie, i włócznie przeszły jego ciało. Wrzasnął.

Thor otworzył oczy i zobaczył, że znajduje się w łodzi, na łożu z włócznie. Przyglądał się przepływającemu nad nim niebu. Morze przemieniło się w spienioną rzekę, która niosła go przez wzburzone progi. Miejsce to było wyprane z wszelkich kolorów: wszystko miało odcień przygaszonej szarości i brązu. Thor rozejrzał się i zobaczył, że minął niewielki zamek, w którego wyglądzie coś go zaniepokoiło, jak gdyby był w jakiś sposób skrzywiony.

Spojrząwszy na jego dach, ujrzał kobietę, która – jak wiedział – jest jego matką. Stała tam, patrząc na niego, z rękoma rozpostartymi na boki.

- Matko! – krzyknął Thor, minawszy ją, znoszony szybkim nurtem. – Ocal mnie!

- Wracaj do domu, synu mój – rzekła błagalnie. – Dopełniłeś swego obowiązku. Chodź ze mną do domu.

- Matko! – krzyknął Thor, wyciągając ku niej ręce.

Thor obudził się zlany potem. Usiadł prosto, dysząc ciężko, i rozejrzał się, zdezorientowany.

Obok niego na stercie futer leżała Gwendolyn. Thor zaczął się uspokajać i przypomniał sobie ich wspólną noc. Nic mu nie groziło. To tylko sen.

Twarz Thora zroszona była potem, mimo tego, że ogień wygasł już jakiś czas wcześniej. Krohn zaskomlał i wyłonił się zza kolan Gwen. Podszedł do Thora i polizał go. Thor zamknął oczy i zebrał się w sobie, myśląc o naturze snów. Minęła chwila, nim doszedł do siebie. Wszystko to zdało mu się zbyt realne.

Thor spojrzał na śpiącą obok Gwendolyn. Miała przymknięte powieki i wyglądała jak anioł. Spojrzał na jej brzuch, zobaczył, że jest płaski, i popadł w zadumę.

Potrząsnął głową. Co oczywiste, był to tylko sen, fantastyczna wizja nocy. Musiał się nauczyć nie przykładać takiej wagi do swych snów. Lecz choć starał się jak mógł, odkrywał, że coraz trudniej jest mu oddzielić rzeczywistość od wytworów jego wyobraźni.

Thor nie potrafił ponownie zasnąć. Z mocno bijącym sercem ostrożnie podniósł się z futer.

Wyjrzał na zewnątrz i dostrzegł, że jest wciąż ciemno. Jeszcze nie świtało i pochodnie wciąż migotały w kątach komnaty. Panował zupełny spokój. Silesia z pewnością odpoczywała po hucznej zabawie minionej nocy.

Thor jednak nie mógł już spać. Przemierzył komnatę, wdział szatę i przeszedł boso po zimnej, kamiennej posadzce. Krohn szedł za nim, wiernie u jego boku. Thor otworzył po cichu wielkie łukowate drzwi i delikatnie zamknął je za sobą.

Szedł korytarzem, klucząc, zmierzając ku górze zamku. Pragnął oczyścić myśli i odetchnąć świeżym powietrzem. Krohn deptał mu po piętach. Minął kilku strażników, którzy na jego widok wyprężyli się na baczność.

Skręcił w końcu w wąski korytarz, przeszedł przez niskie

drzwi i wyszedł na jeden z górnych balkonów zamku.

Zimny podmuch wiatru smagnął go po twarzy, pomagając mu się obudzić. Właśnie tego Thor potrzebował. Dał kilka kroków przed siebie, ku kamiennej balustradzie i spojrzał na Silesię. Tu i tam migotały jeszcze płomienie pochodni, lecz wszystko było ciche i nieruchome. W dole panował ogromny bałagan po jadle i winie, które zjedzono i wypito. Wyglądało to tak, jak gdyby przez miasto przeszła parada i nie uprzątnęła po sobie.

Thor odetchnął głęboko, próbując wyrzucić z myśli obrazy swych snów. Lecz jego pozostałości nie chciały zniknąć, jak zła mgła.

- Strachy nocy – dobiegł go głos.

Thor odwrócił się, rozpoznając głos starca i ujrzał stojącego nieopodal Aberthola. Ten widok przyniósł mu otuchę. Aberthol trzymał w dłoni laskę i również spoglądał za balustradę. Był uczonym królów z rodu MacGil i nauczycielem Gwendolyn. Był człowiekiem niezwykle ważnym dla rodu MacGil, i Thor darzył go ogromnym szacunkiem.

- Wybaczcie – rzekł Thor. – Nie zauważyłem was, w przeciwnym razie powitałbym was.

Aberthol uśmiechnął się.

- Nie przyszedłeś tu, by szukać mnie. Przyszedłeś, co oczywiste, z innego powodu. Poza tym rzadko dostrzega się ludzi w mym wieku. To młodzi przyciągają uwagę.

Thora ukoilo brzmienie jego głosu; ten mężczyzna widział wszystko, był bardzo bliski królowi MacGilowi, Gwendolyn. W jego głosie pobrzmiwał ton dziadka, dzięki któremu Thor czuł, że wszystko będzie dobrze, bez względu na to, co się zdarzy. Przypominał mu też nieco Argona, i sprawił, że niewysłowienie za nim zatęsknił. Thor raz jeszcze postanowił odnaleźć Argona,

gdziekolwiek się znajduje, i sprowadzić go z powrotem.

- Uciekasz przed strachami nocy – rzekł Aberthol. – Widzę to w twym spojrzeniu. Znam je, bowiem ja także przed nimi uciekam. Nieczęsto sypiam dobrze. Większość nocy spędzam nie zmrzywszy oka, studiując księgi, jak robiłem przez niemal całe me życie. Przynoszą mi ukojenie. To mój sposób.

Westchnął.

- Pewnego dnia nauczysz się kroczyć pośród strachów nocy – ciągnął dalej. – Panujemy nad nimi, gdy nie śpimy, lecz to właśnie wtedy, na jawie, je tworzymy.

Przyglądając się twarzy Aberthola, bruzdom znaczącym jego twarz, Thor zastanawiał się, czy Aberthol byłby w stanie jakoś mu pomóc, czy może odpowiedzieć na pytania, które kołatały mu się po głowie. Wszak Aberthol był uczonym i znał dzieje Kręgu lepiej niż ktokolwiek inny.

- Mogę wyjawić wam sekret? – spytał Thor.

Aberthol przyglądał mu się przez chwilę i w końcu skinął głową.

- Wielu mężów wyjawia mi swe sekrety – rzekł. – Czynił tak ojciec Gwendolyn i król MacGil, który panował przed nim. Moja głowa wypełniona jest kośćmi i sekretami.

Thor zawahał się. Z jednej strony nie był pewien, czy może mu zawierzyć; z drugiej, rozpaczliwie pragnął z kimś o tym pomówić, zrzucić trawiący go wewnątrz ciężar.

- Mój ojciec – rzekł Thor, po czym przerwał. – Ja... nie wywodzę się od wielkiego króla. Mój ojciec jest... potworem. Moim ojcem... jest Andronicus.

Aberthol wpatrywał się w niego wyjątkowo długo, a na jego twarzy malowała się powaga, i serce Thora biło szybko, gdy zastanawiał się, co Aberthol o nim myśli.

W końcu, ku zaskoczeniu Thora, Aberthol skinął głową i

rzekł:

- Wiem.

Thor był w szoku; wpatrywał się w niego, skołowany.

- *Wiecie?* Jakim sposobem? Dlaczego mi nie powiedzieliście?

- Nie do mnie należało to zadanie – odparł Aberthol. – Sam musiałeś się tego dowiedzieć we właściwym czasie. Twe pochodzenie znane jest powszechnie wśród pewnych osobistości z elity Kręgu, w tym kilku z nas wystarczająco starych, by wiedzieć, co naprawdę wydarzyło się w dawnych dniach.

- Lecz nigdy nikomu tego nie wyjawiliście? – spytał Thor, zszokowany.

Aberthol uśmiechnął się.

- Jak rzekłem, sekrety są u mnie bezpieczne.

- Lecz czy to możliwe? – spytał Thor. – Może to pomyłka. Może naprawdę nie jest moim ojcem.

Aberthol pokręcił powoli głową.

- Jeśli ta myśl niesie ci ukojenie, myśl tak. Wszystkich z nas utrzymują przy życiu nasze fantazje, nasze sny. Jeśli jednak pragniesz prawdy, musisz wiedzieć, że, w istocie, Andronicus jest twym ojcem.

Thor poczuł, jak całe jego ciało okrywa się chłodem.

- Jak to możliwe? – powtórzył Thor. – Podniosłem Miecz Przeznaczenia. Legenda głosi, że jedynie MacGil może go podnieść. Czy legenda nie jest prawdziwa?

Aberthol potrząsnął głową.

- Jest prawdziwa. Twój ojciec naprawdę jest MacGilem. I ty także.

Thor otworzył szeroko oczy, zbity z tropu.

- Andronicus? – spytał. – MacGilem?

Aberthol westchnął.

- Tak. Tak samo, jak pozostali. Przynajmniej kiedyś tak było. Widzisz, Andronicus nie zawsze był tym potworem, którym jest teraz. Kiedyś był po prostu najstarszym bratem króla MacGila, którego znałeś i miłowałeś.

Thor nie mógł oddychać; w głowie mu wirowało.

- Nie wiedziałem, że król MacGil miał starszego brata – rzekł.

Aberthol skinął głową.

- Król MacGil miał dwóch braci. Andronicus jest najstarszy, a Tirus najmłodszy. Ci trzej bracia byli sobie tak bliscy, jak to tylko możliwe. Andronicus był obdarzony sprawiedliwą i dobrą naturą oraz wieloma cnotami. Był jednym z najdzielniejszych i najszlachetniejszych członków Srebrnej Gwardii.

Thorowi ledwie mieściło się to w głowie.

- Srebrnej Gwardii? Andronicus? Jak to możliwe?

Aberthol pokręcił głową.

- Dzień Wielkiego Podziału. To długa historia, nie na dzisiaj. Na razie niech wystarczy ci to, że w każdym z nas granica między dobrem a mrokiem jest bardzo cienka. Ta granica zaciera się nawet bardziej, gdy zyskujesz najwyższą władzę. Andronicus pragnął władzy, większej władzy, niż ta, do której miał prawo. Dokonał wyboru. Zawarł pakt. Uległ mrocznym mocom. Porzucił Krąg. Uzyskał wielką władzę w Imperium i stał się kimś innym. *Czymś* innym. Z czasem stał się tym, czym jest teraz. Ani na krzywą nie przypomina mężczyzny, którym niegdyś był.

Aberthol postąpił naprzód.

- Musisz pojąć – rzekł ze współczuciem. – Twój ojciec, *prawdziwy* Andronicus, był dobrym człowiekiem. MacGilem. Cechowała go wrodzona dobroć. *To* jest twój prawdziwy ojciec – a nie mężczyzna, którym się stał. W każdym z nas kryje się skłonność do zmiany. Jedni radzą sobie z nią lepiej niż inni. On

nie był wystarczająco silny; poddał się jej. Lecz to nie oznacza, że tak samo będzie w twoim przypadku. Możesz być silniejszy niż twój ojciec.

Thor stał w bezruchu, próbując to wszystko pojąć. Jego myśli wirowały. Myśl o tym wszystkim budziła w nim odrazę. Zdał sobie także sprawę z tego, że on i Gwendolyn są kuzynami, oraz że jest kuzynem Reece'a, Kendricka i Godfrey'a. Być może dlatego czuł, że są mu tak bliscy. Zastanawiał się, czy oni o tym wiedzą.

- Czy ktoś jeszcze wie? – spytał Thor niepewnie.

Aberthol pokręcił głową.

- Nikt – odrzekł. – Ci, którzy wiedzieli, wszyscy już pomarli. Poza poprzednią królową i mną. A teraz także, rzecz jasna, tobą.

- Nienawidzę go – wycedził Thor przez zęby. – Nienawidzę mego ojca. Nie dbam o to, kim był; obchodzi mnie jedynie, kim jest teraz. Chcę go zabić. *Zabiję go.*

Aberthol położył dłoń na ramieniu Thora.

- Bez względu na to, czy go zabijesz, czy nie, to nie zmieni tego, kim jesteś. Musisz postanowić, że wzbijesz się ponad te uczucia. Musisz postanowić, że skupisz się na tym, co dobre. Wszak prócz ojca masz także matkę. Płynie w tobie silnie krew twojej matki, a w twym przypadku to ważniejsze niż krew twego ojca. Musisz jedynie to dostrzec i pojąć.

Thor przyglądał się Abertholowi.

- Wiecie, kim jest moja matka? – spytał, zdenerwowany.

Aberthol skinął głową w odpowiedzi.

- Nie mnie o tym mówić. Lecz gdy ją poznasz, pojmiesz. Choć Andronicus jest potężny, ona jest znacznie potężniejsza. A twój los i przeznaczenie są splecione z jej. W zasadzie los całego Kręgu jest spleciony z jej. Siła Miecza Przeznaczenia jest niczym w porównaniu z siłą, którą ona może ci przekazać. Musisz ją

odnaleźć. Nie możesz dłużej zwlekać.

- Bardzo chciałbym ją poznać – rzekł Thor. – Lecz wpierw muszę zniszczyć Andronicusa.

- Nigdy nie zniszczysz Andronicusa – rzekł. – On żyje w tobie. Lecz możesz odnaleźć swą matkę i ocalić siebie. Póki jej nie poznasz, nie będziesz w pełni sobą.

Nagle Aberthol odwrócił się i odszedł dumnym krokiem, schodząc z balkonu. Uderzenia jego laski o posadzkę odbijały się echem.

Thor odwrócił się i objął wzrokiem skrytą w mroku Silesię. W oddali słyszał huczące wichry Kanionu. Gdzieś tam, po drugiej stronie, był jego ojciec. I jego matka. Thor musiał spotkać się z obojgiem.

Z matką, by ją poznać.

Z ojcem, by go zabić.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Luanda stała sama wewnątrz namiotu Andronicusa, trzęsąc się w środku i starając się nie dać tego po sobie poznać. Nigdy wcześniej nie stała naprzeciw mężczyzny o tak wielkiej i imponującej posturze, od którego biła taka groza. Rozejrzała się po jego namiocie i ujrzała wzdłuż boków szpice, które zwieńczone były ściętymi głowami o otwartych oczach, zastygłych w agonicznej masce.

Z piersi Andronicusa dobył się głęboki, gardłowy pomruk i uśmiechnął się patrząc na nią, wyraźnie czując się swobodnie w tej sytuacji.

Odchrząknęła i próbowała przypomnieć sobie, w jakim celu się tu zjawiała, próbowała zebrać się na odwagę, by przemówić.

- Przybyłam złożyć ci propozycję – zdołała w końcu z siebie wyrzucić, starając się jak mogła zachować prostą sylwetkę i nadać swemu głosowi pewne brzmienie. Lecz wbrew sobie słyszała w nim drzenie i miała nadzieję, że to nie zdradza jej strachu.

- *Ty chcesz złożyć propozycję mnie?* – spytał.

Odrzucił głowę w tył i ryknął śmiechem, i ten przeszywający dźwięk uniósł włoski na jej ciele. Był to śmiech potwora, głęboki, pusty i pełen okrucieństwa.

Zbił Luandę z tropu swym zachowaniem – spodziewała się ujrzeć człowieka załamanego i pokornego, gotowego zbiec z Kręgu lub poddać się. Nie spodziewała się, że będzie taki pewny swego. To było coś więcej niż tylko brak lęku – zdawał się być pewny zwycięstwa. Nie mogła tego pojąć.

- Tak – rzekła, odchrząkując. – Propozycję. Mogę przyprowadzić ci twojego wroga, Thorgrina. W zamian mianujesz mnie królową Kręgu i przekazesz władzę nad tutejszymi ziemiami.

Na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech. Przypatrywał się jej.

- Ach tak? – spytał.

Zlustrował ją i z głębi jego piersi dobył się ponury, warczący dźwięk.

- Zdradziłabyś swych ludzi? – spytał. – Sprzedała ich za prawo do tronu?

Przerwał, przeszywając ją spojrzeniem; jego oczy błyszczały, jak gdyby pochwalał jej postępek.

- Podobasz mi się – rzekł. – Podobna jesteś do mnie.

- Lepszej szansy nie otrzymasz – rzekła wyzywająco, odzyskując dawną odwagę. – Jesteś otoczony. A ze smokiem i Mieczem Przeznaczenia Thor dziesiątkuje twą armię. Jeśli odrzucisz moją propozycję, nazajutrz Thor zabije resztę twych ludzi. Jeśli ją przyjmiesz, nazajutrz Thor znajdzie się w twojej niewoli.

Przyjrzał się jej uważnie.

- A niby jak zamierzasz przyprowadzić mi Thora? – spytał.

Spodziewała się tego pytania i wzięła głęboki oddech, mając gotową odpowiedź.

- Ufają mi – odrzekła. – Pochodzę z rodu MacGilów. Jestem częścią rodziny. Poślę im wiadomość, że pośredniczyłam w zawarciu rozejmu. Że przystałeś na kapitulację. Że Thorgrin musi przybyć tu sam, by ją przyjąć. Kiedy przybędzie, pojdziesz go.

Andronicus przyjrzał się jej.

- A czemu miałiby zawierzyć takiej zdrajczyni jak ty? – spytał Andronicus.

Zaczerwieniła się, urażona jego słowami.

- Zawierzą mi, bo jestem ich rodziną. I *nie* jestem zdrajczynią. Krąg należy się mnie. Jestem pierworodna.

Andronicus pokręcił głową.

- To właśnie rodzinie nie należy ufać.

Zacisnęła buntowniczo ręce w kułak, czując, że jej plan zaczyna jej umykać.

- Zawierzą mi – powiedziała. – Gdyż nie mają powodu, by mi nie ufać. I dlatego, że to ufni ludzie. A nade wszystko dlatego, że to rozsądne: oczywiście spodziewają się, że się poddasz. Któż myślałby inaczej? Jesteś całkowicie otoczony. Połowa twych ludzi została zgładzona. Będą się spodziewać twojej kapitulacji. Moja wiadomość nie będzie dla nich zaskoczeniem.

- A gdy Thor tu przybędzie – rzekł. – Jak mam go pojmać? Jego, który, jak powiadasz, dziesiątkuje mych ludzi?

Luanda wzruszyła ramionami.

- To nie moja troska. Przyrowadzę ci baranka na rzeź. Jestem pewna, że masz swe własne metody zdrady.

Andronicus omiótł ją spojrzeniem od góry do dołu. Luanda czuła, że serce tłucze jej się w piersi. Z całego serca pragnęła władać królestwem. Nadto pragnęła przewyższyć swą młodszą siostrę; jakaś niewielka jej część czuła się źle – lecz znacznie większa czuła, że ma do tego prawo, czuła się źle przez wzgląd na siebie samą. Nie wyobrażała sobie życia w królestwie, w którym miast niej rządziła jej młodszą siostrą, i jeśli musiała poświęcić swych własnych ludzi, to niech tak będzie. Wszak nie zasłużyli sobie na nic lepszego tym, jak ją potraktowali.

Luanda zadrżała, gdy Andronicus podszedł bliżej, wyciągnął rękę i położył swe długie szpony na jej ramieniu. Czuła jego lepkie dłonie na swej nagiej skórze, gdy przesuwali nimi w dół i górę jej gardła.

- Król MacGil winien być dumny ze swego potomstwa – rzekł. – W rzeczy samej, niezwykle dumny.

Westchnął.

- Przyjmę twą propozycję. A ty będziesz władać królestwem.

Serce Luandy tłukło się tak mocno w jej piersi, że wszystko zdało jej się zamazane, gdy podeszło do niej dwóch strażników i wyprowadziło ją z namiotu. Doszła do siebie dopiero gdy znalazła się znów na zewnątrz, w zimnej nocy. Bronson podszedł do niej i szybko ruszyli znów przez obóz, w kierunku swych wierzchowców.

- I jak? – spytał Bronson niecierpliwie.

Luanda szła szybko, próbując zebrać myśli, a serce waliło jej jak oszalałe. Dobierała słowa, by przekazać nowiny Bronsonowi. Wiedziała, że musi sformułować je odpowiednio, jeśli chce z powodzeniem nim manipulować.

- Poszło nadzwyczaj dobrze – rzekła, uważnie dobierając słowa. – Andronicus przystał na kapitulację.

Bronson spojrzał na nią, zbity z pantałyku.

- Nie chce mi się w to wierzyć – odparł. – Przystał na kapitulację? Ot tak?

Luanda odwróciła się gwałtownie w stronę Bronsona i przybrała swój najwściekleszy wyraz twarzy i głos, rozpaczliwie pragnąc go przekonać.

- Mamy przewagę liczebną – rzekła chłodno. – Jeszcze dzień, a zginie. Ucieszył się z tej szansy. Miałam rację. Ty nie. Postawił pewne warunki: jego armia musi opuścić Krąg, nie doznawszy obrażeń. On sam odda się w niewolę. I podda się jedynie Thorowi, samemu Thorowi. Poprosił, by przedstawić jego propozycję Thorowi natychmiast, przed atakiem o brzasku. To nasza szansa na to, by zawrzeć pokój, by ocalić życia i by raz na zawsze wyprzeć stąd jego ludzi.

Bronson wpatrywał się w nią i widziała, że jego intensywnie myśli, że rozważa to wszystko. Był bystry, lecz ani nie w połowie tak jak ona, a jego wrodzona łatwowierność działała na jej korzyść.

- Cóż – rzekł. – Zdaje się, że to sprawiedliwa propozycja. Prosi jedynie o to, by jego ludzie bezpiecznie opuścili nasze ziemie. Jak rzekłaś, ocali to wiele żyć po obu stronach i oswobodzi Krąg. Brzmi to rozsądnie. Nie wyobrażam sobie, by Thor i Gwendolyn mogli się nie zgodzić. Przysłużyłaś się Kręgowi. To, co tu uczyniłaś, ukazuje, że dbasz o dobro innych. Ocaliłaś wiele żyć i twoja rodzina będzie z ciebie dumna. Miałaś rację, a ja się myliłem.

Luanda uśmiechnęła się w duchu. Zwiodła go.

- Jedź więc – ponagliła. – Bądź naszym posłańcem. Dostarcz wiadomość Thorowi i pozostałym. Zaczekam na ciebie tutaj. Jedź całą noc i nie zatrzymuj się, póki nie przekazesz im dobrych wieści. Los Kręgu spoczywa w twych rękach.

Przerwała, pełna nadziei. Wiedziała, że jeśli odwoła się do poczucia honoru i obowiązku, Bronson, ten rycerski głupiec, zapomni o rozsądku.

Bronson skinął z powagą głową, wskoczył na konia i puścił się galopem, mknąc przez noc.

Patrzyła, jak jego koń znika w ciemności i uśmiechnęła się w mroku.

W końcu będzie królową.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Steffen czuł, jak drętwieją mu dłonie, gdy stał przed ogromnym młynem i obracał ogromną drewnianą korbę wraz z innymi pracownikami. Była to katorżnicza praca, taka, do jakiej przywykł i dzięki niej zapominał o troskach całego świata. Otrzymywał jako zapłatę zboża i wody w sam raz, by przeżyć i sypiał na ziemi jak zwierzę wraz z resztą najętych sług. Nie było to życie: było to egzystowanie. Reszta jego życia, podobnie jak wcześniej, będzie jednostajna, wypełniona ciężką pracą i bólem.

Lecz Steffen nie dbał już o to. Taki żywot wiódł w królewskim zamku, pracując dla króla MacGila w jego czeluściach, podsycając ogień. Tamto także było niełatwym żywotem i tak naprawdę nie odbiegało od całego jego życia, jego życia w domu rodzinnym, jego rodziców, którzy tak wstydzili się go z powodu jego wyglądu, którzy bili go i wyrzucili z domu. Całe jego życie było jednym długim pasmem bólu, nękania i wzgardy.

Do czasu, gdy poznał Gwendolyn. Ona jedna spojrzała na niego inaczej niż jak na zdeformowanego stwora; ona naprawdę pokładała w nim wiarę, jej naprawdę na nim zależało. Czas spędzony na chronieniu jej cenił jako najbardziej znaczące dni swego życia. Po raz pierwszy nadało to jego życiu sens i znaczenie; pozwoliło mu to marzyć, przez krótką chwilę, że może mógłby być czymś więcej niż obiektem nienawiści, że może wszyscy do tej pory się mylili, i kryło się w nim jednak coś wartościowego.

Gdy Gwen przestąpiła próg Wieży Schronienia i jej drzwi

zatrzasnęły się za nią, czuł jak gdyby to w jego życiu zamykały się jakieś drzwi. Odczuł to jak cios sztyletem w serce. Szanował, a nawet rozumiał jej decyzję; był to jednak najgorszy dzień jego życia. Stał przed Wieżą, czekając sam nie wiedział jak długo, łudząc się, że Gwen zmieni zdanie, ponownie ukaże się w drzwiach. Lecz te pozostały zamknięte jak wieko trumny.

Bez kierunku i celu w życiu Steffen zawędrował tutaj, do tej niewielkiej wsi osadzonej na szczycie wzgórza. Po raz kolejny spojrzął przez ramię, jak czynił co godzinę od swego przybycia, na Wieżę Schronienia, obserwując ją cały czas, wbrew wszystkiemu mając nadzieję ujrzeć Gwendolyn wychodzącą przez te drzwi, uzyskać szansę powrotu do swego dawnego życia.

Lecz choć tak uważnie się jej przyglądał, nie dostrzegł, by coś się tam działo. Noc czy dzień – nikt nie wchodził ani z niej nie wychodził.

Nagle Steffen usłyszał trzask bicz a i poczuł ostre smagnięcie na plecach; to jego młynarz zdzielił go po raz kolejny. Piekący ból po uderzeniu biczem wyrwał go z zamyślenia i Steffen skupił się na powrót na swych obowiązkach. Rozejrzał się i dostrzegł, że zmielił więcej ziarna niż którykolwiek z pozostałych mężczyzn i krew napłynęła mu do twarzy: to niesprawiedliwe, że to on dostawał razy, a pozostałych zostawiono w spokoju.

- Przykładaj się, ty stworze, albo rzucę cię psom! – warknął mężczyzna do Steffena.

Wokół niego rozbrzmiał śmiech. Pozostali najemni odwrócili się w jego kierunku i drwili z niego, imitując jego powykręcaną sylwetkę. Steffen odwrócił wzrok, zmuszając się do zachowania spokoju. Niegdyś traktowano go znacznie gorzej, niż to, na co było stać tych prowincjonalnych wieśniaków, a ból i upokorzenie przynajmniej odsuwały jego myśli od Gwendolyn, od marzeń o życiu zbyt wspaniałym jak dla niego.

Rozległo się bicie dzwonów, donośne w tej małej wiosce, i wszyscy przerwali pracę, odwrócili się i spojrzeli. Dzwony biły raz za razem, nagłaco, i wieśniacy poczęli się zbierać wokół środka osady, patrząc na dzwonnika.

- Wieści z północy! – wykrzyknął mężczyzna. – Imperium wypędzono z Zachodniego Królestwa Kręgu! Odzyskaliśmy wolność!

Wśród wieśniaków rozległy się wiwaty; odwracali się, chwyтали w objęcia i tańczyli. Podawali sobie bukłaki z winem, z których pili długo i zachłannie.

Steffen przyglądał się temu w szoku. Imperium wypędzone? Zachodnie Królestwo wolne? To nie miało sensu. Gdy opuszczał Silesię, zostały po niej jedynie zgliszcza, a wszyscy jego ludzie byli zniewoleni. Zdawało się, że dla żadnego z nich nie ma żadnej nadziei.

- Thorgrin powrócił na smoku i z Mieczem Przeznaczenia! Tarcza się podniosła! Tarcza została przywrócona! – oznajmiał dzwonnik.

Rozległy się kolejne krzyki i wiwaty i Steffen zaczął się powoli radować, a jego myśli skierowały się na powrót ku Gwendolyn. Thor powrócił. A zatem będzie miała teraz powód, by opuścić Wieżę. Powód, by powrócić do Silesii. Znów może znaleźć się dla niego jakaś pozycja.

Steffen odwrócił się i spojrział na wieżę. Nie dostrzegł najmniejszego ruchu. Popadł w zadumę. Czyżby w jakiś sposób opuściła wieżę?

- Widziałem, jak leciał tędy wczoraj chłopiec na smoku, z Mieczem w dłoni. Jak słowo daje! – przekonywał jeden z wieśniaków, młodzian, drugiego. – Widziałem, jak leci do tej przeklętej wieży. Wylądował na jej dachu!

- Zdawało ci się! – rzekła surowo stara kobieta. – Poniosła

cię wyobraźnia!

- Słowo, że widziałem!

- Przyśniło ci się, chłopcze! – drwił jakiś starzec.

Rozległy się śmiechy i wszyscy szydzili z chłopca; zaczerwienił się i umknął.

Lecz jego słowa zdały się Steffenowi prawdziwe: Thor najpierw udałby się po Gwendolyn. Kochał ją i znaczyła dla niego najwięcej. Ci prości wieśniacy nigdy by tego nie pojęli. Steffen wiedział, że chłopak mówi prawdę i jego serce przepełniło się nagłym optymizmem. Rzecz zrozumiała, że gdyby powrócił, Thor pojawiłby się najpierw w Wieży Schronienia, by zobaczyć się z Gwendolyn – i zabrać ją ze sobą. Najpewniej z powrotem do Silesii.

Steffen uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd tu przybył. Gwendolyn uwolniła się od tego miejsca. Uśmiechnął się szerzej, wiedząc, że jego życie po raz kolejny się odmieni. Nie musiał już mieszkać w tej wiosce i nie potrzebował już tych ludzi. Nie musiał już dłużej żyć w odosobnieniu, poświęcać się życiu w bólu, trudzie i pełne cierpienia. Dostał od losu kolejną szansę; marzenie, które mu się wymykało, wracało do niego. Może mimo wszystko pisane jest mu szlachetne życie.

- Powiedziałem, wracaj do pracy, karle! – wrzasnął młynarz, unosząc wysoko bat i zamierzając się nim na twarz Steffena.

Tym razem Steffen skoczył naprzód, dobył miecza i przeciął bat w pół, nim zdołał go dosięgnąć. Następnie wyrwał z dłoni młynarza pozostałość bata i smagnął go w twarz.

Ten krzyknął, chwytając się za twarz obiema dłońmi, wrzeszcząc z bólu. Inni wieśniacy spostrzegli to i nagle natarli na Steffena ze wszystkich stron. Lecz Steffen był wojownikiem, którego umiejętności przekraczały to, co ci prowincjonalni ludzie kiedykolwiek widzieli, i batem zdzielił ich wszystkich, obracając

się dokoła, przemykając i uchylając się od ich ciosów; po kilku chwilach leżeli wszyscy, krzycząc z bólu od uderzeń bata.

Nacierano na niego jednak wciąż więcej mężczyzn, poważniejszych mężczyzn, z poważniejszym orężem i Steffen wiedział, że też musi walczyć zacieklej; nim zdążyli się zbliżyć, Steffen sięgnął w tył, dobył strzały i uniósł łuk, celując w dowódcę, grubego mężczyznę odzianego w przyciasną koszulę.

Gdy Steffen uniósł łuk, gruby mężczyzna z kijem w dłoni nagle zastygł w miejscu, podobnie jak ci obok niego.

Zebrał się tłum, lecz wszyscy trzymali się na ostrożną odległość od Steffena.

- Niech tylko któryś z was, mieszkańców tego grajdołu, się do mnie zbliży – zawołał Steffen. – A was pozabijam. Drugi raz nie będę osrzedził.

Z tłumy wyłoniło się trzech krzepkich mężczyzn, dzierżących w dłoniach miecze i zmierzających na Steffena. Bez mrugnięcia okiem Steffen obrał cel i wypuścił trzy strzały, przesywając nimi serce każdego z mężczyzn. Osunęli się na ziemię martwi.

Osada wydała z siebie zduszony krzyk.

Steffen dobył kolejnej strzały i czekał z naciągniętą cięciwą.

- Ktoś jeszcze? – zapytał.

Tym razem wieśniacy stali jak wrośnięci w ziemię, zdawali się żywić zupełnie nowy szacunek dla Steffena. Nikt nie ośmielił się poruszyć.

Steffen pochylił się, schwycił swój worek zboża i wodę, przerzucił je sobie przez ramię i odwrócił się do nich plecami. Ruszył drogą prowadzącą z wioski ku lasowi. Miał się na baczności, nasłuchując uważnie, zastanawiając się, czy ktoś ruszy za nim – lecz za nim panowała cisza jak makiem zasiał.

Ani jedna osoba nie ważyła się go teraz znieważać.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Romulus przemierzał leśny szlak, podążając za Wokablem, który szedł dziwnym krokiem w swej jarząco zielonej szacie, poruszając się tak szybko, że trudno było za nim nadążyć. Jeśli Romulus ufał czemuś mniej niż temu Wokablowi, to właśnie temu miejscu, Zwęglonemu Lasowi, którego zawsze unikał wszelkim kosztem ze względu na opinię, jaką się cieszył. Drzewa rosły tu niskie i grube, sękate gałęzie wyciągały się we wszystkich kierunkach nad szlakiem i ożywione były w sposób, w jaki inne drzewa nie były. Mówiono, że połykają ludzi w całości. Romulus rozejrzał się nieufnie dokoła i ujrzał w niektórych z pni niewielkie zęby, leniwie otwierające się i zamykające.

Przyspieszył kroku.

Zwęglony Las był miejscem mrocznym i ponurym, i z każdym krokiem Romulusa gąszcz splątanych gałęzi i cierni stawał się coraz bardziej nieprzenikniony. Było to miejsce, w którym wśród drzew snuła się mgła i czyhało zło, miejsce, do którego przychodziło się po truciznę odpowiednią, by kogoś ukatrupić albo eliksir, by rzucić klątwę.

Teraz Romulus musiał się tu zjawić, choć pragnął uniknąć tego miejsca. Całe życie polegał na sile, na swych umiejętnościach bitewnych; teraz jednak potrzebował czegoś więcej niż tylko siły. Toczył bój w nowej rzeczywistości, rzeczywistości polityki i misternych zdrad, rzeczywistości, w której samym mieczem nie zwycięży się przeciwnika. Potrzebował oręza potężniejszego niż miecz. Musiał zyskać przewagę nad nimi wszystkimi. A sposób, dzięki któremu to

osiągnięciu, kryje się głęboko w tym wynaturzonym lesie.

Przez lata Romulus odbywał swą własną tajemną misję – poszukiwał legendarnej broni, która miała nosić w sobie siłę zdolną opuścić Tarczę. Co oczywiste, zatrzymanie Miecza Przeznaczenia w Imperium byłoby najprostszym po temu sposobem; lecz gdy to okazało się niemożliwe, Romulus ponownie musiał zwrócić się ku broni. Latami węszył za nieprawdopodobnymi pogłoskami o jej istnieniu, podążając kolejnymi szlakami tu i tam po to jedynie, by odkryć, że każdy z tropów był fałszywy.

Tym razem miał wrażenie, że jest inaczej. Tym razem trop prowadził przez tortury i zabójstwa długiego szeregu ludzi, aż doprowadził go do tego Wokabla. Nie mogło się to zdarzyć w bardziej dogodnej chwili; jeśli Romulus go nie odnajdzie, Wielka Rada – albo Andronicus – go zabije. Lecz jeśli naprawdę będzie dzierżył oręż, który może opuścić Tarczę, będzie niezwyciężony. Inni zbiorą się wokół niego i nic już go nie powstrzyma przed tym, by władać Imperium.

Kluczyli kolejną ścieżką przez plataninę cierni. Mgła gęstniała. Wokabl założył długie na kilka stóp rękawice, by ochronić swe długie palce przed kolcami. Romulus odgarniał je ze swej ścieżki gołymi rękoma. Czuł, jak ciernie wbijają się w jego skórę i dłonie broczą krwią, lecz nie dbał o to; tak naprawdę ból sprawiał mu przyjemność.

Przedzierali się przez krzewy cierniowe, tworząc ścieżkę w gęstwinie lasu, i w chwili, gdy Romulus zaczął się zastanawiać, czy ten Wokabl aby nie wiedzie go na manowce, w końcu wyszli na niewielką, okrągłą polanę.

Było tam małe, okrągłe wzniesienie porośnięte trawą, wysokie może na dziesięć stóp, przypominające w zasadzie bardziej kopiec ziemi. Pośrodku znajdowały się niskie, łukowate

drzwi, porośnięte trawą, niemal niedostrzegalne. Nie było tam okien ani żadnego innego wejścia. Wyglądało to jak usypana z ziemi kopuła.

Romulus zawahał się, wyczuwając czyhające za tymi drzwiami zło.

Wokabl odwrócił się i spojrzał na niego, zwróciwszy ku niemu swą płaską, żółtą twarz i cztery oczy, i wydał przedziwny pomruk zadowolenia, który zaniepokoił Romulusa. Wokabl uśmiechnął się, obnażając tysiące maleńkich, ostrych zębów.

- Twa drogocenna broń kryje się w tym wzniesieniu.

Romulus postąpił krok w jej kierunku, lecz Wokabl wyciągnął swe długie, kościste palce i zatrzymał go, dotykając jego piersi. Był zdumiewająco silny.

- Musisz poczekać, aż zostaniesz wezwany.

Romulus uśmiechnął się drwiąco. Nie należał do ludzi, którzy czekali.

- A jeśli nie zaczekam? – zapytał.

Wokabl raz po raz otwierał usta, błyskając rzędami zębów, wyrażając swe niezadowolenie.

- Wtedy twoje przedsięwzięcie zostanie przeklęte.

Romulus spojrzał na niego spode łba. Nie należał do ludzi, którzy cofają się przed znakami i omenami; chodził gdziekolwiek i jakkolwiek chciał, na własnych warunkach.

Romulus przemierzył polanę, chwycił maleńkie drzwiczki i otworzył szarpnięciem tak silnym, że wyrwał je z zawiasów. Wszedł bez lęku w ciemność wydrążonego, porośniętego trawą wzniesienia, schylając się w wejściu.

Wnętrze było ciemne, a w powietrzu unosiły się pozostałości niegodziwych sił, które poczuł natychmiast na swej skórze. Pomieszczenie oświetlała niewielka świeca, migocząca po przeciwnej stronie. Minęła chwila, nim jego wzrok przywykł do

ciemności.

Gdy podszedł do środka, dostrzegł mały, okrągły stół. Siedział za nim starzec łysy, o długich pasmach włosów zwisających po bokach głowy, odziany w zieloną pelerynę z aksamitu, z postawionym wysoko kołnierzem. Zwrócony był do Romulusa plecami i nucił jakąś dziwną melodię.

Romulus czekał, niepewien, co o tym myśleć. Nie dostrzegając tu żadnej broni i miał nadzieję, że nie jest to kolejny ślepy zaułek.

- Nie mam czasu do stracenia – rzekł Romulus. – Daj mi to, po co przybyłem.

Zaległa długa cisza.

- Przybyłeś, nim cię wezwałem – rzekł starzec swym schrypniętym, pradawnie brzmiącym głosem.

Romulus uśmiechnął się drwiąco.

- Nikt nie będzie kazał mi na siebie czekać – rzekł.

- I przez to upadniesz – powiedział mężczyzna.

Romulus spojrzał na niego gniewnie.

- Daj mi to, po co przybyłem. W przeciwnym razie poznasz gniew wielkiego Romulusa.

Rozległ się niski, stłumiony chichot, jak odległy grzmot, i Romulus czuł, że starzec szydzi z niego.

Miotany wściekłością Romulus rzucił się naprzód, przewrócił stół, podszedł z drugiej strony i stanął przed mężczyzną. Dobył miecza i dźgnął go, lecz gdy spojrzał w dół, ujrzał, że miecz przechodzi przez powietrze, nie czyniąc krzywdy starcowi.

Spojrzał na jego twarz i cofnął się przerażony. Jego policzki były pociągłe i kościste, twarz wymizerowana, a w miejscu oczu znajdowały się dwa puste oczodoły.

Starzec uśmiechnął się i jego twarz pokryła się tysiącami zmarszczek, a Romulus wbrew sobie wzdrygnął się.

- Spoglądasz śmierci w oczy – rzekł starzec. – Jak wygląda? Romulus zaniemówił. W końcu zebrał w sobie wystarczająco dużo odwagi, by rzec:

- Przyszedłem po broń. Broń, dzięki której Tarcza opadnie. Starzec uśmiechnął się.

- Władać nią może jedynie godna osoba. Czy jesteś godzien?

- Odpowiadam jedynie przed Andronicusem. Jam jest Wielki Romulus.

- Tak... - rzekł mężczyzna powoli. – Przynajmniej na tę chwilę. Niebawem nie będziesz odpowiadał przed nikim.

Serce Romulusa zabiło szybciej na te słowa.

- Mów dalej – rzekł gorączkowo.

- Twe przeznaczenie nie jest jeszcze ustalone. Broń może je zmienić. Lecz cena będzie wysoka.

- Zapłacę – rzekł Romulus spieszenie. – Daj mi ją!

Mężczyzna wstał i przeszedł obok Romulusa, przemierzając pomieszczenie w kierunku przeciwległej ściany, aż zniknął w ciemności. Serce Romulusa biło szybko, niespokojnie, gdy niecierpliwie czekał na broń. Czy był to miecz? Oszczep? Czy jeszcze coś innego?

Romulus był skołowany, gdy mężczyzna wrócił, trzymając w dłoni prostą, czarną aksamitną pelerynę. Uniósł ją i złożył na dłoniach Romulusa.

- Co to ma być? – spytał Romulus rozdrażniony.

- Twoja święta broń – padła odpowiedź.

Romulus spojrział na nią, zbity z tropu, zastanawiając się, czy mężczyzna kpi sobie z niego.

- To żadna broń – rzekł. – Zwykła peleryna.

- Nie każda broń ma ostrza – odparł starzec. – Ta broń jest potężniejsza, niż sobie wyobrażasz.

- Założę ją – rzekł Romulus, gotując się do przywdziania jej.

Starzec wyciągnął dłoń i schwycił go za ramię. Romulusa zaskoczyła siła tego uścisku. Jego koścista dłoń była tak silna, że nie potrafił mu się wyrwać. Zdał sobie sprawę, że to spotkanie było magiczne, brały w nim udział siły, których nie pojmował, i po raz pierwszy w życiu strwożył się.

- Załóż tę pelerynę teraz, a umrzesz – rzekł starzec.

Romulus przyjrzał się jej uważnie, zdumiony.

- Załóż ją jedynie, gdy będziesz przekraczał most nad Kanionem. Uczyni cię niewidzialnym i pozwoli ci przedrzeć się przez Tarczę, wkroczyć do Kręgu. Musisz przekraczać most w pojedynkę. By zniszczyć Tarczę na dobre, musisz przeprowadzić ze sobą przez Kanion MacGila, mając na sobie pelerynę. Gdy MacGil postawi stopę na ziemi za Kanionem wraz z tobą, gdy będziesz w tej pelerynie, Tarcza opadnie na dobre.

Romulus przyglądał się pelerynie w zadziwieniu. Wyczuwał, że to prawda.

Po tylu latach wreszcie trzymał w dłoni broń zdolną opuścić Tarczę, dzięki której przejmie Krąg. Nic już nie stało mu na przeszkodzie. W końcu uzyska władzę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Thor siedział przy górnych balustradach zamku. Obracał na wszystkie strony Miecz Przeznaczenia, przyglądając mu się we wczesnorannym świetle. Miecz połyskiwał, rozświetlony każdą możliwą barwą, długi i gładki, niemal przejrzysty. Wykonany był z metalu, którego Thor nie znał. Rękojeść z ciężkiego złota w jego dłoni stawała się jak masło, stapiając się z nią całkowicie, jak gdyby zawsze tam tkwił, jak gdyby on i Miecz byli jednym. Wzdłuż brzegu osadzone były niewielkie rubiny, a na kłindze widniała starożytna inskrypcja, której nie potrafił odczytać.

Przyglądając się mu, Thor zamyślił się. Miecz z całą pewnością był pradawny i Thor zastanawiał się, kto go wykuł, kto władał nim w przeszłości, jak się tu znalazł. Myślał o jego historii. Zastanawiał się nad jego przyszłością. Zastanawiał się nad swoją własną przyszłością. Rozmyślał nad wszystkim, przez co przeszli, by zdobyć Miecz, o ich wyprawie, przekroczeniu Kanionu, Tartuwianu, o wrogim Imperium, jego dżungli, pustyniach, górskich szczytach, miastach niewolniczych i smokach...

Wszystko dla tego. Tego ostrza, tego kawałka metalu, który trzymał w dłoni. Pomyślał o straconych życiach i ujrzał twarze swych przyjaciół unoszących się w wodzie. Pomyślał o wszystkich poległych w Kręgu, o najeździe Andronicusa... wszystko to dla tego Miecza. Cóż takiego kryło się w tej broni?

Thor pomyślał o wszystkich wojownikach, których zabił tym mieczem od czasu swego powrotu. Gdy nim władał, czuł coraz bardziej, że to on włada nim. Nie pojmował tego. A bał się tego, czego nie pojmował.

Przede wszystkim rozważał jednak złowróżbne słowa Aberthola, które wciąż dźwięczały mu w głowie, przez które nie spał całą noc, które przyprowadziły go na powrót tutaj, przed brzaskiem, by znaleźć pociechę i czas na zastanowienie: legenda, która głosi, że władanie Mieczem będzie krótkie.

Czy to oznaczało, że zostanie pokonany? Że niebawem zginie? Kim będzie bez Miecza? Co stanie się z Tarczą? A z Kręgiem?

Thor wiedział, że posiada swe własne moce. Jednak żadna z nich nie mogła się równać sile Miecza. Już teraz czuł się jednością z Mieczem. Czuł się niezwyciężony. Cóż takiego mogłoby go pokonać?

Thor wyczuł pierścień w swej kieszeni. Zdecydował poprosić Gwendolyn o rękę, gdy tylko się przebudzi. Najpierw jednak musiał jej powiedzieć. Nadszedł na to czas. Nim wyruszy na misję, by zabić swego ojca, Gwendolyn musi wiedzieć, kto nim jest.

Jak się zachowa, gdy się dowie? Obawiał się, że źle. Czy będzie się to równało końcowi tego, co między nimi było?

Thor spojrzał na budzące się słońce, od którego promieni połyskiwał Miecz, a jego szare oczy błyszczały, i pomyślał o czekającej go tego dnia bitwie. To dziś pozbędzie się pozostałości armii Andronicusa – i samego Andronicusa. Swego własnego ojca. Sam nie wiedział, jak się z tym czuje. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął jego śmierci. Lecz pragnął także – musiał przyznać – mieć ojca. W głębi duszy czuł się rozdarty. Dlaczego zostało mu narzucone takie przeznaczenie?

Thor wiedział, że gdy nadejdzie czas, nie zawaha się. Zabije go. Lecz pragnął, by mogło być inaczej, pragnął mieć innego ojca. Takiego, z którym mógłby spotkać się po raz pierwszy w ojcowskim uścisku – a nie w walce.

- Tu jesteś – dobiegł go głos.

Thor obrócił się raptownie i ujrzał stojącą na progu Gwendolyn, uśmiechniętą, zaspaną, ze zmierzwionymi włosami. Patrzyła na niego z miłością. Krohn prześlizgnął się obok jej nóg. Gwen podeszła do Thora, a Krohn ruszył naprzód i przyskoczył, liżąc go.

Thor uśmiechnął się, schował Miecz do pochwy, podszedł i chwycił Gwendolyn w objęcia, rad, że coś odwróciło jego uwagę od mrocznych myśli.

- Już świta – rzekła. – Twoi ludzie oczekują cię na dole, w Wielkiej Sali. Czekają was dziś ważkie bitwy i chcą się z tobą naradzić, nim wyruszysz na swój atak.

Thor skinął głową. Spodziewał się tego. Odwrócił się i ruszył przed siebie z Gwendolyn u boku.

Weszli razem do zamku i ruszyli korytarzami z Krohnem przy nodze. Szli w milczeniu, trzymając się za ręce. Serce Thora tłukło się w piersi, miał Gwendolyn tyle do powiedzenia. Chciał jej powiedzieć, że pragnął z nią być już zawsze. Że pragnie, by nosiła pierścień jego matki. I kto był jego prawdziwym ojcem.

Lecz jego serce tłukło się coraz mocniej i był niezdolny wypowiedzieć żadnej z tych rzeczy. Mieli zbyt mało czasu.

W końcu, gdy zeszli po stopniach i skręcili w kolejny korytarz, Thor zebrał się na odwagę. Teraz albo nigdy.

- Gwendolyn, muszę ci o czymś powiedzieć – rzekł drżącym głosem.

Spojrzała na niego zaniepokojona.

Otworzył usta i gdy miał wypowiedzieć słowa, nagle obydwa skrzydła ogromnych drzwi otworzyły się. Thor i Gwendolyn odwrócili się i ujrzeli przed sobą Wielką Salę, komnatę sporych rozmiarów, długą i szeroką na sto stóp. Wzdłuż jej ścian ustawiony był oręż i chorągwie wszystkich wielkich

wojów. Pośrodku znajdował się długi, prostokątny stół, wokół którego siedziały i stały setki wojowników. Wszyscy oni spojrzeli na Thora wyczekująco.

Thor zawahał się przed drzwiami, a Gwendolyn patrzyła na niego, czekając.

Wiedział, że nie była to najlepsza pora.

- Pomówimy później – rzekł.

Odwrócił się i wziął ją za rękę, i weszli razem do sali. Wtedy mężczyźni wstali i, wzbudzając ogromny hałas, uderzyli rękojeściami mieczy o stół okazując im tym samym szacunek.

- Thorgrinson! – zaskandowali.

Uciszyli się w końcu, gdy Thor zbliżył się do nich. Kendrick, Srog, Godfrey, Reece, Elden, O'Connor, Conven oraz kilku innych dzielnych wojowników objęło go. Nowi członkowie Legionu także tu byli, Serna i Krog, jak również tuziny Srebrnych i armii MacGila. Była to wielka i potężna siła.

- Thorgrinsonie – rzekł Srog, gdy sala ucichła. – Żołnierze Silesii oczekują na twe rozkazy. A kolejne tysiące oczekują nas na zewnątrz tej komnaty.

- Jak również cała Srebrna Gwardia i armia MacGila – dodał Kendrick. – Teraz ty dowodzisz armią.

Thor pokręcił głową, kładąc dłoń na ramieniu Kendricka.

- Ty jesteś ich dowódcą – rzekł. – Ja jestem jedynie zwykłym chłopcem ze smokiem i mieczem i zrobię, co w mej mocy, by służyć Kręgowi.

Kendrick uśmiechnął się.

- Będziemy ci towarzyszyć, gdy będziesz atakował Andronicusa – powiedział. – Będziemy jechać równolegle z tobą, na ziemi. Lecząc na smoku, będziesz szybszy, lecz będziemy pędzić co koń wyskoczy i nie pozostaniemy daleko za tobą. Gdy ludzie Andronicusa zaczną uciekać, będziemy ich ścigać i

wykończymy tych, których ty nie będziesz mógł zabić. Choć jesteś potężny, i twój smok i miecz również, jest zbyt wiele miejsc – jaskiń i wszelkiego rodzaju zakamarków – w których mogą się skryć ludzie Andronicusa.

Thor skinął głową.

- Będę zaszczycony, jeśli przyłączycie się do mnie w bitwie. Masz rację – nawet z całą mocą świata nie zdołam dokonać tego w pojedynkę. A walka u boku takiej armii to wielki zaszczyt.

- Dzisiaj – rzekł Srog. – Wyprzemy Andronicusa i jego ludzi. Po zakończonym dniu bitwy Krąg będzie wolny, a Imperium odparte za morze!

- TAK JEST! – rozległ się donośny krzyk aprobaty rycerzy zebranych w sali.

Thor przyjrzał się ich twarzom, twarzom zatwardziałychem w boju mężczyzn, o których dorastając słyszał i których szanował, i w obecności których czuł się zaszczycony przebywać.

Thor miał odpowiedzieć, gdy nagle drzwi komnaty otworzyły się gwałtownie i do środka wparował mężczyzna, którego Thorowi zdało się, że zna. Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego, gdy bez tchu wpadł do pomieszczenia i pomaszerował prosto ku stołowi.

Był to Bronson. Mąż Luandy.

- Wybaczcie mi, zacni rycerze, że was nachodzę – rzekł Bronson, z trudem łapiąc oddech. Jedno oko przykryte miał opaską.

- Przynoszę wspaniałe wieści – rzekł Bronson. – Pilne wieści. Wieści, które wpłyną na dzisiejsze wydarzenia. Przyjechałem aż z drugiej strony Pogórza. Przysłała mnie Luanda. Mówiła z Andronicusem, który złożył propozycję kapitulacji.

Szmer zaskoczenia rozszedł się po Sali. Rycerze odwracali

się i szeptali między sobą.

- To zrozumiałe, że chce się poddać – wykrzyknął jeden z nich. – Jest nas więcej! Wie, że nie został mu więcej niż dzień życia!

- Nie wierzę, by Andronicus kiedykolwiek się poddał! – wykrzyknął inny.

- A jaki ma wybór? – zawołał inny.

- Cisza! – huknął Srog, i sala w końcu uciszyła się wystarczająco, by wszyscy mogli skupić się znów na Bronsonie.

- Rzekł, że podda się osobiście – powiedział Bronson.

- Jakie są jego warunki? – spytał Kendrick.

- Rzekł, że podda się Thorgrinowi i tylko jemu. I że musimy zezwolić jego armii opuścić Krąg, nie wyrządzając im szkody.

Wśród rycerzy rozszedł się ożywiony szmer. Patrzeli po sobie, zdezorientowani.

- Zdaje się, że to rozsądna propozycja – powiedział Brom. – Chce oszczędzić swych ludzi.

- To nie w jego zwyczaju – rzekł inny.

- Cóż innego mu pozostało? – spytał jeszcze inny. – Zapewne naciskają na niego jego generałowie. Ma pół miliona ludzi, a on jest jeden. Widzieli, jakie zniszczenia może zadać Thor.

- Dlaczego mielibyśmy się zgodzić? – zawołał inny. – Co zyskamy, jeśli puścimy ich wolno? Nadszedł czas, by zabić ich wszystkich!

- Z Andronicusem w lochach i podniesioną Tarczą nie będziemy mieli się czego obawiać ze strony jego ludzi. Uniknęlibyśmy rozlewu krwi, także naszej. Żadne życia nie zostałyby dzisiaj stracone. Wszak pozostało mu jeszcze pół miliona ludzi naprzeciw naszym dziesięciu tysiącom.

Wśród mężczyzn wywiązały się sprzeczki. Thor stał tam,

przysłuchując się wszystkiemu.

- Nawet jeśli się zgodzimy – rzekł Kendrick. – To nie w porządku, by Thor szedł sam.

- A skąd mamy wiedzieć, że nie łżesz? – Godfrey spytał Bronsona.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na powrót ku niemu.

- Właśnie, skąd mamy wiedzieć, że możemy ci zawierzyć? – spytał Reece. – Jesteś wszak McCloudem.

- Jestem teraz MacGilem – obstawał Bronson. – Odrzekam się McCloudów. Odrzekam się mego ojca. Wszak to on mnie okaleczył. Walczyłem z wami dzielnie podczas oblężenia Silesii i nie mam powodu, by plamić swój honor. Przysięgam każdą cząstką mej istoty, iż mówię prawdę. Jestem rycerzem, jak i wy. Może i walczyliśmy po przeciwnych stronach, lecz postępujemy według tego samego kodeksu honoru.

Bronson mówił z całkowitą szczerością i Thor widział, że nie kłamie.

- Czego niby miałyby się obawiać Thor? – spytał Elden. – Z Mycoples u boku i Mieczem Przeznaczenia w dłoni wszyscy ludzie Andronicusa naraz nie wyrządzą mu krzywdy.

- Rzeknę, przystańmy na jego kapitulację – powiedział Srog. Kendrick uderzył pięścią w stół i sala ucichła.

- Przyjęcie lub odrzucenie propozycji należy do Thora. To on będzie ryzykował dla nas życie.

Thor stał tam, przysłuchując się i rozważając to w myślach. Z jednej strony z chęcią zaryzykowałby życie dla Kręgu, z drugiej zdawało mu się, że coś jest nie tak. Nie był tylko pewien co. Choć, jak powiedzieli, cóż takiego Andronicus mógłby mu zrobić? Z Mieczem i Mycoples czuł się niezwyciężony.

- Wolałbym zabić Andronicusa, niż przystać na jego kapitulację – odparł Thor. – Lecz jeśli tego sobie życzycie,

uszanuję to. I pójdę.

Wśród rycerzy rozległy się wiwaty.

- Przyjmę jego kapitulację – rzekł Thor. – I upewnię się, że każdy jeden z jego żołnierzy opuści Krąg.

- Nie! – zawołała Gwendolyn.

W sali zapadła cisza, gdy wszyscy odwrócili się i spojrzeli na nią.

- Nie możesz tam pójść – rzekła do Thora. – To niesprawiedliwe, że ty w pojedynkę masz ryzykować życie.

Thor odwrócił się ku niej, poruszony jej troską.

- Pani – rzekł Srog. – My także nie chcemy stawiać Thorgrina w niebezpiecznej sytuacji. Lecz jakim sposobem coś może mu się stać?

Gwendolyn pokręciła głową.

- Poślijcie kogoś innego. Thorgrin wrócił dopiero z wyprawy, podczas której ryzykował życie dla Kręgu. Jego zasługi są wystarczające.

W pomieszczeniu zaległa cisza, a Thor spojrział na Gwendolyn, przepełniony miłością do niej. Ona jednak nadal nie pojmowała. Dla Thora było to coś więcej niż zmierzenie się z wrogiem: chodziło o zmierzenie się ze własnym *ojcem*. A tego Gwendolyn nigdy nie pojmie, póki jej nie powie. Nadszedł czas.

Chwycił Gwendolyn za rękę, pochylił się i ucałował jej dłoń, po czym rzekł cicho:

- Muszę ci coś wyznać. Pomówmy na osobności.

* * *

Thor chwycił Gwendolyn za rękę i wyprowadził z komnaty. Odprawiały ich setki zdumionych spojrzeń. Szli korytarzem,

aż dotarli do niewielkiej prywatnej komnaty. Weszli do środka, a służdy zamknęli za nimi drzwi.

- Nie możesz mu ufać – rzekła żarliwie, odwracając się ku niemu. – Stań z nim do walki. Zabij go. Lecz nie idź sam, by przyjąć jego kapitulację. Być może myślę o sobie. Lecz już raz mi cię odebrano i myślałam, że nigdy nie powrócisz. Miałam wrażenie, iż moje życie się skończyło. Teraz, gdy tu jesteś, czuję, że odżyłam i nie pozwolę, byś znów ryzykował swe życie. Wybacz. Poślijcie kogoś innego. Andronicus nie musi poddawać się tobie. Może się poddać komukolwiek. Nie rozumiem, co to za fiksacja na twym punkcie. Proszę. Poślijcie kogokolwiek, byle nie ciebie.

Thor potrząsnął powoli głową.

- Kocham cię, Gwendolyn – rzekł. – Nad życie. I jestem głęboko poruszony twoją troską o mnie. Lecz muszę przyjąć kapitulację Andronicusa. Może to oszczędzić życia tysiący naszych ludzi w walce. Śmierć tych ludzi będzie ciążyć na moim sumieniu. Muszę iść. Zmusza mnie do tego mój honor.

Gwendolyn zaczęła płakać.

- Nie możesz iść – nalegała. – Nie teraz. Zbyt wiele jest do stracenia. Nie chodzi już tylko o ciebie.

Zanosila się płaczem i Thor czuł, jak pęka mu serce. Położył dłoń na jej ramieniu i spojrzał na nią skołowany.

- O czym mówisz? – spytał.

Czuł, że nie mówi mu wszystkiego, że jest coś, o czym rozpaczliwie chce mu powiedzieć, i nie wiedział, co to mogło być.

- Czuję, że coś przede mną ukrywasz – rzekł. – Powiedz mi, o co chodzi. Dlaczego mam nie wyruszać?

Gwendolyn spojrzała na niego i wyczuł, że chce mu coś wyznać – lecz odwróciła się gwałtownie, ocierając łzy i

spoglądając za okno.

- Wybacz, że płaczę – rzekła. – To zachowanie niegodne królowej.

Thor podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie znam nikogo, kto zachowywałby się bardziej jak królowa niż ty – rzekł.

Uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi.

Thor przełknął ślinę, a serce waliło mu jak młot. Wiedział, że nadszedł czas, by jej powiedzieć. Nie mógł już tego dłużej przed nią ukrywać.

- Gwendolyn – zaczął, odchrząknąwszy. – Jest inny powód, dla którego to ja muszę spotkać się z Andronicusem.

Przełknął ślinę, nie chcąc wypowiadać tych słów, lecz wiedząc, że musi to zrobić.

- To bardziej skomplikowane, niż myślisz – ciągnął dalej. – Istnieje powód, dla którego chce się poddać mnie, i tylko mnie.

Spojrzała na niego zbита z tropu.

- O czym mówisz? – spytała.

- Widzisz – zaczął, po czym przerwał. – Ja... dowiedziałem się czegoś. Czegoś, czego... wolałbym nigdy nie wiedzieć. Nie mogę uczynić nic, by to zmienić. I pcha mnie to ku czynom, które muszę wykonać.

- Nie rozumiem – rzekła.

Spojrzała na niego, nie pojmując, a serce Thora tłukło się tak, że niemal wyrywało się z piersi, i zaschło mu w gardle. Przerażała go myśl, że gdy wypowie te słowa, to, co między nimi jest, przepadnie na zawsze.

- Istnieje powód, dla którego muszę spotkać się z Andronicusem... – rzekł. – Powód, dla którego to ja muszę go zabić.

- By mnie pomścić? – spytała Gwendolyn.

Thor przełknął ślinę.

- Tak, by cię pomścić – rzekł. – Lecz nie tylko.

Wpatrywała się w jego oczy, a on stał przed nią, drżąc, chcąc wyrzucić z siebie słowa, zbierając siły.

- Widzisz, Gwendolyn... – rzekł, po czym przerwał.

W końcu wziął głęboki oddech i wyrzucił z siebie:

- Andronicus jest moim ojcem.

Gwendolyn wpatrywała się w niego, zastygła w miejscu, i zamrugła kilka razy w zupełnym szoku. Zdawało się, że z początku nie jest nawet w stanie pojąć znaczenia jego słów.

Jednak po chwili otworzyła szeroko oczy i usta. Podniosła do nich dłoń i bezwiednie postąpiła kilka kroków w tył, odsuwając się od Thora.

Thor dostrzegł na jej twarzy przerażenie i nienawiść, prawie takie, jak gdyby patrzyła na samego Andronicusa. Zdruzgotał go ten widok.

- To niemożliwe – wyszeptała.

Thor skinął ponuro głową.

- To prawda. Jest mym ojcem.

Łzy znów potoczyły się po policzkach Gwen, gdy wpatrywała się w niego zupełnie nowymi oczyma, jak gdyby patrzyła na potwora. Thor nie potrafił się powstrzymać od wrażenia, że nic między nimi nie będzie już takie samo.

- Gwendolyn... - zaczął.

- Zostaw mnie! – warknęła.

Ton jej głosu był paskudny, przepełniony jadem i nienawiścią.

- ZOSTAW MNIE! – krzyknęła.

Thor spojrzał na nią, ujrzał gniew w jej oczach i poczuł, że cały jego świat rozpada się na kawałki. Nie miał już po co żyć.

Obrócił się na pięcie i wypadł z komnaty, nie dbając dłużej o

to, czy żył, czy nie. Teraz zostało mu już tylko jedno miejsce w świecie:

Nastał czas, by poznał swego ojca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Gwendolyn stała w zamkowej komnacie, patrząc przez okno i obserwując, jak Thor odlatuje na Mycoples. Jej wielkie skrzydła uderzały na rozwidniającym się niebie, a sylwetka rysowała się na ogromnej kuli wschodzącego słońca. Łzy spływały po policzkach Gwendolyn, gdy próbowała złapać oddech, targana milionem sprzecznych emocji. Czuła się zdradzona przez Thora, przez jego nowiny, zdradzona, gdy dowiedziała się, że jest synem Andronicusa, osoby, której nienawidziła najbardziej na świecie. Czuła się zdradzona, że to przed nią ukrywał. I czuła się zdradzona, po raz kolejny, przez świat.

Dlaczego jej przeznaczenie musiało być tak okrutne? Dlaczego w całym wszechświecie nie znalazł się ktoś inny – *ktokolwiek* – by być ojcem Thora? Dlaczego musiała to być jedyna osoba, która przepełniała umysł Gwendolyn nienawiścią, żądzą zemsty?

Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że nie ma prawa złościć się na Thora. Nie mogła go winić za jego pochodzenie. Thor był dla niej zawsze dobry, kochający i uprzejmy, a ona obwiniła go za to, skąd się wywodzi. I, co oczywiste, Thor miał także matkę, nie płynęła w nim jedynie krew jego ojca.

Gwen czuła się zawstydzona swoją reakcją. Rozdzierało ją poczucie winy i straty, i pomyślała, że być może nieumyślnie pchnęła go ku bitwie, od której chciała go odwieść.

Patrząc, jak znika na widnokręgu, wiedziała, że jest w drodze, by zmierzyć się ze swym ojcem. I wiedziała, że jeśli Andronicus się nie podda, Thor zabije go, jeśli będzie trzeba.

Wiedziała, że Thor odczuwał względem Andronicusa tę samą nienawiść i, myśląc logicznie, wiedziała, że nie ma racji, złościąc się na Thora. Wręcz przeciwnie, powinna była okazać mu współczucie i wesprzeć go: wszak, była przekonana, ona sam cierpiał przez te wieści.

Nowiny Thora wciąż rozbrzmiewały jej w głowie i nie potrafiła zaradzić swej naturalnej reakcji, swym powracającym wciąż uczuciom. Położyła dłoń na brzuchu i dotarło to do niej na jeszcze głębszym poziomie: te wieści znaczyły wszak, że nosiła w sobie wnuka Andronicusa.

Miała ochotę płakać i krzyczeć na cały świat. To dziecię w jej łonie, które już teraz kochała ponad życie. Czy wyda na świat potwora?

Choć należało spojrzeć na to inaczej – Thor nie był przecież potworem. Lecz Andronicus z pewnością nim był, a ona wiedziała, że czasem pewne cechy omijają jedno pokolenie.

Gwendolyn stała przy oknie, wpatrując się w puste niebo. Thor zniknął jej z oczu, i gdy tak trwała bez ruchu, odczuła, że ponad inne emocje wybija się nagła troska o jego dobro. Wszak Thor leciał prosto na spotkanie z najniebezpieczniejszym mężczyzną świata, spotkanie, ku któremu nieumyślnie go pchnęła. Co jeśli nigdy z niego nie wróci? Będzie jej to ciążyło po kres jej dni. Już teraz czuła się za to odpowiedzialna.

Miała ochotę wychylić się przez okno i zawołać, by wrócił. Że przeprasza. Zarazem czuła, że po części, tylko odrobinę, pragnie, by odleciał i nigdy nie powrócił, i by wszystkie jej zmartwienia uleciały wraz z nim. Nienawidziła siebie za tę myśl i nie wiedziała, jak ma się czuć, co myśleć.

Kątem oka dostrzegła nagły ruch po drugiej stronie dziedzińca. Spojrzała w dół i ujrzała coś, co ją zaskoczyło: po drugiej stronie Silesii, mijając północną bramę, ukazała się armia

kilku tysięcy mężczyzn, maszerujących powoli w równym szyku. Z początku nie pojmowała, co to. Oznaczenia na zbrojach nie należały do Imperium, przypominały za to te MacGilów. Jednak ich barwy były inne: głęboki szkarłat i błękit, a na niesionym przez nich sztandarze widniało godło samotnego wilka.

Trzon armii zatrzymał się przed bramami, a niewielki oddział, tuzin dobrze odzianych oficerów w pięknych futrach, podjechał naprzód, wkraczając do Silesii. Najwyraźniej mieli jakąś wiadomość do przekazania. Albo ostrzeżenie. Gwen nie potrafiła stwierdzić, czy mają przyjazne zamiary, czy nie. Jej intuicja podpowiadała jej jednak – wnioskowała to ze sposobu, w jaki się poruszali – iż ich intencje były wrogie.

Nie rozumiała, co się działo ani kim byli ci ludzie. Wróciła myślami do czasów, gdy odbierała nauki i przypomniała sobie, że widziała to godło i barwy w księdze. Majaczyło jej w głowie także jakieś odległe wspomnienie, kiedy ojciec jako małą dziewczynkę zabrał ją z wizytą do swego młodszego brata, młodszego MacGila, na Wyspy Górne. Gwen nigdy nie zapomniała spędzonego tam czasu. Mogłaby przysiąc, że ten sztandar, te barwy widziała właśnie tam.

Czy to mogli być oni? Jej kuzyni ze strony ojca? Jeśli tak, cóż robią tutaj, teraz? Czy przybyli jej z pomocą?

Był taki czas, gdy jej ojciec i jego młodszy brat byli sobie tak bliscy, jak tylko bracia mogą być, lecz pamiętała, że się poróżnili, że nigdy więcej ze sobą nie rozmawiali, a ich ojciec przestrzegał ich wszystkich przed swym bratem. Nie potrafiła sobie wyobrazić, po co mieliby się tu zjawić, lecz bez względu na powód, wątpiła, by chodziło o pomoc.

Gwendolyn odwróciła się i szybkim krokiem przemierzała korytarze. Zapełniały się już żołnierzami, którzy także dostrzegli armię. Cały zamek zaczynał się poruszać, spieszyć, by wyjść im

na spotkanie. Gwendolyn spieszyła wraz z nimi, zbiegając po krętych kamiennych schodach z bijącym mocno sercem, zastanawiając się, co się dzieje.

Miała złe przeczucie, że cokolwiek to było, nie zapowiadało nic dobrego.

* * *

Gwendolyn stała na środku sielsiańskiego dziedzińca. Po obu jej stronach dumnie stanęli Kendrick, Srog, Brom, Atme, Godfrey, Reece i tuzin członków Srebrnej Gwardii, czekając, aż oddział żołnierzy do nich podejdzie. Mężczyźni trzymali dłonie na rękojeściach swych mieczy, w gotowości.

- Pani, czy zebrać armię? – spytał Kendrick. Słyszała niepokój w jego głosie. Patrzyła na zbliżający się oddział, może dwunastu mężczyzn, i nie dostrzegła, by gotowali się do zdobycia broni. Wyczuwała, że ta armia w istocie może być wroga, lecz nie ten oddział. Być może nadchodził z wiadomością – lub propozycją.

- Nie – odrzekła. – Na to mamy mnóstwo czasu. Wysłuchajmy, co mają do powiedzenia.

- Czy to barwy drugich MacGilów? – spytał Reece głośno. – Z Wysp Górnych?

- Na to wygląda – rzekł Kendrick. – Lecz cóż oni tutaj robią?

- Być może zjawili się, by nas wesprzeć – powiedział Atme.

- Lub by wykorzystać nas, gdy jesteśmy najslabsi – dodał Godfrey.

Te same myśli przelatowały Gwendolyn przez głowę.

Mężczyźni zbliżyli się i w końcu zatrzymali kilka stóp przed nimi. Zsiedli z koni. Jeden z żołnierzy wyszedł przed pozostałych,

otoczony czterema mężczyznami, patrząc wprost na Gwendolyn. Był to mężczyzna postawny, odziany w najświetniejsze szkarłatne futra, a gdy zdjął hełm, Gwendolyn natychmiast rozpoznała te potargane siwe włosy i ospowatą twarz.

Był to jej stryj – Tirus MacGil.

Tirus, wiekiem zbliżony do jej ojca, postarzał się znacznie, od kiedy widziała go po raz ostatni, gdy była dzieckiem. Brodę miał teraz gęsto poprzetykaną siwizną, a troski wyryły na jego twarzy wiele zmarszczek. Nie był tak sympatyczny i beztroski, jakim Gwen go pamiętała. Jego twarz przybrała surowy, pozbawiony humoru wyraz. Nie uśmiechnął się na powitanie, jak zwykł robić, gdy była dzieckiem, kiedy to śmiał się beztrosko, podnosząc ją i wirując z nią dokoła. Zbliżył się wyprężony, jak przeciwnik, z zaciśniętymi szczękami. Patrzył na nią beznamiętnie swymi brązowymi oczami.

Z jednej strony ucieszyła się niezwykle na jego widok, gdyż bardzo przypominał jej ojca, przez co gorąco za nim zatęskniła. Z drugiej strony przez postawę jego i jego żołnierzy poczuła w żołądku ucisk taki, jaki poczułaby, stając naprzeciw każdego innego przeciwnika.

Tirus zatrzymał się kilka stóp przed nią i utkwiał w niej chłodne spojrzenie. Nie uklonił się, nie skinął głową ani nie ucałował jej dłoni, mimo tego, że miała na sobie królewską pelerynę Silesii i z pewnością zdawał sobie sprawę z tego, że jest królową. Zauważyła tę oznakę braku szacunku.

- Przybyłem odebrać to, co zgodnie z prawem należy do mnie – oznajmił donośnym, grzmiącym głosem, skierowanym nie tylko do niej, lecz do wszystkich, którzy mogli go usłyszeć. – Mój najstarszy brat, król MacGil, nie żyje. Prawo głosi, że korona przechodzi na kolejnego najstarszego brata – czyli na mnie.

Gwen poczerwieniała. Więc o to mu chodziło. Powinna była

się domyślić. Jej ojciec ją przestrzegał.

Odchrząknęła i zwróciła się do niego równie tonem równie pewnym i oficjalnym:

- Jak doskonale zdajesz sobie sprawę, nie tak stanowi prawo Kręgu – odrzekła Gwendolyn. – Nasze prawo zwyczajowe nakazuje, by korona przeszła na wyznaczone dziecko zmarłego króla.

- *Wasze* prawo – rzekł Tirus. – Nie moje. Zmieniacie wasze prawo, jak wam się podoba. My pochodzimy z Wysp Górnych, nie z głównej części Kręgu, i mamy własne prawo.

- Mój ojciec nie dokonywał żadnych zmian w prawie – poprawiła go, doskonale znając historię. Wszystkie lata czytania opłaciły się. – To samo prawo obejmowało siedem pokoleń królów z rodu MacGil, zostało ustanowione przez Harthena MacGila i zatwierdzone przez Najwyższą Radę, nim wzniesiono Królewski Dwór. Jeśli ktokolwiek zmienia prawo, to czynisz to ty.

Tirus poczerwieniał na twarzy, nie spodziewając się takiej riposty. Wyraźnie tego nie pojmował.

- Zbyt dużo nauki odebrałaś, dziewczyno – rzekł. – Zawsze tak było. Zbyt mądra jesteś, by miało ci to wyjść na dobre. By władać królestwem trzeba czegoś więcej niż ksiąg. Być może znasz zawilóści prawa. Lecz ja przybywam z prawdziwym życiem. Mój najstarszy brat nie żyje i nie dbam o to, co mówi wasze prawo – jestem prawowitym następcą tronu. Czekałem wystarczająco długo, niemal całe swe życie. Przybyłem, by odebrać to, co mi się należy. Bez względu na to, czy wasze prawo mi to zapewni, czy nie.

Tirus westchnął.

- Twój ojciec i ja byliśmy sobie niegdyś bliscy – dodał. – I dlatego przybywam z uprzejmą i wspaniałomyślną propozycją.

Dam ci szansę pokojowego przekazania królestwa w me ręce. Władowałaś nim niedługi czas – nie powinnaś zbyt tęsknić. Jesteś wszak kobietą – i do tego młodą. Nie było ci to pisane. Oddasz władzę w moje ręce, a ja zdejmę te obowiązki z twych barków. I tak nie wiesz, jak rządzić królestwem. Jako twój przywódca potraktuję cię dobrze. Wszyscy znajdziecie miejsce w moim królestwie. Rzecz zrozumiała, przeniosę tutaj mój dwór i ludzi i niektórzy z was będą musieli się przenieść. Lecz nie martwcie się, znajdziemy wam inny dom. Wasze podatki wzrosną i będziecie walczyli w służbie u mnie, ale będę sprawiedliwym królem.

- Tak sprawiedliwym, jakim jesteś obecnie dla swych ludzi?
– spytał Kendrick.

Tirus odwrócił się i spojrzał na niego, gotując się ze złości.

- Nasz ojciec wielokrotnie zabierał nas w odwiedziny na twoje ziemie – dodał Kendrick. – Byliśmy dziećmi, ale co widzieliśmy, to widzieliśmy. Byłeś okrutnym panem. Twoi ludzie cię nienawidzili. Nie widziałem tam ani śladu dobroci i sprawiedliwości, którymi się przechwalasz.

Tirus zacisnął szczęki.

- Otwierasz usta, gdy powinieneś słuchać, chłopaku – wycedził przez zęby Tirus. – Ledwie cię odstawili od piersi matki. Pozwól prawdziwym mężczyznom powiedzieć ci, jak naprawdę wygląda świat.

- Czcza gadanina – zripostował Kendrick. – Twoją wadą jest to, iż uważasz się za lepszego niż w rzeczywistości jesteś.

Tirus spurpurowiał, zaciskając dłoń na rękojeści miecza. Widocznie nie przywykł, by odzywano się do niego w ten sposób. Najwyraźniej przywykł, że wszyscy mu ulegali.

- I to mówi bękart swego ojca?

Tym razem to Kendrick poczerwieniał.

- Jestem pierworodnym mego ojca. I do tego pierworodnym

synem. Prawo oddałoby tron *mnie*. Lecz mój ojciec zdecydował się przekazać go Gwendolyn – a ja szanuję jego decyzję. W przeciwieństwie do ciebie, który przybyłeś, by upominać się o coś, co nie należy do ciebie.

- Jesteś tylko bękartem – rzekł Tirus. – I gdyby twój ojciec miał krztynę rozumu w głowie, usłuchałby mnie i zabiłby cię w dniu, w którym się narodziłeś. Pozostawienie cię przy życiu było kolejnym przykładem jego ogromnej głupoty.

Kendrick złapał rękojęść miecza i zrobił krok naprzód, i rycerze po obu stronach natychmiast dobyli swych mieczy.

Gwendolyn wyciągnęła dłoń i położyła ją na nadgarstku Kendricka. Obrócił się i spojrzał na nią. W jego oczach dostrzegła furję – nigdy jeszcze nie widziała go tak rozdrażnionego. Jednak pod kojącym dotykiem jej dłoni uspokoił się.

- Innym razem, bracie – rzekła, kładąc nacisk na słowo „bracie”.

Kendrick uspokoił się i rozluźnił na jej słowa.

Gwen odwróciła się do Tirusa, zdecydowana pozbyć się tej gnidy ze swego miasta.

- Kendrick jest mym *prawdziwym* bratem – rzekła do Tirusa. – Jest dla mnie równie *prawdziwym* bratem, co reszta mego rodzeństwa. I gdyby poprosił mnie o koronę, z chęcią bym mu ją oddała.

Westchnęła.

- Lecz życzeniem mego ojca było, bym to ja ją nosiła, i Kendrick uszanował tę decyzję. Ja także, bez względu na to, czy podoba mi się ta rola, czy nie. Ty również powinienesz uszanować życzenie swego starszego brata. Był ci dobrym i uprzejmym bratem. Czy sądzisz, że uradowałby go widok tego, co robisz?

Tirus wpatrywał się w nią i widziała, jak na przemian zaciska i rozluźnia szczęki. Najwyraźniej pojęcie tego

przekraczało jego możliwości i nie spodziewał się, że będzie tak trudno.

- Mój brat nie dbał o nic prócz tronu – rzekł Tirus ponuro. – I siebie.

- Czy to dlatego próbowałeś go zabić? – wtrącił się Godfrey. – Pamiętam tę ucztę tamtej nocy, w twym zamku. Trucizna, którą miał wypić nasz ojciec, zabiła twego syna.

Tirus wpadł w furję.

- Spuściłbym ci lanie, chłopcze, gdybym mógł.

- To wasz ojciec próbował otruć naszego – zawołał żołnierz stojący obok Tirusa. – Ta trucizna zabiła naszego brata.

- Miał pięciu synów mam teraz tylko czterech, dzięki niemu – dodał Tirus.

Gwendolyn przyjrzała się uważnie czterem żołnierzom stojącym obok Tirusa. Każdy z nich miał podniesioną zasłonę hełmu i Gwen rozpoznała ich z czasów dzieciństwa. Jej czterej kuzyni. Byli w wieku zbliżonym do jej rodzeństwa i była zdumiona, że tak wydorosleli. Stali się prawdziwymi rycerzami. Wielka szkoda, że byli synami tego mężczyzny, gdyż kiedyś byli dobrymi ludźmi, bliskimi jej jak rodzeństwo.

- A co stało się z twą córką? – spytał Reece.

Tirus spojrział na niego spode łba. Być może wspomniał uczucie, jakie Reece do niej żywił.

- Ona także żyje – odparł niechętnie.

- Czy zatem córka niewarta jest, by o niej wspominać? – spytała Gwendolyn. – Czy taką właśnie sprawiedliwość zaprowadzisz w swym królestwie?

Tirus spojrział gniewnie.

- Kobiety są mieniem – odparł. – Twój ojciec był głupcem, mianując cię królową, próbując zrobić z kobiety coś więcej, niż jest.

Teraz z kolei Gwen poczerwieniała. Zmusiła się jednak, by zachować spokój.

- *Jestem* królową – rzekła. – I nie możesz nic na to poradzić.

Tirus potrząsnął głową i uśmiechnął się po raz pierwszy. Był to szyderczy uśmiech.

- Czyżbyś nie widziała mej armii ustawionej przed twymi murami? Mam po dwakroć więcej ludzi niż ty. Wszyscy oni to zahartowani mieszkańcy Wysp Górnych. Mieszkali pod gołym niebem całe swe życie, w mroźnym deszczu i chłodzie, spali na kamieniach, nie zakosztowali nigdy wygód. Wszyscy oni są mi lojalni aż do śmierci.

- Kolejny z przykładów twej dobroci i sprawiedliwości? – spytał Godfrey gorzko.

Tirus poczerwieniał, przyłapany raz jeszcze.

- Ci ludzie zabiją na mój rozkaz – ciągnął dalej. – Złożyłem wam wspaniałomyślną propozycję. Drugi raz jej nie powtórzę. Przekaż mi tron, a pozwolę wam wszystkim żyć. Wyraż sprzeciw, a nasi ludzie zmiążdżą twoich. Masz jedną noc na podjęcie decyzji. Dasz mi odpowiedź o brzasku, albo będziesz świadkiem ostatecznego zniszczenia twego miasta, a ja przejmę Zachodnie Królestwo siłą.

Tirus odwrócił się, by odejść, lecz nim zdołał to zrobić, Gwendolyn wystąpiła naprzód i zawołała:

- Stryju! Możesz już teraz usłyszeć moją odpowiedź, jeśli sobie tego życzysz.

Tirus zatrzymał się i odwrócił ponownie w jej stronę z wyrazem zadowolenia na twarzy. Uśmiechnął się, wyraźnie gotując się na to, że usłyszy jej zgodę.

- Jesteś jedynie tyranem i tchórzem – rzekła. – Mój ojciec spogląda na ciebie z dezaprobatą. Nigdy więcej nie przekraczaj tych bram. Jeśli to zrobisz, napotkasz armię mieczy, które odeślą

cię okrytego hańbą na powrót na Wyspy Górne.

Na jego twarzy odmalował się szok. Najwidoczniej nie spodziewał się takiej siły i nieposłuszeństwa ze strony kobiety. Pokręcił głową z dezaprobatą.

- Mówisz pochopnie – rzekł. – To nie przystoi władcy.

- Niezdecydowanie również nie przystoi władcy – zripostowała. – Podobnie jak, pragnę dodać, chciwość i oportunizm, zwłaszcza kierowane w stronę własnej rodziny.

Tirus spoważniał.

- Jesteś młoda i głupia. Przez wzgląd na twego ojca dam ci jedną noc, byś przemyślała te naprędce wyrzucone słowa i by twoi doradcy zdołali przemówić ci do rozumu. O brzasku z przyjemnością przyjmę twe przeprosiny i przystanę na kapitulację.

Tirus odwrócił się wraz ze swym orszakiem, dosiadł konia i odjechał. Gwen dostrzegła wyrazy twarzy niektórych jej kuzynów, jak gdyby chcieli przeprosić za swego ojca i zbliżyć się do niej, jak za czasów dzieciństwa.

Niebawem oddział minął bramy Silesii i zniknął im z oczu.

- Zamknąć bramy – rozkazała Gwendolyn.

Kilku żołnierzy ruszyło naprzód i opuściło ciężką żelazną bronę. Wkrótce wszystkim, co pozostało na cichym wewnętrznym dziedzińcu były odcisnięte w ziemi ślady kopyt.

Gwendolyn odwróciła się i spojrzała na pozostałych, którzy zwrócili się w jej stronę i stali oszołomieni w ciszy poranka.

- Dobrze sobie poradziłaś – rzekł Kendrick. – Przyniosłaś naszemu ojcu chlubę.

- To parszywiec – powiedział Reece. – I łgarz, i fanfaron.

- Zawsze szukał okazji, by zrzucić naszego ojca z tronu – rzekł Godfrey. – A teraz, gdy nie żyje, a Andronicus ma opuścić granice kraju, dostrzegł swoją szansę.

- Legalne prawo nie stoi po jego stronie – rzekł Aberthol.
- Lecz stoi za nim jego armia – zauważył mądrze Srog. –
Oczywiście możemy się bronić. I będziemy. Nasze miasto
zbudowane zostało tak, by przetrzymać oblężenie. Jednak po
ataku Imperium mamy znacznie mniej możliwości obrony. On,
niestety, wybrał idealną chwilę, gdy jesteśmy słabi i narażeni na
atak.

- Jakie mamy szanse? – spytała Gwendolyn.

Srog skrzywił się.

- Możemy powstrzymać jego dziesięć tysięcy ludzi – rzekł. –
Przez jakiś czas. Możemy zabić sporą ich część. Lecz w końcu
stracimy większość naszych. Patrząc na to strategicznie, nie
możemy sobie teraz pozwolić na wojnę. Potrzebujemy czasu, by
się odbudować, dojść do zdrowia, umocnić. Patrząc na to
strategicznie, najlepszym posunięciem byłoby przyjęcie jego
propozycji.

- Przyjęcie?! – rzekł oburzony Godfrey. – Czy po to
wyparliśmy Andronicusa, by żyć jako niewolnicy pod kimś
innym?

- Co z Thorem, z Mycoples? – spytał Reece. – Nie bierzemy
ich pod uwagę? Thor niebawem wróci, po przyjęciu kapitulacji
Andronicusa, i będziemy dysponować mocą, której
potrzebujemy, by odeprzeć kuzynów MacGilów.

- A co jeśli MacGilowie zaatakują, nim Thor powróci? –
spytał Srog.

- Co jeśli Thor nigdy nie powróci? – zapytał Brom.

Wszyscy spojrzeli na niego przerażeni.

- Jak mogłeś rzec coś takiego? – spytał Godfrey.

Brom opuścił głowę.

- Wybaczcie. Lecz musimy przygotować się na każdą
ewentualność. Thora nie ma tu teraz, by nas bronić. A nie

możemy planować bitwy z udziałem nieobecnych wojowników.

Gwendolyn stała, przysłuchując się wszystkim zdaniom. Nauczyła się od swego ojca, by nigdy nie mówić, gdy robią to inni, zwłaszcza gdy udzielają rad. Wzięła sobie tę poradę do serca.

- Sądzę zatem, że powinniśmy się zastanowić, czy wybierzemy wolność i śmierć, czy zniewolenie i życie – zauważyła Gwendolyn. – Przed tym samym wyborem stanęliśmy nie tak dawno temu, podczas najazdu Imperium. I wszyscy znamy odpowiedź. Życie jest ważne, lecz wolność jest nam droższa niż życie.

Wśród mężczyzn rozległ się pomruk aprobaty.

Odwrócili się wszyscy i ruszyli w stronę zamku. Idąc, Gwendolyn podniosła wzrok ku niebu.

Thor, poprosiła w duszy. Proszę, wróć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Gwendolyn spieszyła korytarzami zamku, nie mogąc się otrząsnąć ze spotkania ze stryjem i zastanawiając się, jak postąpić. Nie była już tą samą Gwendolyn, co kiedyś, przed atakiem Andronicusa. Świat zahartował ją, przyjęła wszystko, co w nim najgorszego i nie lękała się już gróźb mężczyzn. Stawiła czoła Tirusowi, zmierzyła się z nim, i naprawdę myślała tak, jak mu rzekła. Była gotowa walczyć do śmierci. Miała dosyć ucieczki przed niebezpieczeństwem ze strachu przed mężczyznami.

Zarazem dręczyło ją poczucie winy – wiedziała, że jest nie tylko dowódcą armii, lecz także królową ludu. Mieszkańcy byli od niej zależni. Siły Tirusa były znacznie liczniejsze, bardziej wypoczęte i miały lepszy oręż. Mądrze przeczekali najazd Andronicusa na Wyspach Górnych i wybrali najlepszą dla siebie chwilę: zjawili się teraz dobrze odżywieni i dobrze uzbrojeni, gotowi siać zniszczenie w oblężonym i podniszczonym mieście. Taki właśnie był jej stryj: oportunistą do ostatka. Nie zaskoczyło jej to – całe życie czyhał na tron jej ojca i teraz, w chwili, gdy dzieci jego brata były najslabsze, dojrzał swą szansę.

Gwendolyn musiała o tym z kimś pomówić, z kimś spoza jej stałego kręgu doradców, kimś o przenikliwym zmyśle politycznym i doświadczonym w sprawach mężczyzn. Maszerując korytarzami odkryła, że – choć zdziwiło ją to – ma chęć pomówić ze swą matką, poprzednią królową. Chciała lepiej poznać mężczyznę, który był jej stryjem, który wszak był bratem męża poprzedniej królowej. Niekoniecznie chciała usłyszeć radę; chciała z kimś pomówić. A od czasu, gdy stała się bardziej zahartowana Gwendolyn odkryła, że w pewien dziwny sposób

coraz bardziej zaczyna rozumieć swą matkę.

Widząc, że się zbliża, słudzy stanęli na baczność i otworzyli drzwi komnaty jej matki. Gwendolyn weszła do środka. Zastała ją przy niewielkim stole, grającą samą w szachy, jak zwykła robić. Przywołało to wspomnienia, gdy Gwen grywała z nią. Teraz jej matka była samotną kobietą, zahartowaną i zimną, niepragnącą niczyjego towarzystwa, jedynie gry.

Niedaleko niej stała jej stara, zaufana służka, Hafold, która zawsze zdawała się być przy niej.

Gdy Gwendolyn weszła do komnaty, jej matka odwróciła się i spojrzała na nią, co zaskoczyło Gwen, gdyż jej matka zwykle ją ignorowała. Teraz jednak patrzyła na nią z zupełnie nowym szacunkiem.

- Zostaw nas – rozkazała jej matka Hafold i w przeciwieństwie do tego, co działo się w przeszłości, Hafold pokłoniła się i wyszła spiesznie. Obie okazały Gwen szacunek, którego wcześniej u nich nie dostrzegła. Jak gdyby jej matka patrzyła na nią zupełnie innymi oczyma.

Drzwi zamknęły się za nią, a Gwendolyn nie ruszała się z miejsca, sama naprzeciw matki.

- Usiądź, proszę.

- Nie mam ochoty na grę – odrzekła Gwendolyn.

Jej matka pokręciła głową.

- Nie musimy grać. Po prostu usiądź. Jak kiedyś.

Gwendolyn podeszła i usiadła obok matki. Siedziały ukośnie względem siebie przy niewielkim stoliku szachowym. Gwen spojrzała w dół i przyjrzała się misternie rzeźbionym pionkom, niewielkim figurkom wojskowym odzianym w czarne i białe szaty, dzierżącym magiczny oręż.

Gwendolyn westchnęła i wyjrzała przez okno.

- Ucieszyła mnie wiadomość o twoim powrocie z Wieży –

rzekła jej matka. – Nie podobało mi się to twoje odosobnienie. Należysz do tego świata i musisz w nim być.

Gwendolyn skinęła głową w odpowiedzi. Zaskoczyło ją to, że jej matka dbała o nią, i że była taka miła. Najwyraźniej utrata męża i władzy sprawiła, że spokorniała. To nie była ta sama matka, przy której dorastała.

- Twoi poddani cieszą się, że powróciłaś – rzekła jej matka. Zawahała się, następnie dodała: – I mnie także to cieszy.

Gwendolyn odwróciła się i ujrzała, że jej matka uśmiecha się do niej i spogląda oczyma pełnymi współczuciami, po raz pierwszy w życiu. Były to oczy obrzeżone zmarszczkami wrytymi przez trudności życia, twarz pokryta zmarszczkami i plamami. Gwendolyn nie potrafiła odrzucić myśli, czy i jej twarz pewnego dnia będzie tak wyglądać. Wiedziała, jak trudno jej matce było wypowiedzieć te słowa i wiele to dla niej znaczyło, nawet jeśli rzekła tylko tyle ponieważ.

- Odosobnienie się od świata jest łatwe – rzekła matka. – Bycie jego częścią – to dopiero sztuka. A życie królowej jest najtrudniejsze ze wszystkich.

Gwendolyn rozważyła to w głowie. Zaczynała rozumieć, jak czuła się jej matka. Jako królowa nie mogła się powstrzymać od poczucia, że jest odpowiedzialna za tych wszystkich ludzi, odczuwała to w ciężarze każdej decyzji, którą podjęła.

- Tego ranka złożył nam wizytę Tirus – rzekła Gwendolyn.

- Słyszałam.

Gwendolyn spojrzała zaskoczona na matkę.

- Jakim sposobem?

Jej matka uśmiechnęła się.

- Nadal mam swych ludzi – rzekła.

Gwen zlustrowała matkę. Wzbudziła jej podziw. Łatwo było jej nie docenić; nawet w swym obecnym stanie nie brak jej było

siły wewnętrznej.

- Słusznie postąpiłaś – rzekła jej matka. – Młodszy brat twego ojca to łachudra. Zawsze taki był. Ci MacGilowie mają klasę Wysp Górnych, czyli żadnej. Są niewarci ciebie, nie warci nas wszystkich. Tirus zamieszkał ze swą rodziną na Wyspach Górnych, gdyż potrzebował miejsca, w którym mógłby knuć, zyskać większą władzę i ubiegać się o tron. Gdyby był prawdziwym bratem, lojalnym bratem, zostałby w Królewskim Dworze, u boku swego brata.

- Nie przystawaj na żadne warunki kapitulacji. On jest bezwzględny. Nie zważaj na to, co obiecuje – pewnego dnia zabije całe potomstwo swego brata, by nikt nie mógł sobie rościć prawa do tronu. Teraz ty jesteś jedynym prawdziwym władcą tego królestwa; nie pozwól wmówić sobie, że jest inaczej. Ani twojemu stryjowi, ani nikomu innemu. Walcz o to, co masz, twój ojciec tego właśnie by chciał.

Gwen przemyślała wszystko, co powiedziała. Uwagi jej matki potwierdziły jedynie jej własne myśli. Wiedziała, że matka będzie mogła podzielić się z nią swą mądrością i poczuła się od razu lepiej. W pewnych kwestiach obydwie myślały dokładnie tak samo.

Podjąwszy decyzję w tej kwestii, Gwen westchnęła i wyjrzała przez okno. Jej myśli popłynęły znów w kierunku Thora. Ciężko jej to jeszcze bardziej niż inne jej troski. Żałowała, że go odesłała; nie dawało jej to spokoju. Chciałaby to wszystko cofnąć. Było jednak na to za późno.

Spojrzawszy na matkę, nagle zastanowiła się, ile też ona wie. Zaczynała zdawać sobie sprawę, że w głębi serca tak naprawdę dlatego do niej przyszła – nie by pomówić o stryju, lecz o Thorze.

- Popełniłam dzisiaj poważny błąd – rzekła Gwen, nie patrząc na nią, wyglądając przez okno. Jej głos stawał się bardziej

głęboki i twardy, przypominał coraz bardziej głos jej matki. – Odesłałam kogoś, kto kocha mnie bardzo mocno.

Poprzednia królowa westchnęła.

- Błąd, który każdy z nas prędzej czy później popełni. Lecz jedną rzeczą, której uczysz się, gdy lata przeistaczają się w dekady, jest to, iż nigdy nie jest za późno, by naprawić swe błędy. Zawsze istnieje druga szansa. A jeśli jej nie ma, zawsze możesz ją stworzyć. Siła, by to zrobić, tkwi w tobie.

- Lękam się, że w moim przypadku może być już za późno – rzekła Gwen. – Być może posłałam go na śmierć.

Zaległa długa cisza, podczas której jej matka przyglądała się jej.

- Chodzi o Thorgrina? – spytała.

Gwendolyn skinęła głową.

- Tak. Podejrzewam, że cię to cieszy, matko. Nienawidziłaś go.

Jej matka westchnęła.

- Nigdy go nie nienawidziłam – poprawiła ją. – Nienawidziłam go ze względu na *ciebie*.

- Przez to, kto jest jego ojcem? – spytała Gwendolyn.

Zadawszy pytanie, spojrzała matce uważnie w oczy. Dostrzegła w nich błysk i poznała, że jej matka wie. Gwen nie mogła w to uwierzyć.

- *Wiedziałaś!* – rzekła Gwendolyn wstając, wściekła. – Wiedziałaś przez cały ten czas i mi nie powiedziałaś!

Jej matka potrząsnęła głową ze smutkiem.

- Mówiłam ci, byś trzymała się od niego z daleka. Próbowałam ci *zmusić*, byś trzymała się od niego z daleka.

- Lecz nie powiedziałaś mi – upierała się Gwen.

- Wiedziałam, że pewnego dnia się poznasz prawdę – rzekła. – Chciałam, byś dowiedziała się tego sama. Byś mogła sama

zdecydować, że chcesz się trzymać od niego z daleka.

- Dlatego, że uważasz, iż w jego żyłach płynie krew jego ojca? Dlatego, że myślisz, że mnie skrzywdzi?

Królowa potrząsnęła głową.

- Nie. Wciąż nie pojmujesz. Nie dlatego, że w Thorgrinie tkwi jakaś skaza. Lecz dlatego, że tkwi ona *w tobie*.

Gwen spojrzała na nią, nie pojmując.

- We mnie? – spytała.

- Przypominasz swego ojca – ty i wszyscy MacGillowie. Zawsze zbyt dużą wagę przykładacie do pochodzenia. Lecz wszyscy się mylicie. Pochodzenie nie przesądza o tym, kim ktoś jest. Ilu tyranów pochodzi od szlachetnych królów? I ilu dobrych królów pochodzi od potworów? Syn nigdy nie jest taki, jak ojciec.

Gwendolyn zastanowiła się nad tym. Rzecz jasna, jej matka miała rację. Lecz emocje wciąż nie pozwalały jej tego zaakceptować, zwłaszcza po tym, co zrobił jej Andronicus.

- Nie możesz winić synów za czyny ich ojców – dodała królowa.

- Powinnaś była mi powiedzieć – rzekła Gwendolyn.

- Mówiłam ci, byś trzymała się od niego z daleka.

- Ale powinnaś była mi powiedzieć *dlaczego*. Powinnaś była powiedzieć mi prawdę, całą prawdę, na samym początku.

- I cóż byś zrobiła? Trzymałabyś się od niego z daleka?

Gwendolyn zastanowiła się nad tym, zaskoczona. Jej matka miała rację.

- Ja... być może.

- Nic podobnego – odparła. – Zaślepiła cię miłość.

Gwendolyn zamyśliła się nad tym.

- Nigdy nie uważałam, by Thor był dla ciebie nieodpowiedni – rzekła matka. – Wręcz przeciwnie, wiedziałam, że jest dla ciebie idealny.

Gwendolyn zmarszczyła brwi, zdezorientowana.

- Dlaczego zatem tak usilnie starałaś się nas rozdzielić? – spytała.

Przyglądała się matce, która zdawała się dziwnie milcząca.

- Czuję, że czegoś jeszcze mi nie mówisz, matko.

Jej matka odwróciła wzrok i w końcu Gwen wyczuła, że trafiła w sedno. Jej matka coś przed nią ukrywała.

Po długiej ciszy matka w końcu odchrząknęła.

- Istnieje pewna przepowiednia – rzekła powoli, niepewnie.

– Nie mówiłam o niej, odkąd byłaś dzieckiem. Tej nocy, której przyszedł na świat, do twego ojca przybył obserwator gwiazd. Przyniósł przepowiednię, która cię dotyczyła. Przepowiedział, że będziesz świetnym władcą – świetniejszym, niż twój ojciec kiedykolwiek był.

Serce Gwendolyn zabiło szybciej, gdy coś do niej dotarło.

- To dlatego wybrał mnie, bym rządziła? – spytała. – Ze wszystkich dzieci? Z powodu przepowiedni?

Jej matka wzruszyła ramionami.

- Być może. Nie sądzę, by tak było. Sądzę, że dostrzegął coś w tobie i wybrałby cię i tak. Kochał cię najbardziej. Bardziej nawet niż mnie.

Gwendolyn wyczuła zazdrość matki, jej smutek; po raz pierwszy zrobiło jej się jej żal.

- Przykro mi, matko – rzekła.

Jej matka wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok, lecz po tym, jak wykręcała dłonie Gwen poznała, że coś jeszcze nie daje jej spokoju.

- O co chodzi? – spytała Gwen, skołowana.

Jej matka unikała jej wzroku i Gwen przyszło coś na myśl.

- Czy przepowiednia mówiła coś jeszcze? – zapytała, wyczuwając, że tak jest. – Z pewnością nie był to jedyny powód,

dla którego chciałaś rozdzielić mnie i Thora?

Jej matka zawahała się, nie chcąc odpowiedzieć. W końcu po zdającej się nie mieć końca ciszy spojrzała prosto na nią i Gwen ujrzała jej ciężkie spojrzenie.

- Przepowiednia głosi, że zawrzesz małżeństwo – rzekła jej matka poważnym głosem. – Że wydasz na świat syna. I że twój mąż zginie młodo.

Gwendolyn wydała z siebie zduszony krzyk. Próbowwała złapać oddech, czując, jak gdyby wylano jej na głowę ceber lodowatej wody.

- Dlatego nie chciałam, byś była z Thorgrinem – przyznała w końcu jej matka. – Chciałam oszczędzić ci złamanego serca.

Gwendolyn wstała, odrętwiała. Jak w transie wyszła z komnaty z powrotem na korytarz, pragnąc, by jej życie się skończyło.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Thorgrin leciał na grzbiecie Mycoples, zaciskając dłoń na rękojeści Miecza Przeznaczenia. Smoczyca uderzała swymi ogromnymi skrzydłami, niosąc ich coraz dalej od Silesii. Thor czuł pustkę wewnątrz. Gdy mknęli przez obłoki, pędząc ku porannemu słońcu, roztrząsał w myślach swe spotkanie z Gwendolyn i nie miał pojęcia, co o nim myśleć.

W wyobraźni Thor odtwarzał raz za razem spojrzenie, którym go obrzuciła, gdy jej powiedział, gdy dowiedziała się, kim jest jego ojciec. Było to spojrzenie pełne przerażenia. Widział w nim, jak jej miłość do niego gaśnie, jak jej oczy – niegdyś błyszczące miłością i oddaniem – mętnieją z gniewu i rozczarowania. Myśl ta wywoływała w jego piersi ból.

Thor nie potrafił powstrzymać się od myśli, że ich związek się rozpadł, że nigdy nie odbudują tego, co ich łączyło. Kiedyś byli tak blisko, miał poprosić ją o rękę, ofiarować jej pierścień. Zwlekał jedynie po to, by wyznać jej prawdę o swym ojcu.

A teraz... Nie widział sposobu, by miała przyjąć jego oświadczenia. Było oczywiste, że go nienawidziła.

Thor dotknął pierścienia w kieszeni koszuli i zastanawiał się, jaki będzie jego los. Jakaś jego część chciała go wyrzucić, upuścić w dół i patrzeć, jak przecina powietrze i ląduje gdzieś w Kręgu. Lecz pomyślał o swej matce i zrozumiał, że nie może tego zrobić.

Wiatr chłostał go po twarzy, gdy popędzał Mycoples. Thor musiał wyrzucić z głowy te wszystkie myśli. Być może jednak nie było jego przeznaczeniem wieść życie z Gwen. Może jego

jedynym przeznaczeniem w tym życiu była wojna i potyczki. Może mierzył zbyt wysoko, myśląc, że mógł być z kobietą taką jak Gwendolyn.

Zebrał myśli. Gdzieś tam, na widnokręgu, był jego ojciec, i Thor musiał się skupić na czekającym go spotkaniu. Gdy mknęli nad Kręgiem, zbliżając się coraz bardziej ku wododziałowi Pogórza, Miecz Przeznaczenia zaczął pulsować w jego dłoni. Thor czuł ekscytację i lęk zarazem. Z jednej strony cieszyła go myśl o przyjęciu kapitulacji Andronicusa, wypędzenie jego ludzi z Kręgu i zakończeniu wojny na dobre.

Z drugiej jednak strony Thor obawiał się spotkania twarzą w twarz ze swym ojcem, zwłaszcza w takich warunkach. Czuł względem niego niepohamowaną nienawiść za to, co uczynił Gwendolyn, co uczynił Kręgowi. Gdyby to zależało od niego, zabiłby go i gorzał w nim ogień na myśl, iż musi przystać na jego kapitulację. Lecz tak postanowili jego ludzie i tak postąpi.

Thor miał trudności z wyobrażeniem sobie, jak przebiegnie to spotkanie. Czy Andronicus wie, że ma syna? Że jest nim Thor? Czy powita Thora jak ojciec? Jak przeciwnik? A może i jak ojciec, i jak przeciwnik?

Pierwsze spotkanie z ojcem będzie w pewien sposób poznaniem części siebie. Musiał zachować spokojną głowę i nie pozwolić, by jego emocje wzięły nad nim górę. Wszak zjawiał się tam w imieniu swych ludzi.

Lecieli nad Pogórzem, niekończącym się pasmem górskich szczytów, pokrytych bielą śniegu, i w końcu znaleźli się nad drugą stroną Kręgu. Niezliczone oddziały Imperium roiły się we Wschodnim Królestwie, pokrywając ziemię niczym mrówki. Przed sobą, w dali, pośrodku ich obozu Thor dostrzegł ogromny czarno-złoty namiot i wiedział, że musi on należeć do Andronicusa.

Nagle Mycoples poszybowała w dół – tak gwałtownie, że Thor niemal spadł z jej grzbietu.

- Mycoples, o co chodzi? – zawołał zaskoczony Thor.

Mycoples dała nura na jeden z najwyższych szczytów łańcucha gór i wylądowała przy kryształowo czystym, błękitnym górskim jeziorze.

Gdy usiadła w tym opustoszałym miejscu, tak wysoko, że niemal sięgali chmur, Thor spojrzał na nią, w dół, skołowany. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywała.

- Mycoples, co się stało? – spytał.

Smoczyca zamruczała, mrugając powoli oczyma.

- Musimy lecieć dalej – ponaglił Thor. – Nie mamy czasu do stracenia. Proszę. Leć!

Lecz Mycoples po raz pierwszy zignorowała jego polecenie.

Miast tego opuściła łeb ku brzegowi i oparła go przy wodzie. Thor wyczuł w niej przemożny smutek.

Zsunął się z jej grzbietu i podszedł do niej z drugiej strony. Wpatrywał się w nią, po czym wyciągnął dłoń i powoli głaskał jej długi, wąski pysk, przesuwając dłonią po łuskach. Mrugała powoli, a z głębi jej gardła dobywało się mruczenie. Pochyliła się i trąciła go czule bokiem nosa.

- O co chodzi, Mycoples? – spytał.

Wydała z siebie dziwny dźwięk, głęboki, jak gdyby kwilenie, i Thor wiedział, że coś jest nie tak. Czuł, że chce mu przekazać jakąś wiadomość, jak gdyby starała się powiedzieć mu, by nie szedł dalej.

- Muszę tam iść! – rzekł Thor.

Smoczyca odchyliła raptownie łeb w tył, kierując go ku niebiosom, i wydała z siebie krzyk. Był to głośny krzyk, pełen udręki, jak zawodzenie. Rozszedł się po Pogórze, a echo powtarzało go raz po raz.

Thor cofnął się, w szoku. Było to jęk rozpacz. Jak gdyby Mycoples wiedziała, że ma się zdarzyć coś okropnego.

Zdając sobie sprawę, że Mycoples nie zamierza nigdzie lecieć, Thor postanowił odejść na chwilę. Może się uspokoi i jej nastrój ulegnie zmianie.

Zrobił kilka kroków nad kryształowo czystymi wodami jeziora, zmarszczonymi gwałtownym podmuchem wiatru. Było mroźno i jedynym dźwiękiem w tym opustoszałym miejscu były chrzęszczące pod jego butami kamienie. Thor spojrział w dół, na lodowate wody, i ujrzał odbijające się w nich poranne niebo, usiane fioletowymi, różowymi i karmazynowymi obłokami. Ten widok zaparł mu dech w piersi.

Już miał odwrócić wzrok, gdy nagle dostrzegł swe własne odbicie. Spojrział ponownie.

Nie mógł w to uwierzyć.

Tam, w wodzie, przyglądał mu się nie jego twarz. Spoglądała na niego osadzona na jego ciele twarz Andronicusa.

Thor odwrócił się raptownie, oddychając ciężko, nie chcąc patrzeć w stronę wody. Czy to się dzieje naprawdę? Kim się staje?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Gwendolyn stała przy górnych balustradach zamku Sroga, patrząc na kłębiącą się mgłę Kanionu. Mgła pędziła szybko, wściekle, spowijając legiony jej ludzi wewnątrz murów miasta. Przed zewnętrznymi murami widziała legiony ludzi Tirusa, którzy rozłożyli obóz wielki jak plaga, czekając spokojnie. Wiedziała, że z nastaniem ranka czeka ich bitwa. To, czy mają walczyć o swą niezależność, czy nie, nie budziło w niej wątpliwości; ważne było jedynie to, w *jaki* sposób zdecydują się podjąć walkę.

Obok niej stali Srog, Kendrick, Brom, Atme i wszyscy jej generałowie, wraz z Godfreyem, Reece'em i kilkoma członkami Srebrnej Gwardii. Jak ona, spoglądali za balustrady. Wszyscy gotowali się do walki i widać to było na ich obliczach. Gwendolyn czuła ucisk w żołądku. Nie bała się bitwy; nękała ją myśl o zabiciu własnych ludzi, zwłaszcza gdy tak wielu ludzi Andronicusa wciąż było w Kręgu. Wszak w drugich MacGilach, choć znienawidzonych, płynęła ta sama krew, byli to kuzyni, z którymi kiedyś się przyjaźniła. W chwilach takich jak ta powinni wszyscy trzymać się razem.

Lecz jaki miała wybór? Pchnęli ją do tego i teraz mogli żyć, będąc wolnymi, lub zginąć. A wolność i honor były dla niej – i dla nich wszystkich – ważniejsze niż życie.

Gdy Gwendolyn spojrzała w dół, dostrzegła jakieś poruszenie w bramie: zdało jej się, że grupa jej sług sprzecza się z nowo przybyłym mężczyzną. Wychyliła się przez balustradę i przyjrzała dokładnie, i nie uwierzywszy własnym oczom,

spojrzała raz jeszcze. Rozpoznała mężczyznę zsiadającego z konia: był niskiego wzrostu, miał wykręcone plecy i niósł ogromny łuk. Rozpoznałaby tę sylwetkę wszędzie.

To niemożliwe. Czyżby Steffen dotarł z powrotem do Silesii? Czy też jej wyobraźnia płatała jej figle?

Nagle dostrzegła jakiś ruch na progu i obróciwszy się, ujrzała dowódcę straży biegnącego w jej kierunku.

- Pani – rzekł, poruszony, zlany potem. – Przy bramie powstało zamieszanie. Ten przybysz twierdzi, że cię zna; oczywiście po jego wyglądzie wnioskuję, że to łgarz. Gotujemy się, by wtrącić go do lochu.

Gwendolyn poczerwieniała z zakłopotania. Spojrzała w dół i zobaczyła, jak odciągają Steffena od głównego zamku w kierunku lochów. Dostrzegła na jego twarzy szok i wstyd.

- Natychmiast go do mnie przyprowadźcie – rozkazała stanowczo.

Oczy dowódcy otworzyły się szeroko ze zdumienia.

- Znasz go, pani?

- Równie dobrze, jak siebie. Na imię mu Steffen, i macie go traktować z najwyższymi honorami i szacunkiem. Gdyby nie on, już bym nie żyła. To moja prawa ręka. Otrzyma każdy przywilej, jaki tylko jest możliwy w tym królestwie. Biegnij do niego natychmiast! – rzekła, podnosząc głos.

Otworzył oczy szeroko ze zdziwienia, skłonił się, odwrócił i pobiegł do środka.

Gwen usłyszała echo jego kroków, a po strachu, który dostrzegła w jego oczach, poznała, iż natychmiast wykona jej rozkazy.

Spojrzała w dół i widziała, jak biegnie przez dziedziniec, ku grupie sług, zobaczyła jak ich zatrzymuje i jak na ich twarzach malują się kolejno konsternacja i strach. Ukłonili się Steffenowi

ze skruchą i Gwen z zadowoleniem dojrzała, że Steffen wyprężył się odrobinę. Poprowadzono go do zamku.

Kilka chwil później Steffen pojawił się na dachu i Gwen bez chwili wahania pobiegła ku niemu i uścisnęła go.

Steffen stał przed nią zakłopotany, jak gdyby bał się objąć kogoś pochodzącego z królewskiego rodu. W końcu jednak, wahając się, uczynił to. Odsunął się i skłonił.

- Pani – rzekł. – Gdy doszły mnie wieści, iż opuściłaś Wieżę, przybyłem od razu. Jeśli zdecydujesz się dać mi stanowisko pośród innych sług, oczywiście przyjmę je, gdziekolwiek sobie życzysz. Lecz jeśli życzysz sobie mieć mnie znów u swego boku, pójdę na śmierć, byle ochronić cię od wszelkiej krzywdy.

Gwen uśmiechnęła się.

- Steffenie, jesteś moją prawą ręką i jednym z niewielu ludzi, którym zawierzyłabym własne życie. Otrzymasz każdy możliwy przywilej w tym królestwie. Nigdy więcej nie wspominaj o byciu sługą.

Steffen otworzył szeroko oczy i na jego twarzy pojawił się uśmiech, po czym po raz kolejny skłonił się nisko.

- Tak, pani.

- Przybyłeś w sam czas – rzekła. – Nazajutrz zaatakuje nas mój stryj. Choć trudno w to uwierzyć, Silesia znów gotuje się do oblężenia.

- Pani – rzekł Steffen. – Cokolwiek będzie się działo, zostanę u twego boku.

Gwen obróciła się i stanęła przed swymi ludźmi, zdecydowana.

- Omówmy raz jeszcze nasze linie obrony – rzekła. – Co jest naszym najsłabszym punktem?

Srog odchrząknął.

- Pani, obrona zewnętrznego muru będzie wyzwaniem –

rzekł. – Andronicus zadał nam zbyt rozległe zniszczenia. Nawet gdyby udało nam się utrzymać jedną z bram, jest ich zbyt wiele do obrony. Nie mamy tylu ludzi. Ludzie Tirusa to zaprawieni w boju wojownicy – będą o tym wiedzieć. Nadto mają wystarczająco ludzi, by uderzyć w każdą z bram.

- Najpewniej rozejrzeli się dokoła, nim się tu zjawili – dodał Kendrick.

- Co zatem proponujecie? – spytała Gwendolyn.

Kendrick potarł podbródek.

- Będą się spodziewali – zaczął. – Że będziemy się bronić przy bramach. Zaskoczmy ich. Pozwólmy im przejść bramy. Możemy umieścić naszych ludzi na wewnętrznym murze, na samym skraju Kanionu, blokując wejście do dolnej Silesii. Wejdą i ujrzą pusty dziedziniec, bez żadnego oporu, i zaskoczy ich to. Wtedy będziemy mogli zaatakować ich ze wszystkich stron.

- To dobry plan – rzekł Srog. Odwrócił się ku dziedzińcowi miasta. – Tam możemy umieścić łuczników – dodał, wskazując palcem miejsca na murach miasta. A w dole włócznie. Zdołamy powalić pierwszy tysiąc, nim zdążą się przegrupować.

- A później? – spytała Gwendolyn.

Srog i pozostali mężczyźni wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Później przedrą się przez naszą linię obrony. Nie zaradzimy temu – rzekł Srog. – Lecz możemy wycofać się do dolnej Silesii, i przetrzymywać oblężenie tak długo, jak nam się uda.

Gwen westchnęła.

- A jeśli wycofamy się do dolnego miasta – spytała. – Jak dużo czasu upłynie, nim pomrzemy?

Mężczyźni potrząsnęli głowami i Gwen dostrzegła na ich twarzach strach.

- Z tymi zapasami, które mamy, przetrzymamy ich być może

tydzień. Być może dwa – Srog odchrząknął. – Chciałbym dysponować lepszą strategią, pani. Lecz znacznie przewyższają nas liczebnie, nasi ludzie są osłabieni, a zapasy nieduże.

Gwendolyn rozejrzała się po mieście, przetrawiając wszystko, co rzekli. Oparła dłonie na biodrach i oddychała głęboko, lustrując mury miasta i swych wojowników. Rozważała wszystkie możliwości i nie podobała jej się ani jedna. Niektóre zadawały przeciwnikowi szkodę, lecz żadna z nich nie prowadziła do zwycięstwa.

- Jest jeszcze jedna możliwość – rzekła. – Której żaden z was nie bierze pod uwagę.

Wszyscy spojrzeli na nią, a ona postąpiła kilka kroków naprzód i przyjrzała się murom oraz temu, co było poza nimi.

- Możemy zupełnie opuścić miasto i zaatakować ich przed murami, na otwartym polu.

Wszyscy stali bez ruchu, wpatrując się w nią, jak gdyby postradała zmysły.

- Opuścić miasto, pani?

Gwen skinęła głową, czując się tym pewniejsza planu, im dłużej o nim myślała.

- Rankiem zjawią się, by usłyszeć odpowiedź. Powita ich nasz wysłannik, podczas gdy nasze główne siły obejdują ich i zasadzą się z obu stron. Zaskoczmy ich atakiem na otwartym polu.

- Pani – rzekł Brom. – To byłoby samobójstwo. Bez ochrony murów zginiemy wszyscy.

Obróciła się do Broma i poczuła, jak przepływa przez nią nowa siła. Stawała się nieugięta, stawała się królową, która niczego się nie lęka i niczego nie żałuje.

- Zginiemy tak czy inaczej – odrzekła rzeczowo. – A jeśli mamy zginąć, wolę zabić więcej ludzi Tirusa. Wolę zginąć teraz,

z honorem, niż kazać naszym ludziom cierpieć powoli.

Wszyscy spojrzeli na nią i dostrzegła w ich oczach nowy rodzaj podziwu i szacunku.

- Zatem postanowione – rzekła. – Zaatakujemy o brzasku.
Bądźcie gotowi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Erec przewodził armii księcia, która liczyła już tysiące ludzi i cały czas rosła – zasilali ją oswobodzeni po drodze mężczyźni, żądni zemsty na Imperium. Byli w drodze od wielu dni, przemierzając długą drogę z Savarii na południu do leżącej na północy Silesii, mijając uzbrojone grupy ocalałych, ukryte forty, grupy Srebrnych, które przetrwały najazd. Wszyscy oni przyłączali się do ludzi księcia i liczba ich armii niemal się podwoiła, pęczniejąc do dziesięciu tysięcy mężczyzn. Byli zmotywowani, radzi, że odzyskali wolność, że mają o co walczyć, i że przewodzi im ktoś taki jak Erec.

Nie potrafiliby wyśnić sobie przywódcy lepszego niż Erec, rycerz cieszący się największą sławą, dowódca Srebrnej Gwardii, czempion Kręgu, rycerz, którego nikt nigdy nie pokonał. Erec przyciągał ku sobie ludzi jak magnes, był urodzonym przywódcą, wysokim i dumnym, o silnie zarysowanej szczęce i bladoszarych oczach. Gdziekolwiek się udał, wzbudzał szacunek. Od czasów jego obrony w jarze, gdy w pojedynkę rozbił głaz i powstrzymał Imperium, stał się jeszcze bardziej legendarny.

Maszerowali bez ustanku od czasu, gdy Thor nadleciał na Mycoples i ocalił ich na urwisku. Erec wiedział, że lecą na północ i postanowił podążać za nimi, by ich wesprzeć. Podążał szlakiem zwęglonych trupów żołnierzy Imperium, ścieżką zniszczenia, którą pozostawił za sobą Thor, i wiedział, że ich dogoni. Była to długa, wijąca się droga, prowadząca coraz dalej na północ, wzdłuż Kanionu. Erec sądził, że zakończy się w Królewskim Dworze, gdzie ich wszystkich znajdzie.

Jednak widok tego, co tam zastali, wstrząsnął Erekiem. Miejsce, które niegdyś było mu tak drogie, które niegdyś było bastionem siły Kręgu, zostało zniszczone przez Imperium i stanowiło jedynie namiastkę swej dawnej świetności. Ścieżka zniszczenia biegła dalej na północ, przez bramy, i Erec ruszył przed siebie. Nie wiedział, gdzie kończy się ten szlak, lecz przypuszczał, że doprowadzi ich do kolejnego miasta na północy: Silesii. Być może wszyscy się tam wycofali. Byłaby to roztropna decyzja.

Za Erekiem na jego wierzchołku siedziała jego przyszła małżonka Alistair, która oplatała ciasno rękoma jego pierś. Ciepło jej dotyku budziła w nim nadzieję, życie, zwłaszcza w ten zimny, śnieżny wieczór. Nadawała jego życiu sens. Przepełniała go wdzięcznością dla niej – ocaliła go wiele razy i poprzysięgł, że jednego dnia się jej odwdzięczy.

Zmierzali na północ powoli, szybkim stępem, by piesi mogli za nimi nadążyć. Właśnie zaczynało zmierzchać. Nieopodal Ereca jechał jego bliski przyjaciel, Brandt, a obok niego księżę. Byli połączoną w jedno siłą, zdecydowaną przyłączyć się do Gwendolyn i ludzi króla. Erec nie wiedział, jak mógłby się przysłużyć, zważywszy na siłę Thora, lecz postanowił oddać siebie i swych ludzi do dyspozycji Gwendolyn, by wesprzeć ją w inny sposób. Choć tyle winien był jej ojcu.

Król MacGil także dla Ereca był jak ojciec i w pewien sposób Erec czuł, jak gdyby był jednym z rodzeństwa MacGilów. Był jak brat dla Kendricka, Gwendolyn, Reece'a i Godfrey'a. Nigdy nie był bliski Garethowi ani Luandzie, lecz pozostałym z całą pewnością tak. Także król MacGil po wielokroć mówił mu, że pragnąłby, by był jego synem, i dostrzegał to pragnienie w jego oczach.

Alistair ścisnęła go mocno i Erec był niewymownie

szczęśliwy ze swego wyboru małżonki; pragnął jedynie móc okazać jej większą wdzięczność i postanowił, że znajdzie po temu sposób. Nadal otaczała ją aura tajemnicy, która pogłębiała się w jego myślach. Kim była ta kobieta, tak różna od wszystkich, które znał? Jakim sposobem zdołała ocalić mu życie – dwukrotnie? Gorąco pragnął ją o to zapytać, lecz obiecał jej nie wypytywać, a nigdy nie łamał danego słowa.

- Zaprzątasz sobie głowę myślami o mnie – wyszeptała cicho Alistair do jego ucha, tak by inni mężczyźni jej nie usłyszeli. – Czuję to.

Erec był zdumiony, jak zawsze, tym, jak umiejętnie odgadła jego myśli.

- Skłamałbym, moja pani, gdybym zaprzeczył – odparł. – Ocaliłaś me życie zbyt wiele razy, bym nie zastanawiał się, w jaki sposób tego dokonałaś. Posiadasz moc, której nigdy nie widziałem na polu bitwy, moc, której nie pojmuję.

- Czy kochasz mnie przez to mniej? – spytała.

- Jeszcze bardziej, o ile to możliwe – rzekł.

Zaległa między nimi długa cisza, w której czuli się swobodnie. Jechali dalej. Erec założył, że będą jechać w milczeniu przez kolejne godziny, gdy Alistair zaskoczyła go, odzywając się:

- Nigdy nie mówiłam nikomu o moim pochodzeniu – rzekła. – Przysięgłam to sobie.

- Rozumiem – odparł.

- Jednak z tobą chciałabym się tym podzielić.

Znów zapadła cisza. Jechali dalej, a Erecowi serce łomotało, gdy czekał, aż powie coś więcej. Lecz Alistair znów zamilkła i zastanawiał się, czy się rozmyśliła.

Wtedy odchrząknęła.

- Ojciec mój był potworem. Matka – najpiękniejszą kobietą

na świecie. I najpotężniejszą. Wszystkie moce, które otrzymałam, otrzymałam od niej. Wiele razy traciłam chęć by żyć, gdy odkryłam, kim jest mój ojciec. Najęłam się do służby u tego karczmarza, gdzie mnie odnalazłeś, by zapomnieć o bólu, który nieodłącznie mi towarzyszył. Jednak teraz, gdy poznałam ciebie, jestem gotowa znowu żyć. Gotowa zmierzyć się z tym, kim jestem.

Erec miał chęć zadać jej tysiące pytań, lecz powstrzymał się, zamierzając uszanować to, ile sama chce mu powiedzieć i kiedy chce to uczynić.

- Wybrałam odosobnienie także z innego powodu – rzekła. – Powiedziano mi o potężnej przepowiedni z dnia mych narodzin. Głosi ona, iż przyniosę memu otoczeniu ogromną moc uzdrowienia, ale i ogromne zniszczenie. Nie chciałam narażać ciebie – ani nikogo – przez moje przeznaczenie.

- Nie wszystkie przepowiednie się sprawdzają, moja pani – rzekł Erec, poruszony tym, jak dużo mu wyznała i rozumiejąc poczucie winy, które ją przytłaczało. – To, co widzą wróżbiarze, często jest niejasne. Obraz jest zniekształcony. Nie możesz pozwolić, by nękała cię ta wina. Masz piękną duszę. Nie ma znaczenia, kim jest twój ojciec. Każdy wróżbita, który twierdzi inaczej, jest w błędzie.

Przytuliła się do niego mocno i Erec poczuł, że – wzięwszy pod uwagę to, co mu wyznała – winien jej się odwzajemnić. Nigdy nie mówił nikomu wiele o swej przeszłości, lecz czuł, że także jest gotowy się nią podzielić z Alistair.

- Wiem odrobinę o przepowiedniach – rzekł.

Pochyliła się naprzód i spojrzała na niego.

- Pochodzę z Wysp Południowych Kręgu. Niewielu ludzi o tym wie, lecz jestem synem króla.

Alistair wydała z siebie zduszony okrzyk.

- Nigdy o tym nie wspominałeś – rzekła.

Erec wzruszył ramionami.

- Nie oceniam siebie po tym, od kogo pochodzę, lecz po tym, czego sam dokonałem. Gdy byłem chłopcem, mój ojciec posłał mnie do głównej części Kręgu, do króla MacGila, bym uczył się w służbie u niego. MacGilowie stali się moją przybraną rodziną i tak pokochałem Srebrną Gwardię, że nigdy nie powróciłem do domu i od tamtej pory nie widziałem mego ojca ani mych ludzi.

- Lecz czy nie jesteś zatem dziedzicem tronu Wysp Południowych? – spytała.

- Jestem – przyznał. – To dumni i wspaniali ludzie, i oczekują mego powrotu. Jednego dnia być może powrócę. Znaczyłoby to wiele dla mego ojca i mych ludzi. Odwlekam to, gdyż wiem, że kiedy powrócę do domu, trudno będzie znów powrócić do Kręgu. Nie pochodzę stąd, lecz pod wieloma względami Krąg stał się mym domem. A lojalność jest dla mnie niezwykle ważna.

Jechali dalej w ciszy, która im nie wadziła, gdy nagle coś do niego dotarło.

- Jeśli kiedykolwiek zdecyduję się powrócić, udasz się tam ze mną? – zapytał Erec, zaniepokojony, że może odmówić.

Alistair pochyliła się w przód i uśmiechnęła.

- Pójdę z tobą na kres świata – rzekła. – Czy jesteś księciem, czy nie, zasłużonym wojem, czy szeregowym żołnierzem. Kocham cię każdą cząstką siebie.

Serce Ereca nigdy wcześniej nie wezbrało miłością tak silną, jak w tej chwili. Obrócił się i pochylił w tył, i pocałowali się, jadąc dalej w noc.

Armia gwałtownie zatrzymała się, gdy dotarli na szczyt grani, i Erec także się zatrzymał. Spojrzał w miejsce, które księżę wskazywał palcem.

Erec także to dostrzegł: przed nimi leżało miasto wzniesione z błyszczącego czerwonego kamienia, wykute w ścianie Kanionu. Jeśli będą jechać przez całą noc, dotrą tam o poranku. Silesia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Thorgrin wzbił się na grzbiecie Mycoples z najwyższego szczytu Pogórza i kontynuował wreszcie lot na wschód, ku obozowi Andronicusa. Drugie słońce chyliło się już ku zachodowi. Thorowi zajęło cały dzień nakłonienie Mycoples, by się poruszyła, wstała i na powrót uniosła w powietrze.

Mycoples leciała niechętnie, kołując w powietrzu. Podlatywała odrobinę, po czym zataczała koło z powrotem, oddalając się z piskiem. Thor nie pojmował, co się z nią dzieje. Nigdy nie widział, by się tak zachowywała. Wyczuwał jej mieszane odczucia względem tego lotu i nie mógł się powstrzymać od myśli, że to nie może wróżyć nic dobrego. Czyżby widziała przyszłość, której on nie dostrzegał?

Thor spojrział w dół i na tle spektakularnego zachodu słońca, który okrywał cały Krąg czerwonawą poświatą, ujrzał nieskończone szeregi żołnierzy w obozie Andronicusa. Gdy udało mu się skierować Mycoples jeszcze bliżej środka, dostrzegł namiot dziesięciokrotnie większy od pozostałych, który mógł należeć jedynie do Andronicusa. Otaczał go szeroki pas pustej przestrzeni. Lecieli nad nim nisko, zataczając koła.

Thor dostrzegł strach na twarzach żołnierzy Imperium, patrzących w niebo, na niego. Były to słuszne obawy: gdyby Thor chciał, mógłby zanurkować i rozkazać Mycoples spalić ich żywcem, jak ich kompanów. Mógłby ich zabić – w tym swego ojca – jednym zwinnym ruchem. Niczego nie pragnął bardziej.

Ciążył na nim jednak obowiązek i przysiągł, iż wykona rozkazy i przyjmie kapitulację Andronicusa.

Gdy Thor kołował nad nimi, ludzie Andronicusa odsuwali się coraz dalej od namiotu, robiąc miejsce jemu i Mycoples. Smoczyca opierała się i ryczała, gdy zbliżali się do ziemi, i unosiła łeb, jak gdyby nie chcąc lądować. Thor spojrzał na nią, skołowany. Wyczuł, że chce zionąć ogniem i musiał użyć całej siły woli, by ją od tego odwieść.

- Nie lękaj się, Mycoples – rzekł.

Nie o siebie się lękam, lecz o ciebie, usłyszał Thor jej myśli.

- Nie lękaj się o mnie – rzekł Thor. – Jesteś u mego boku, a Miecz Przeznaczenia tkwi w mej dłoni. Nic ani nikt nie jest w stanie wyrządzić nam krzywdy.

Mycoples niechętnie opuściła swe ogromne szpony na ziemię.

Osiedli pośrodku wrogiego i obcego obozu, w którym zaległa teraz grobowa cisza. Nikt się nie poruszył. Wszyscy żołnierze zastygli w bezruchu ze strachu, gdy Mycoples wylądowała na zakurzonej ziemi. Thor zeskoczył z jej grzbietu przed namiotem Andronicusa. Żołnierze, z przerażeniem wymalowanym na twarzach, zachowywali bezpieczną odległość.

Thor stał z dłonią zaciśniętą na Mieczu Przeznaczenia. Napięcie było gęste, można je było wyczuć w powietrzu. Rozejrzał się dokoła, a serce biło mu niespokojnie. Był podenerwowany pierwszym spotkaniem z ojcem, swoją pierwszą z nim rozmową. Stojąca obok Mycoples wydała z siebie, gdzieś z głębi swej piersi, dźwięk podobny do warknięcia. Najwyraźniej nie czuła się tu wcale dobrze; Thor czuł, jak bardzo jest niespokojna. Doskonale ją rozumiał. Zdawało mu się, że coś jest nie tak.

W końcu coś się poruszyło i Thor ujrzał, jak poła namiotu unosi się i na zewnątrz wyłania się jakaś postać.

Jego ojciec.

Serce Thora załomotało gwałtownie, gdy stanął naprzeciw niego. Cały jego świat się zatrzymał.

Andronicus wyszedł powoli i zbliżył się do niego. Thora zaskoczyła postura jego ojca. Był ogromnym mężczyzną, wysokim chyba na osiem stóp, szerokim jak pień drzewa, o naprężonych pod czerwoną skórą mięśniach, długich kłach i zakręconych żółtych rogach wychodzących z łysej głowy oraz błyszczących żółtych oczach. Miał na sobie naszyjnik, na który – jak z przerażeniem spostrzegł Thor – nanizane były skurczone czerepy.

Andronicus uniósł dłoń i przesunął swymi długimi szponami po głowach, uśmiechając się do Thora, zatrzymawszy się ledwie kilka stóp od niego. Z głębi jego piersi dobył się głęboki pomruk.

Thora odrzuciło na jego widok. Poczul wstyd. I nienawiść. Patrząc na niego, wiedząc, co zrobił Gwendolyn, nade wszystko Thor odczuł palącą żądzę zemsty. Thor czuł, jak Miecz Przeznaczenia pulsuje w jego dłoni i gdyby honor nie zobowiązywał go, by postąpić inaczej, skoczyłby naprzód i zabił go w tej chwili.

Nie mógł jednak tego zrobić. Zgodził się przyjąć kapitulację i musiał dotrzymać słowa.

- Synu mój – rzekł Andronicus. – W końcu się spotykamy.

Thor nie wiedział, co na to odrzec. Nie podobało mu się brzmienie słowa „syn” w ustach tego mężczyzny. Nie czuł się jego synem; wręcz przeciwnie, czuł się w najwyższym stopniu rozczarowany nim, tym, że poznawał swego ojca po raz pierwszy, i że jego ojciec musiał być takim człowiekiem. Nade wszystko pragnął to zmienić, zmienić to, skąd pochodzi, lecz wiedział, iż to niemożliwe.

- Przybyłem, by przyjąć twą kapitulację – rzekł Thor formalnie, chłodno. – Jeśli mam być szczery, sam chętniej bym

cię zabił. Lecz nie tak postanowili moi ludzie. Więc daruj sobie te błahostki i rozkaż swym ludziom opuścić Krąg, a następnie uklęknij i poddaj się. Nie chcę z tobą mówić ani o sekundę dłużej, niż jest to konieczne.

Wypowiedziawszy te słowa, Thor poczuł nowy przypływ pewności.

Andronicus jednak nie podszedł bliżej, nie wydał rozkazu swym ludziom, nie ukląkł. W ogóle się nie poruszył. Miast tego stał tam, a na twarzy wykwitał mu coraz szerszy uśmiech. Thor wyczuł, że coś jest nie w porządku.

- Synu mój, tak ci spieszno. Mamy na to cały dzień. Dajmy sobie szansę się poznać.

Na tę myśl Thor poczuł ucisk w żołądku.

- Niczego nie pragnąłbym mniej – rzekł Thor. – Nie chcę cię znać. Jesteś mordercą – a nawet gorzej. Nie zamierzam dalej wysłuchiwać tego, co mówisz.

Lecz Andronicus tylko się uśmiechnął i postąpił krok naprzód.

- Ależ jeszcze nawet nie zacząłeś – rzekł Andronicus, wyraźnie rozbawiony. – Widzisz, spędzimy razem całe życie. Choć bardzo się temu sprzeciwiasz, jesteś mym synem. Sądzisz, że czyja krew płynie w tobie? Moja. Sądzisz, że komu powinieneś podziękować za to, że jesteś na tym świecie? Mnie. Możesz się oszukiwać i myśleć inaczej, lecz wiesz, że to prawda. Ty i ja jesteśmy tacy sami. Być może jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy, lecz jesteś taki sam, jak ja.

Thorowi krew napłynęła do twarzy.

- Nie jestem *wcale* do ciebie podobny – upierał się Thor. – I *nigdy* nie będę taki, jak ty. Jesteś żalosną imitacją żywej istoty. Przeklinam dzień, w którym dowiedziałem się, żeś mym ojcem.

- Być mym synem to wielki zaszczyt – stwierdził

Andronicus. – W całym Imperium nie ma równie potężnego mężczyzny, co ja, a pewnego dnia ty zajmiesz moje miejsce.

Thor zacisnął pięść na Mieczu Przeznaczenia.

- *Nigdy* nie zajmę twego miejsca – rzekł. Wzbierał w nim gniew, który coraz trudniej było mu kontrolować. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, a nasza rozmowa właśnie dobiega końca. Możesz się teraz poddać, a jeśli odmówisz, zabiję cię.

Thor z zaskoczeniem ujrzał, że Andronicusa nie zraziły jego słowa, że wciąż stoi przed nim z uśmiechem na twarzy. Postąpił kolejny krok ku Thorowi. Znajdował się teraz jedynie kilka kroków od niego.

- Obawiam się, że w takim razie będziesz musiał mnie zabić – rzekł Andronicus.

Thor nie rozumiał, co się dzieje.

- Zatem wycofujesz swą propozycję kapitulacji? – spytał Thor.

- Nigdy nie zamierzałem się poddać – uśmiechnął się Andronicus. – Zrobiłem to wszystko, by mieć szansę cię ujrzeć. Jesteś moim synem. Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz. Wiedziałem, że gdy staniesz przede mną, dostrzeżesz, że ty i ja jesteśmy tacy sami. Dołącz do mnie, Thorgrinie – rzekł Andronicus, wyciągając do niego dłoń. – Chodź ze mną, a dam ci moce, o jakich ci się nawet nie śniło. Będziesz władał całym światami. Krąg będzie jedynie pyłkiem w ziemiach, które będą do ciebie należeć, ludzi, których będziesz kontrolował. Zyskasz moce większe niż te, którymi obdarzyłyby cię zwykły ludzki ojciec. Dołącz do mnie. Przestań się temu opierać. To twoje przeznaczenie.

Thor zmrużył oczy i zaczął gotować się z wściekłości. Ten mężczyzna go oszukał. Oszukał ich wszystkich.

- Jeszcze krok, a zaatakuję – ostrzegł Thor.

- Nie uczynisz tego, Thorgrinie – rzekł Andronicus, wpatrując mu się w oczy, jak gdyby hipnotyzując go. – Ponieważ jestem twym ojcem. Ponieważ mnie kochasz. Ponieważ ty i ja jesteśmy jednym.

- Nienawidzę cię! – wykrzyknął Thor.

Andronicus dał krok naprzód i Thor nie potrafił się już dłużej powstrzymać. Pomyślał o Gwendolyn, o krzywdzie zadanej jej z ręki tego potwora, o wszystkich ludziach w Kręgu, których zabił Andronicus, i nie potrafił już powściągać swego gniewu.

Thor rzucił się naprzód, uniósł wysoko Miecz Przeznaczenia, i zamachnął się nim z całej siły, mierząc w pierś swego ojca, zdecydowany, by udowodnić mu, by udowodnić sobie, że wcale a wcale go nie przypomina.

Lecz Thor przeleciał przez puste powietrze, a jego miecz przeciął jedynie chmurę. Z rozmachem zanurzył miecz w tym, co znajdowało się przed nim – w głazie. Cios był tak silny, że Miecz Przeznaczenia zatopił się w nim, i wchodził dalej, aż zniknął w nim do połowy, wypełniając powietrze przeraźliwym zgrzytem metalu przecinającego kamień.

Wtedy Thor poczuł, że całe jego ciało oplata lekki metal. Szybko zdał sobie sprawę, że został schwyty w sieć. Próbował się uwolnić, lecz sieć wykonana była z materiału, którego nigdy wcześniej nie napotkał i nie potrafił tego zrobić.

Thor obejrzał się i ujrzał Andronicusa stojącego daleko, dobre trzydzieści stóp od niego. Był skołowany. Odwrócił się i spojrzał na miejsce, w którym wcześniej stał, a tam miast niego stała jakaś zła istota w długiej, szkarłatnej pelerynie o świecących złotych oczach.

Thor pojął, że zwiedziono go jakiegoś rodzaju zaklęciem. Myślał, że stoi przed nim jego ojciec, podczas gdy cały czas był to ten niegodziwy czarnoksiężnik.

Im dłużej Thor szamotał się w sieci, tym słabszy się stawał. Wykonana była z materiału, którego nigdy wcześniej nie widział, błyszczącej bursztynowej siatki i cokolwiek to było, wysysało z niego wszystkie siły. Nie potrafił nawet unieść Miecza Przeznaczenia.

Czarnoksiężnik zaśmiał się, widząc jego próby. Był to okropny, chropowaty dźwięk.

- Sieć wykonana jest z akdonu – rzekł czarnoksiężnik. – Im bardziej próbujesz się wydostać, tym słabszy się stajesz. To najrzadszy metal na ziemi, metal czarnoksiężnika, wykuwany w najniższych płomieniach piekieł. Nie ma go wiele na świecie – lecz wystarczająco, by zatrzymać takich jak ty. I twego smoka.

Thor usłyszał ryk i obróciwszy się ujrzał Mycoples omotaną siecią z tego samego materiału.

Tuziny ludzi Andronicusa trzymały sieć, przyciskając ją do ziemi, a smoczyca wydawała z siebie ryki i próbowała bić skrzydłami. Te skrępowane były jednak siecią.

Thor usłyszał jakiś dźwięk i podniósłszy wzrok zobaczył Andronicusa – prawdziwego Andronicusa – stojącego nad nim i uśmiechającego się szeroko. Patrzył, jak unosi wysoko pięść i opuszcza ją na jego twarz. Poczul na kości policzka cios jego kłykci, aż odrzuciło mu w tył głowę. Leżał teraz twarzą do twardej ziemi i nim wszystko okrył mrok, usłyszał jeszcze słowa swego ojca:

- Mówiłem, że do mnie dołączysz, synu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Gwendolyn stała na szczycie Wieży Schronienia, nie rozumiejąc, jak się tam znalazła. Świtało, a wokół niej, zwróconych twarzami do niej, stało siedmiu magicznych rycerzy, zastygłych w miejscu, tworząc idealny okrąg. Ruszyli w jej kierunku jak jeden mąż. Ich zbroje płytowe pobrzękiwały coraz głośniej na wybrukowanej drodze, gdy zacieśniali krąg wokół niej.

Wyciągnęli dłonie i już mieli ją pochwycić, gdy Gwendolyn, nie mając dokąd uciec, odrzuciła głowę w tył i krzyknęła.

Gwen mrugnęła i znalazła się pośrodku Królewskiego Dworu. Niebo było czarne, i kołowały po nim zimowe ptaki, kracząc przeraźliwie głośno. Miasto było jedynie namiastką tego, czym było niegdyś – było zasypane gruzem, zwęglone smoczym oddechem. Nie było w nim żywej duszy.

Gwendolyn stała pośrodku miasta, sama, szukając kogoś, kogokolwiek.

- Ojczy? – zawołała.

Odpowiedziały jej jedynie cisza i wycie wiatru.

Po drugiej stronie dziedzińca uchyliły się ogromne drzwi, wysokie może na sto stóp, łukowate, żelazne. W jej kierunku zmierzała samotna postać. Miała na sobie królewską pelerynę i przyrdzewiałą koronę, i gdy się zbliżyła, Gwen z radością spostrzegła, że to jej ojciec. Jego ciało było wycieńczone i wyglądał bardziej jak szkielet niż jak człowiek.

- Ojczy! – zawołała, wyciągając ku niemu rękę.

Trzymał w dłoni długie, złote berło, i jeden jego koniec

uniósł w jej stronę.

Wyciągnęła dłoń i chwyciła je, a wtedy jej ojciec zniknął.

Gwendolyn znalazła się na ścieżce biegnącej od Królewskiego Dworu, prowadzącej ku wzgórzu, na którym niegdyś wznosił się Dom Uczonych. Teraz spalony był na popiół, a na jego miejscu ziała wielka dziura w ziemi. Gwen spojrzała zza krawędzi i ujrzała w środku tunel prowadzący w ciemność. Sięgnęła w dół i wzięła do ręki księgę, będącą teraz kupką zwęglonych stronic, które osypały się w popiół w jej dłoniach i uleciały na wietrze.

Gwen mrugnęła i znalazła się na kamienistej, jałowej ziemi przed chatą Argona. Przyjrzała się dokładnie idealnie okrągłej, kamiennej budowli, lecz nie dostrzegła drzwi.

- Argonie! – zawołała.

- Tutaj jestem – padła odpowiedź.

Gwen odwróciła się raptownie i ujrzała go przed sobą. Odczuła niewypowiedzianą ulgę.

- Dlaczego nas opuściłeś? – spytała. – Nigdy nie potrzebowaliśmy cię bardziej niż teraz.

Argon pokręcił powoli głową.

- Żyję teraz w miejscu marzeń sennych – rzekł. – Jestem tu uwięziony. Ocal mnie, Gwendolyn. Ocal mnie!

Gwendolyn mrugnęła i znalazła się pośrodku Silesii, otoczona armią swego stryja. Wdarli się do środka, zapelniając każdy zakamarek tego miejsca, i wszyscy w równym szyku maszerowali w jej kierunku, unosząc miecze, włócznie i tarcze, gotując się, by ją zaatakować.

Odwracała się w każdą stronę, szukając drogi ucieczki, lecz nie było gdzie się skryć. Grupie przewodził Tirus, który uniósł miecz, by go w niej zatopić.

Mycoples zanurkowała i chwyciła Gwendolyn swymi

wielkimi szponami, które rozcinały jej skórę, gdy smoczyca uniosła się i poleciała nad głowami mężczyzn, za mury Silesii. Leciały nad rozległymi ziemiami i Gwen patrzyła nad przesuwający się pod nimi Krąg. Pod nimi byli ludzie Andronicusa, miliony ich pokrywały ziemię, więcej niż Gwen byłaby w stanie zliczyć.

Mycoples niosła ją ponad ich obozowiskiem i gdy Gwen spojrzała w dół, z przerażeniem ujrzała Thorgrina, więźnia, przykutego za ręce i nogi do pala. Nad nim stał Andronicus, który w obu dłoniach dźwigał ogromny, srebrny miecz i gotował się, by zatopić go w sercu Thora.

Pchnął go, a Thor krzyknął. Wtedy Mycoples wypuściła Gwendolyn.

Spadała przez powietrze, krzycząc, lecąc prosto na martwe ciało Thorgrina.

- NIE! – krzyknęła.

Gwendolyn usiadła w łóżu, dysząc ciężko, z trudem łapiąc powietrze. Rozejrzała się, próbując zrozumieć, gdzie się znajduje; ujrzała migoczące w komnacie pochodnie, ujrzała bijącą od kominka poświatę i zdała sobie sprawę, że jest bezpieczna. To był sen, i wciąż była noc.

Gwen przeszła po komnacie ku niewielkiej kamiennej misie po drugiej jej stronie. Krohn szedł u jej nogi. Pochyliła się i ochlapała twarz zimną wodą. Wciąż oddychała szybko, rozglądając się po pomieszczeniu, tak zaniepokojona swym snem. Położyła dłoń na brzuchu i poczuła skurcz. Sen zdawał się zbyt rzeczywisty. Była pewna, że widziała jak Thor zostaje pochwycony i ginie z ręki swego ojca. I ogarnęło ją poczucie winy.

Nie potrafiła się oprzeć wrażeniu, że to wszystko prawda, że gdy słońce wzejdzie, otoczą ją ludzie jej stryja, że Thora

schwytano i zginie.

Gwendolyn zmusiła się, by złapać oddech i odzyskać opanowanie. Odwróciła się, podeszła do okna i spojrzała na wirującą mgłę Kanionu w pierwszych nieśmiałych promieniach słońca. Niebo, wciąż ciemne, poczyniło się rozwidniać, przeistaczać się w świt. Ich wielki dzień niemal już nastał. Dzień, w którym zmierzą się z Tirusem. Dzień, w którym Thor zmierzy się z Andronicusem.

Sen prześladował Gwendolyn i czuła ucisk w dołku, okropne przeczucie, że coś pójdzie nie tak. Czuła to w piersi.

Nagle ktoś załomotał gwałtownie do jej drzwi – zbyt głośno, jak na tak wczesny ranek. Natychmiast odgadła, iż coś jest nie tak.

Gwen przemierzyła komnatę i otworzyła drzwi. Na progu stał posłaniec, słaniający się z wysiłku, pozbawiony tchu.

- Pani, przynoszę złe wieści – wydusił z siebie. – Jeden z naszych szpiegów jechał aż z Pogórza, by donieść nam, iż Thorgrin został schwytany przez Andronicusa.

Usłyszawszy te słowa, Gwen poczuła nagły, przeszywający ból w brzuchu, czuła, jak dziecko w jej łonie obraca się i kopie, raz po raz. Osunęła się z bólu na kolana, nie potrafiąc znieść tych skurczy.

Dyszała ciężko, próbując złapać powietrze, lękając się o życie swego dziecka.

- Pani, czy wszystko dobrze? – spytał posłaniec.

Gwen nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa. Leżała, opierając się jedną dłonią o kamienną posadzkę, gdy ogarniały ją kolejne fale bólu.

Sługa wybiegł z komnaty. Usłyszawszy te wieści, poczuła, jak gdyby ktoś odebrał jej całe jej życie.

Thor schwytany. Jakże głupia była, pozwalając mu lecieć. Nie mogła za to winić nikogo innego niż siebie. To ona go tam

pchnęła.

Ból z wolna zaczął ustępować. Drzwi otwarły się gwałtownie i do komnaty wszedł Steffen, prowadząc starszego medyka, który pomógł jej wstać.

- Pani, co się stało? – zapytał medyk.

Gwen wstała, czując się lepiej. Odwróciła się w stronę sługi.

- Natychmiast zwołaj mą radę – rozkazała silnym, nie znoszącym sprzeciwu tonem królowej.

- Tak, pani – rzekł, odwrócił się i pospieszył z komnaty. Medyk wyszedł zaraz za nim. Pozostał z nią jedynie Steffen.

Gwendolyn odwróciła się i po raz ostatni wyjrzała przez okno. Nastął czas, by zmierzyć się z tym, co przyniesie ten dzień.

* * *

Gwendolyn przeszła przez podwójne drzwi do komnaty rady, rozświetlonej pochodniami w bladym świetle poranka, ze Steffenem u boku. Powitały ją ściągnięte niepokojem twarze jej najświetniejszych rycerzy. Byli tam Srog, Kendrick, Brom, Atme, Godfrey, Reece i dwa tuziny innych. Wszyscy pokładali w niej nadzieję. Mieli na sobie zbroje, a po wyrazach ich twarzy widać było, że gotują się do bitwy. Prawie świtało i nadszedł czas, by się z nimi zmierzyć, by dla chwały zaryzykować swe życie.

Napięcie było jeszcze większe przez wieści o pojmaniu Thora.

- Czy to prawda? – spytał ją Kendrick.

W sali zaległa cisza, a Gwen skinęła z powagą głową.

- Prawda – odrzekła. – Nasz drogi Thorgrin został pojmany.

Z piersi zebranych wydarł się jednogłośny jęk, a kilku z nich uderzyło metalowymi rękawicami gniewnie w stół.

- Wiedziałem, że nie powinniśmy byli pozwalać mu ruszać w pojedynek – rzekł Brom.

- Andronicusowi nigdy nie można było ufać – powiedział Reece.

- Lecz jak to możliwe? – zadał Kendrick pytanie, które wszystkim chodziło po głowie. – Thor miał Mycoples. I Miecz Przeznaczenia. Jakim sposobem udało im się go pojmać?

- Za pomocą czarów – rozległ się głos.

Aberthol wyszedł naprzód, stukając laską na kamiennej podłodze.

- Jedynie magia mogła do tego doprowadzić – rzekł.

- Nie ma teraz znaczenia, jak do tego doszło – rzekła Gwen.
– Teraz nie mamy Thora. Ani Mycoples. Ani Miecza Przeznaczenia. Jest nas kilka tysięcy naprzeciw połowie miliona ludzi Andronicusa. A co ważniejsze, Tirus otoczył nasze miasto.

W sali zapadła cisza, i wszyscy czekali, co rzeknie Gwendolyn.

- Co teraz, pani? – spytał Kendrick.

Gwendolyn spojrzała na wszystkie te twarze i zdała sobie sprawę, że nie jest już tą naiwną, niewinną dziewczyną, którą kiedyś była. Czowała, że jest teraz nieugięta, może nawet odrobinę bezduszna. Nie bała się, mimo tego, że wróg miał nad nimi przewagę. Była gotowa poprowadzić tych ludzi. W rzeczy samej tego po niej oczekiwali. Gwen czuła spokój i jasność, nawet w zaistniałym zamęciu.

- Nic się nie zmieniło – rzekła. – Najpierw rozprawimy się z Tirusem. Niewielki oddział wyjdzie mu na spotkanie na zewnątrz bram. Uzna, że przychodzimy z wiadomością, nastawieni pokojowo. Tymczasem większość naszej armii otoczy ich z dwu stron i zaatakuje na mój rozkaz. Być może poniesiemy klęskę, lecz zginiemy w walce – jak wojownicy, nie jak tchórze.

W pokoju rozległ się jednogłośny okrzyk aprobaty, a każdy z mężczyzn chwycił rękojeść swego miecza i zatrząsł nim.

Drzwi otwały się gwałtownie i do środka wbiegło kilku sług, ciągnąc za rękę Bronsona, który opierał się i protestował.

- Puśćcie mnie! – krzyczał.

- Oto zdrajca, który posłał Thorgrina w zasadzkę – rzekł Brom.

Gwendolyn zwróciła się ku niemu, patrząc na niego gniewnie.

Bronson spojrział na zebranych w komnacie mężczyzn oczyma szeroko otwartymi z przerażenia.

- Nic podobnego! – zaprzeczył. - Przysięgam! Nie wiedziałem o podstępie Luandy! Przysięgła mi, że pośredniczy w zawarciu pokoju! Nie miałem pojęcia, że to pułapka!

- Z pewnością – rzekł Godfrey z ironią. – Z pewnością nie masz żadnego interesu w układzie, jaki twoja żona zawarła z Andronicusem, żadnego interesu we wspólnym objęciu z nią władzy.

- Nie mam!- utrzymywał Bronson. – Po tym, co zrobiła dzisiaj, nie ma we mnie ani krztyny miłości dla Luandy. Teraz to jest mój dom, a wy jesteście tymi, za których chcę walczyć!

- Chcesz za nas walczyć? – zawołał Srog z ironią. – Dlaczego? By móc raz jeszcze nas oszukać?

- Powinniśmy go stracić, pani – rzekł Atme. – Za to, co uczynił Thorowi!

Inni poparli go okrzykami.

- ZA THORA!

Rozległ się kolejny okrzyk aprobaty.

Bronson szamotał się, otworzywszy oczy szeroko ze strachu.

- Musicie mi uwierzyć! – krzyknął. – Gdybym wiedział, nigdy nie przekazałbym jej wiadomości!

Gwendolyn podeszła do niego, a w sali zaległa cisza. Stała stopę od niego i przyjrzała się uważnie jego twarzy, chcąc samej przekonać się, czy kłamie.

Przyglądała mu się bacznie, przepelniona wściekłością za to, co stało się Thorowi, nie chciała jednakże karać niewinnego człowieka. Przyjrzała się uważnie Bronsonowi, trzęsącemu się, pozbawionemu jednego oka, i coś podpowiadało jej, że mówi prawdę. Wiedziała, do jakich knowań i oszustw jest zdolna jej siostra i uznała, że to prawdopodobne, że Luanda zwiodła niewinnego człowieka, takiego jak Bronson.

- Być może rzeczywiście zostałeś oszukany – rzekła Gwen. – Jednakże nigdy nie będę tego pewna. Dopóki tego nie wiem, nie mogę pozwolić, byś jechał u boku mych ludzi. Nie zabiję cię, nie bez sprawiedliwego procesu. A skoro nie ma tu nikogo, kto mógłby poświadczyć w twojej obronie lub przeciwko tobie, każdy proces byłby niesprawiedliwy.

- Co zatem z nim zrobimy, pani? – zawołał Godfrey.

Gwendolyn przyglądała się Bronsonowi długo i uważnie.

- Zostaniesz wygnany – rzekła Gwendolyn. – Opuścisz naszą stronę Kręgu i nigdy więcej nie postawisz stopy na naszej ziemi, w przeciwnym razie zginiesz.

- Pani, nie możesz! – zawołał Bronson, przestraszony. – Po stronie McCloudów nie ma dla mnie miejsca. Odesłanie mnie tam oznacza dla mnie śmierć!

Gwendolyn powoli pokręciła głową.

- Będziesz musiał radzić sobie sam – rzekła. – Podobnie jak my.

Skinęła głową i słudzy odciągnęli go, wrzeszczącego, aż w końcu drzwi za nim się zamknęły i w sali znów nastąpiła cisza.

Gwendolyn odwróciła się i stanęła twarzą do swych ludzi, którzy patrzyli na nią z rosnącym szacunkiem.

- Już prawie świta – rzekła ponuro. – Trwonimy czas.
Chwyćcie swą broń i chodźcie za mną. Nadszedł czas, by spotkać
się z naszymi kuzynami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Gwendolyn jechała na swym wierzchowcu, przewodząc niewielkiemu orszakowi swych najświetniejszych wojowników przez opustoszały plac Silesii. Zmierzali ku północnej bramie, by spotkać się z jej stryjem. Skinęła głową i na ten znak kilku żołnierzy powoli uniosło masywną żelazną bronę.

Wyjechali przez otwartą bramę. Gwen otaczali z dwu stron Kendrick, Srog, Brom, Reece, Godfrey, Atme i tuzin innych. Było ich niewielu. Wyjeżdżali przed miasto, by stanąć przed Tirusem i jego ogromną armią, która czekała, ustawiona rzędami w porannym słońcu, jak gdyby gotowała się do marszu na miasto.

Grupa Gwendolyn zdawała się być nastawioną pokojowo eskortą, dokładnie tak, jak Gwen chciała. Chciała zagrać na miłości własnej Tirusa, skłonić go do myślenia, że gotowi są przystać na jego warunki. Z pewnością tak właśnie pomyśli – inaczej nie wychodziłaby z tak niewielkim orszakiem jak ten; a biorąc pod uwagę poziom arogancji Tirusa, była przekonana, że tak właśnie będzie.

Potajemnie jednak wszystkie silesiańskie siły skradały się po obu bokach ludzi Tirusa, otaczając ich skrzydła, zajmując pozycje w lesie i gotując się, by na znak Gwen zaatakować.

Gwen serce tłukło się w piersi, gdy zbliżała się do nich powoli na swym koniu wraz z innymi, w ciszy tego poranka. Napięcie było tak gęste, że można by je krajać nożem. Wirująca mgła Kanionu wpadała na pole bitwy i z niego umykała, a gdy rozbrzmiał róg, niewielki orszak ludzi Tirusa ruszył w jej kierunku, wychodząc im na spotkanie pośrodku otwartego pola.

Tirus wyjechał na przód, otoczony z dwu stron swymi czterema synami i tuzinem generałów.

Gdy się zbliżali, Gwen poczuła ból głęboko w brzuchu, czuła jak dziecko obraca się raz po raz; przytłaczało ją to i sprawiało, że wracała myślami do Thora. Czuła, że został pojmany, czuła jego bezradność. Nie pojmowała, jak do tego doszło, lecz myśl o tym rozdzierała ją na dwoje. Obezwładniało ją poczucie winy i wyrzuty sumienia.

Gwendolyn wygnała te myśli z głowy. Nie czas na to. Jak tylko upora się z Tirusem, o ile przeżyje, wyśle wszystkich swych ludzi, by ratować Thora.

Gwendolyn skupiła się na Tirusie, gdy ujrzała jego twarz, na której malował się protekcyjny uśmiech osoby pewnej swego. Byli coraz bliżej. Ich kolczugi pobrzękiwały, miecze zgrzytały u ich bioder, ostrogi brzęczały, a zapach koni wisiał ciężko w powietrzu, mieszając się z wilgotną wonią Kanionu w zimnym, porannym powietrzu.

Tirus i Gwen zatrzymali się oboje w odległości kilku stóp od siebie i zmierzyli się wzajemnie dumnym spojrzeniem. Tirus siedział, czekając, aż Gwen przerwie ciszę, wyraźnie nurzając się w tym, co uważał za swój sukces, w zbliżających się przeprosinach.

- Mądra z ciebie dziewczyna – rzekł w końcu. – Podjęłaś słuszną decyzję, by nam się poddać. Trzeba przyznać się do klęski, gdy jest się otoczonym.

Serce Gwendolyn biło jak szalone, gdy siedziała na swym rumaku idealnie wyprostowana, wpatrując się w kulę wschodzącego pierwszego słońca. Jej oczy były zimne i nieruchome. Poczowała w sobie nową siłę, siłę syna, którego w sobie nosiła. Syna Thora.

Nie czuła już lęku. Ani przed tymi ludźmi, ani przed nikim

innym, ani przed śmiercią. Życie zdawało jej się mniej cenne niż nigdy, i żadne groźby nie budziły w niej strachu.

W powietrzu zawisła ciężka cisza. Konie ryły kopytami w ziemi i rżały, a Gwen nie spieszyła się z odpowiedzią. Była gotowa dać swym ludziom znak, by natarli i wiedziała, że za jej najmniejszym gestem to uczynią – i rozpęta się szal.

- A któż powiedział, że zamierzamy się poddać? – odparła chłodno.

Serce Gwen biło bez opamiętania i czuła, że jej ludzie zaciskają dłonie na rękojeściach mieczy. Już za chwilę skinie ręką, dając znak do rozpoczęcia bitwy, która najpewniej skończy się jej śmiercią, i śmiercią wszystkich pozostałych. Nie lękała się śmierci. Jedynie niehonorowej śmierci. Tym razem przynajmniej zginie z nienaruszonym honorem.

Tirusowi powoli zrzęda mina, z jego twarzy zniknął arogancki uśmiech, gdy patrząc na nią zdał sobie sprawę, że mówi poważnie.

- Głupia dziewczyno – rzekł. – Czy przybyłaś mi zatem powiedzieć, że wydałaś na siebie wyrok śmierci? – spytał chłodno. Jego głos był przepelniony wrogością.

Gwendolyn podniosła wzrok, by ocenić pozycje swych ludzi, gotując się, by dać im znak, i wtedy dostrzegła coś na horyzoncie, na wzgórzu za ludźmi Tirusa; coś zwróciło jej uwagę, coś, czego się nie spodziewała. Coś błysnęło, odbijając promienie słoneczne, w miejscu, w którym nie powinno. Była to tarcza.

Lecz nie jej ludzi. Ani Tirusa.

Po chwili dostrzegła kolejną tarczę.

I jeszcze jedną.

Na grani ukazało się kilka tysięcy tarcz, lśniących, odbijających światło.

Z początku Gwen była zdezorientowana. Jeszcze jedna

armia zmierzała ku temu polu bitwy.

Lecz gdy zbliżyli się, gdy ich sztandar załopotał nad wzgórzem, ukazując się ich oczom, rozpoznała godło. Uradowała się. To niemożliwe.

A jednak tak było.

Był to sztandar księcia Savarii i jego ludzie – wraz z tysiącami innych. A całej grupie przewodził – rozpoznała go po zbroi, najbardziej lśniącej zbroi w całym królestwie – czempion jej ojca. Erec.

Erec powrócił. I prowadził ze sobą tysiące mężczyzn.

A Tirus nie miał o tym pojęcia.

Tym razem to Gwen się uśmiechnęła. Przeniosła wzrok na powrót na Tirusa i zdała sobie sprawę z tego, że bardzo, ale to bardzo sprawi jej to przyjemność.

- Wręcz przeciwnie – odrzekła spokojnie. – Sądzę, że to ty wydałeś na siebie wyrok śmierci.

Tirus spojrział na nią gniewnie, a wyraz jego twarzy przeistoczył się w grymas niezadowolenia.

- Głupia z ciebie dziewczyna – rzekł. – Posyłasz wielu ludzi na śmierć. I za chwilę przekonasz się, co znaczy cierpienie.

- Doświadczylam cierpienia dużo większego, niż ty kiedykolwiek zaznasz – odrzekła. – Dość tych błahostek. Dam ci jedną szansę, by się poddać.

Tirus spojrział na nią w szoku, następnie odrzucił głowę w tył i roześmiał się drwiąco.

- Kpisz ze mnie, dziewczyno. Albo całkowicie postradałaś zmysły – wybuchnął gromkim śmiechem, a jego ludzie mu zawtórowali. – Dlaczego miałbym ci się poddawać, gdy moja armia jest dwa razy liczniejsza niż twoja? Gdy twoje oddziały są słabe, a moje silne?

Gwendolyn uśmiechnęła się szeroko.

- Dlatego, że jeśli obejrzysz się za siebie, ujrzysz dwukrotnie więcej mężczyzn niż twoich na grani za tobą. Rozpoznasz zbroje: te tarcze należą do księcia Savarii i czempiona Srebrnej Gwardii, Erec, oraz wszystkich jego rycerzy. Powrócił do domu, by wiernie służyć memu ojcu – czego ty nigdy nie robiłeś. A jeśli to nie wystarczy, możesz spojrzeć na prawo i lewo, a wśród drzew ujrzysz kolejne tysiące mych ludzi, którzy otoczyli cię i z napiętymi łukami czekają na mój znak.

Gwen uśmiechnęła się szeroko.

- Zatem widzisz, stryju, że to ty jesteś całkowicie otoczony. Tirus skrzywił się.

- Naprawdę sądzisz, że jestem na tyle głupi, by obracać się i szukać zmyślonej armii na horyzoncie? To twoja ostatnia, rozpaczliwa próba ratunku – rzekł.

Jego czterech synowie odwrócili się jednak, a wtedy na ich twarzach ukazał się lęk, a konie zaczęły poruszać się niespokojnie.

- Ojczy, ona nie kłamie – rzekł jeden z nich.

Tirus odwrócił się niechętnie i ujrzał, że jest otoczony ze wszystkich stron przez tysiące ludzi. Erec znajdował się na wyżej osadzonym terenie. Tysiące jego ludzi prężyło się dumnie na swych wierzchołkach z wysoko uniesionymi kopiami – a po bokach armii Tirusa wyłonili się ludzie Gwendolyn, dwa tysiące łuczników w gotowości.

Tirus odwrócił się i ponownie utkwiał spojrzenie w Gwen. Tym razem na jego twarzy widniał szok. Poblądł i przygarbił się nieco, a jego arogancja gdzieś uleciała.

Kendrick i pozostali mężczyźni w jej orszaku dobyli swych mieczy. Ich świst przeciął poranne powietrze.

- Złóżcie broń, wszyscy – rozkazała Gwen z powagą. – W przeciwnym razie na najmniejsze skinienie mej dłoni tysiąc

łuczników wypuści strzały. Teraz to ty musisz podjąć decyzję.

Upokorzonemu i przestraszonemu Tirusowi w końcu zrzęła mina. Rzucił broń na ziemię i gestem nakazał innym uczynić to samo. Wokół nich jego ludzie rzucili swą broń, która uderzyła z brzękiem o ziemię.

- Wiem, kiedy przyznać się do porażki – rzekł. – Przechytrzyłaś mnie dzisiaj. Poddaję przed tobą mych ludzi.

- Wiem, że poddajesz – rzekła. – Nietrudno jest poddać się, stojąc w obliczu pewnej śmierci. Powinnam się zastanowić, czy na to przystanę, czy też miast tego odbiorę ci życie.

Tirus przełknął ślinę, po raz pierwszy zdając się naprawdę przerażony.

- Proszę, pani – błagał, silnie drżącym głosem. – Oszczędź nas. Nie chcieliśmy wyrządzić ci krzywdy.

Tym razem to Gwendolyn się roześmiała.

- Nie chcieliście wyrządzić nam krzywdy? – spytała. – Chcieliście jedynie spustoszyć nasze miasto i zmiażdżyć naszych ludzi?

Tirus niemal wybuchnął płaczem.

- Proszę, pani. Jesteśmy rodziną.

- *Rodziną?* – powtórzyła drwiąco Gwen. – Czy tak traktuje się rodzinę?

- Każ ich zabić, pani – rzekł Kendrick. – Tirus to parszywiec i zdrajca własnych krewniaków. Zasługuje na śmierć. Dopuścił się zdrady Kręgu i pogwałcił nasze święte prawo.

- Każ go zabić, pani – powiedział Srog. – Nie można mu ufać. Jeśli pozwolisz mu żyć, zabije nas innego dnia.

Gwendolyn rozważyła swe możliwości.

- Ojczy, *zrób* coś! Wykrzyknął jeden z synów Tirusa. – Proszę, nie pozwól nam zginąć!

Gwen wzięła głęboki oddech.

- Powinnam cię zabić, stryju – rzekła. – A razem z tobą wszystkich twych ludzi. Lecz nie uczynię tego.

Jego twarz i twarze jego ludzi rozluźniły się i dostrzegła na nich ulgę.

- Podobnie jak mój ojciec, postanowiłam być łaskawą władczynią i okazywać litość nawet wtedy, gdy na nią nie zasłużono. Ufam także, iż możecie nam się przydać w jakiś sposób, a szkoda tracić tak dobrych ludzi, szczególnie w tych dniach. Otrzymacie zatem jedną szansę. Albo rozkażę zarznąć wszystkich twych ludzi w tej chwili, albo dołączycie do naszych sił, staniecie się częścią naszej armii i odpowiadać będziecie przede mną, Kendrickiem, Srogiem i Bromem. Twoi ludzie dołączą do nas w walce przeciwko Andronicusowi i pomogą uwolnić Thorgrina. Decyzja należy do ciebie.

Trius zsiadł z konia, padł na kolana i złączył dłonie.

- Dziś, tutaj, widzę, co to znaczy być prawdziwym władcą – rzekł. – Dałaś mi lekcję, pani. Wstyd mi za moje czyny i wdzięczny jestem za twą łaskę. Dziękuję. Oczywiście przyłączymy się do was. Wszyscy moi ludzie. I pojedziemy gdziekolwiek rozkażesz.

Gwen spojrzała w dół, ujrzała szczerłość w jego oczach i podjęła decyzję. Uniosła dłoń i gestem nakazała swym ludziom opuścić broń.

Rozległ się dźwięk rogu, jeden z ludzi Tirusa uniosł białą flagę, a Tirus odwrócił się do swych ludzi i krzyknął:

- **PODDAJEMY SIĘ!**

Niosący flagi unieśli więcej białych flag i z każdego szeregu dobiegł ich dźwięk rzucanej broni.

Po wszystkich stronach rozległy się okrzyki radości.

Było po bitwie.

* * *

Ogromna sala zamkowa Sroga pękała w szwach od setek świętujących ludzi, członków armii MacGila, Srebrnych, Legionu, silesian, armii księcia, Ereca i jego ludzi oraz oswobodzonych mieszkańców Zachodniego Królestwa Kręgu. Dołączył do nich Tirus i jego najświetniejsi wojownicy, a także jego synowie i wszyscy kuzyni z rodu MacGilów. Gwen, kierując się tym, co podpowiadała jej mądrość, wyciągnęła do nich rękę i zdecydowała pozwolić im do nich dołączyć; wszak jeśli mieli walczyć ramię w ramię, musieli się poznać i zacząć sobie ufać.

W sali panowała radosna atmosfera. Wszyscy odczuwali ulgę, że nie toczyli ze sobą bojów, a Gwen i pozostali odczuli niezwykłą ulgę, że był z nimi Erec, że po tylu miesiącach powrócił do domu. Gwen nie spodziewała się, że kiedykolwiek jeszcze go ujrzy, i jego powrót był jak gdyby odzyskaniem części jej ojca. Obudziło to w niej wspomnienia. Jej ojciec kochał Ereca jak syna i pod wieloma względami był dla niej jak brat.

W sali znaleźli się Steffen, Srog, Brom, Kendrick, Reece, Godfrey, Elden, Conven, O'Connor oraz kobiety: Selese, Sandara, Indra. Jednak najwięcej spojrzeń przyciągała przyszła małżonka Ereca, Alistair. Była najpiękniejszą kobietą, jaką Gwendolyn kiedykolwiek widziała.

Napięcie wywołane bitwą minęło i Gwen niesamowicie ulżyło, choć nadal była podenerwowana na myśl o Thorze. Postanowiła wyruszyć mu na ratunek jak tylko jej ludzie się przegrupują. W pomieszczeniu powstało poruszenie – Erec zasłużenie traktowano jak powracającego bohatera. Ścisnął Kendricka, Godfreya, Reece'a i wielu rycerzy Srebrnej Gwardii. Towarzyszył mu Brandt, także bohater Srebrnych, i w komnacie

rozbrzmiewały pełne uciechy okrzyki powitań.

Gwendolyn wyciągnęła ręce, a Erec objął ją. Niezwykle radował ją widok czempiona jej ojca po tylu miesiącach. Jak gdyby powróciła do niej część Królewskiego Dworu.

- Wydoroślałaś – rzekł Erec, odsuwając się i przyglądając jej. – Nie jesteś tą samą dziewczyną, którą byłaś, gdy opuszczałem to miejsce. Stałaś się kobietą. Królową. Twój ojciec byłby niezwykle dumny.

Przyjrzała mu się z uśmiechem.

- Ty także się zmieniłeś – powiedziała. – Zdajesz się być dwakroć większy, niż byłeś – Gwen spojrzała na stojącą obok Alistair. – Widzę także, co ważniejsze, iż twój Rok Selekcji okazał się owocny.

Erec dał krok do tyłu, przypomniawszy sobie.

- Pani – rzekł, kłaniając się i odchrząkując. – Pragnę przedstawić mą przyszłą małżonkę, Alistair.

Wokół zebrał się ciekawski tłumek, a Alistair wyszła naprzód.

Alistair uśmiechnęła się i dygnęła przed Gwendolyn. Gwendolyn odwzajemniła uśmiech.

- To wielki zaszczyt, pani – powiedziała Alistair. W jej głosie było coś, co natychmiast zdało się Gwen znajome. Nie potrafiła tego wyjaśnić, lecz czuła, jak gdyby znała tę kobietę całe swe życie.

Na twarzy Gwendolyn pojawił się szeroki uśmiech. Postąpiła naprzód i chwyciła w ręce dłonie Alistair.

- Erec wybrał dobrze – rzekła. – Małżonka Ereca jest mi siostrą.

Gwendolyn przeniosła wzrok na Ereca.

- Erecu, nadal jesteś czempionem mego ojca, Srebrnej Gwardii, a dzisiaj ocaliłeś nas. Jesteśmy twymi dłużnikami.

Erec pokręcił głową.

- Ja zawdzięczam twemu ojcu dalece więcej – odrzekł. – I zamierzam spłacić ten dług, służąc jego córce równie wiernie, jak jemu.

Erec obrócił się i rozejrzał po pomieszczeniu, w którym przemieszały się obie strony rodu MacGilów.

- Twa mądrość jest dziś widoczna w tej sali – rzekł. – Twój ojciec dokonał słusznego wyboru. Każdy inny przywódca zakończyłby ten dzień rozlewem krwi. Mamy szczęście, że ty nam przewodzisz.

Gwen omiotła spojrzeniem salę i ujrzała, że jej strategia przynosi efekty: przemieszani MacGilowie z początku czuli się niezręcznie, lecz teraz wojownicy chętnie się bratali, wspólnie pijąc, przekomarzając i opowiadając sobie historie z pola bitwy. Patrząc na nich, nie dało się wyszczególnić dwu stron. To, co mogło być całodniowym rozlewem krwi, przerodziło się w święto.

Teraz, gdy mężczyźni zyskali szansę na to, by odrobinę odetchnąć i ponownie się zjednoczyć, Gwen spoważniała, myśląc o pojmanym Thorze. Ledwie była w stanie wytrzymać to, że była tutaj, podczas gdy on znajdował się w niebezpieczeństwie, i wiedziała, że trzeba szybko podjąć działanie.

- Minął czas na czcze rozmowy – rzekła do Kendricka i Erecu, a pozostali skupili się wokół niej i przysłuchiwali się. – Musimy skupić się na Thorgrinie.

Jej ludzie podeszli bliżej, przysłuchując się.

- Potrzebny nam plan uwolnienia Thora – powiedziała.

Mężczyźni spojrzeli po sobie ponuro.

- Pani, czy chcesz, by kilka tysięcy naszych ludzi stanęło do walki z półmilionową armią Andronicusa? – spytał Tirus. - I wszystko to dla jednego człowieka?

- Thorgrin jest kimś więcej niż tylko jednym człowiekiem – rzekła, pochmurniejąc. – I tak, chcę. Zaryzykowałabym życie naszych ludzi dla któregośkolwiek z naszych braci i sióstr.

Na ich twarzach odmalowała się powaga.

- Nawet z drugimi MacGilami – rzekł Brom. – Tirus ma rację: jest nas znacznie mniej. Choć nie podoba mi się to, co rzeknę, zwykły atak nie przyniesie nam zwycięstwa.

- Jeśli zaatakujemy, mamy niewielką szansę na przetrwanie – rzekł Srog.

- Jednak jeśli pozostaniemy tutaj – zauważył Kendrick. – Wszyscy z pewnością zginieemy.

- To, czy przeżyjemy, czy nie, nie ma znaczenia – rzekł Erec. Jego głęboki i pewny głos przyciągał uwagę i wszystkie spojrzenia skierowały się ku niemu.

- Ważne jest to, byśmy żyli i zginęli w chwale – dodał.

Wśród mężczyzn rozległ się pomruk aprobaty. Zamilkli wszyscy, pogrążając się w myślach, a Gwen odchrząknęła.

- Bitwy przegrywa się, gdy misje są zbyt ogólne – rzekła Gwen. – Nasza będzie szczegółowa: uwolnić Thora i Mycoples. Zaatakujemy ich główny obóz, by odwrócić ich uwagę, dowiemy się, gdzie jest Thor i uwolnimy go. Kiedy tak się stanie, z Mieczem Przeznaczenia i Mycoples szala zwycięstwa przechyli się na naszą stronę. Nie myślcie o tym jak o kilku tysiącach ludzi przeciwko połowie miliona; myślcie o tym raczej jak o kilku tysiącach ludzi oswobadzających jednego. Przede wszystkim musimy podzielić ludzi Andronicusa i odwrócić ich uwagę.

- A jak tego dokonamy, pani? – spytał Brom.

- Podzielimy naszą armię na cztery mniejsze oddziały i zaatakujemy ich z każdej strony, odwracając ich uwagę i rozdzielając ich siły. Erecu, ty poprowadzisz ludzi księcia i połowę Srebrnej Gwardii. Kendricku, ty drugą połowę, jak

również połowę armii MacGilów. Tirusie, ty poprowadzisz swoich ludzi. A ty, Godfreyu, poprowadzisz drugą połowę ludzi króla.

Godfrey odwrócił się i spojrział na nią szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma.

- *Ja*, pani? – spytał.

Skinęła głową w odpowiedzi.

- Nie wiem, czy podołam temu zadaniu – rzekł Godfrey, zdenerwowany. – Nie jestem wojownikiem.

- Podołasz – odrzekła stanowczo. – Wszak to ty ocaliłeś nas przed Andronicusem tutaj, w Silesii.

- To, czego dokonałem, osiągnąłem sprytem, nie siłą.

- I właśnie sprytu będziemy potrzebowali, by wygrać tę bitwę, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, iż stajemy naprzeciw większej siły – odrzekła. – Poprowadzisz czwarty oddział. Przystajesz na to?

Wszyscy spojrzeli na Godfreya, który po chwili skinął głową.

- Doskonale – rzekła Gwendolyn. – Te cztery oddziały nadjadą i zaatakują główny obóz Andronicusa z czterech różnych dróg. Zamieszymy im w głowach i podzielimy na wystarczająco długo, by dotrzeć do Thora.

- A ty, pani? – spytał Steffen, zwracając się ku niej. – Zostaniesz tutaj?

Wszystkie spojrzenia spoczęły na Gwendolyn.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Nie mogę tu zostać, gdy mój Thorgrin tam jest. Ja także przystąpię do ataku – rzekła. – Lecz w inny sposób.

- Co masz na myśli, pani?

- Muszą przetrzymać Thora jakimś magicznym sposobem – rzekła. – Będzie nam potrzebna magia, by go uwolnić. Mogę się

zwrócić tylko do jednej osoby. Muszę odnaleźć Argona.

- Lecz Argon nas opuścił, pani – powiedział Aberthol.

- Żyje gdzieś – odparła Gwen. – Odnajdę go. Uwolnię go. On pomoże nam ocalić Thora.

Gwendolyn odwróciła się do pozostałych.

- Nie zwlekajmy dłużej – rzekła głośno. – Thorgrin czeka na nas!

Tłum rozszedł się z donośnym okrzykiem. Mężczyźni zaczęli się już dzielić na oddziały i gotować do wyruszenia w drogę.

Gdy sala zaczęła cichnąć, a tłum przeredzać się, Gwen przywołała Aberthola.

- Abertholu!

Zatrzymał się i odwrócił.

- Znasz wszystkie stare księgi – rzekła. – Spłonęły, lecz żyją w twojej pamięci. Niektóre z nich sama pamiętam. Koło Czarnoksiężników. Istniała księga, jak pamiętam, która opowiadała o legendach o uwięzionych.

Aberthol skinął głową.

- Pamięć cię nie zawodzi – rzekł. – To po części mity, po części prawda. Nikt nie wie, ile w nich czego. Ale owszem, istnieje legenda. Według niej uwięzieni przez magię przetrzymywani są w Nibyświecie.

- Nibyświat – rzekł zaskoczony Steffen.

- Słyszałeś o tym miejscu? – spytała Gwen.

Steffen przytaknął.

- Pogłoski mówią, że to miejsce oziębia ludzką duszę. Jest to kraina lodu i mgły. Jeden z najgłębszych kręgów piekieł.

- Żaden człowiek nie ma dostępu do tego miejsca – dodał Aberthol. – Chyba że prowadzi go druid. A skoro nie ma wśród nas druida, obawiam się, że nawet jeśli to prawda, nie udałoby

nam się tam wkroczyć. Nasza wyprawa byłaby daremna.

- Ja was tam zaprowadzę – dobiegł ich głos.

Gwen, Steffen i Aberthol ujrzeli występującą naprzód Alistair. Spojrzała na Gwen z powagą.

Krohn zbliżył się i polizał jej dłoń. Było oczywiste dla Gwen, że Krohn ją lubił – co rzadko się zdarzało, zwłaszcza w przypadku obcych.

- Lecz jak? – spytała Gwen. – Chyba że jesteś...

Alistair skinęła głową.

- Masz rację, pani – rzekła. – Jestem druidem.

Spojrzeli na nią zdumieni, a ona pokłoniła się nisko.

- Nigdy nikomu tego nie wyjawiałam – rzekła. – Lecz dla ciebie zrobię to. Wiele znaczysz dla Ereca. A nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłabym dla mego pana.

Gwendolyn podeszła do niej blisko, uśmiechając się, po raz pierwszy czując, że przepelnia ją nadzieja. Gdyby zdołała odnaleźć Argona i uwolnić go, być może ocaliłaby Thora.

- Od dziś – rzekła Gwendolyn do Alistair. – Jesteś moją siostrą.

Alistair odwzajemniła uśmiech.

- Niczego nie pragnę bardziej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Thor skulił się, gdy spadał na niego kolejny cios. Próbował z całych sił opierać się, lecz z nadgarstkami zakutymi w akdonowe kajdany niewiele był w stanie zrobić. Jego siły zostały nadwątlone przez ten magiczny metal i nie potrafił się bronić, gdy spora grupa żołnierzy Imperium uderzała go po twarzy, piersi, plecach, i w końcu powaliła kopniakiem twarzą do ziemi.

Tłum rzucał się na niego i kopał, cios za ciosem lądowały na jego żebrach, plecach, nogach, głowie. Thor starał się osłaniać twarz najlepiej jak mógł, lecz czuł już, że jedno oko mu obrzmiewa i niewiele przez nie widzi.

Nieopodal stał Andronicus i wszystkiemu się przyglądał z uśmiechem na ustach, wyraźnie zadowolony widokiem żołnierzy znęcających się nad jego synem.

Jaki ojciec pozwoliłby, by coś takiego działo się z jego synem? Zastanawiał się Thor. Jeśli Thor kiedykolwiek miał jakieś wątpliwości co do tego, czy darzył swego ojca jakimś pozytywnym uczuciem – albo jego ojciec jego – te razy z pewnością go ich pozbawiły.

Ciosy spadały na niego tak gęsto, że stracił rachubę. W końcu Andronicus wykrzyknął:

- Dosyć!

Żołnierze rozstąpili się przed Andronicusem, który podszedł do Thora. Przez moment Thor myślał, że czeka go chwila wytchnienia od tego znęcania się – miast tego podeszło do niego więcej żołnierzy i zaczęli ściągać z niego odzienie.

Thor poczuł, jak mroźny zimowy wiatr wgryza się w jego

otartą skórę. Spróbował znów z całych sił się opierać, lecz nie zdołał.

Thor zaprotestował krzykiem, gdy poczuł, jak zdzierają z niego koszulę i ujrzał, jak pierścień matki wypada i toczy się po ziemi. Patrzył, jak podnosi go jeden z żołnierzy, unosi w górę i przygląda się badawczo.

- NIE! – wykrzyknął Thor, patrząc jak pierścień, który zachował dla Gwendolyn, znika w chciwej łapie imperialnego żołnierza. Miał charakterystyczną twarz – garbatego nos, wyłupiaste oczy i biegnącą przez podbródek bliznę. Wsunął pierścień na najmniejszy palec i uniósł go w górę, zanosząc się śmiechem, po czym zniknął w tłumie.

Żołnierze zdjęli mu koszulę, a następnie buty i posypały się na niego kolejne ciosy. Jednakże Thor mógł myśleć wyłącznie o pierścieniu matki, znikającym w dłoni tego głupca i serce mu pękło.

Jak los mógł być tak okrutny? Zastanawiał się Thor. Jak jego matka może pozwalać, by to się działo? Czy nie może w jakiś sposób interweniować?

- Matko! – zawołał Thor, pragnąc, by była tu, by mu pomogła.

Z góry dobiegł go głęboki, złowieszczy śmiech. Podniósł wzrok i ujrzał stojącego nad nim Andronicusa.

- Twa matka ci teraz nie pomoże, chłopcze – powiedział Andronicus, patrząc na niego gniewnie.

Skinął głową, a wtedy podszedł do nich kolejny mężczyzna z grubym, szorstkim sznurem w dłoni. Dwóch żołnierzy zabrało się do roboty, okręcając go wokół kostek Thora. Wżynał mu się w skórę i w chwili, w której Thor zastanawiał się, co takiego robią, usłyszał nagle trzask bicia, rzenie konia i poczuł, że coś ciągnie go w tył.

Ciało Thora przeciągano po zamrożonej zimowej ziemi, po pyle i drobnych kamieniach; ziemia ocierała nagą skórę na jego plecach, a żołnierze Imperium sztychali z niego. Koń przyspieszył i przeciągano go, zataczając koła po całym obozie.

Jego ciało pokryte było siniakami, wycieńczone, pozbawione sił. Thor zaczynał tracić przytomność. Próbował to wszystko odegnać, wyobrazić sobie, że jest gdzie indziej, gdziekolwiek, byle nie tu.

Sam już nie wiedział, jak długo ciągną go przez obóz, aż w końcu zatrzymali się, i unoszące się wokół niego tumany kurzu opadły. Leżał tak, z twarzą przy ziemi, jęcząc. Jedno jego oko spuchnięte było tak, że nic nie widział. Z ogromnym wysiłkiem otworzył zdrowe oko i ujrzał, że, jak na ironię, od Miecza Przeznaczenia dzieli go ledwie kilka stóp. Z pewnością pozostawiono go w tym miejscu po to, by o nim nie zapomniał. Miecz tkwił tam, gdzie go pozostawił, zatopiony w ogromnym głazie.

- Oto broń, która była udęką Imperium od stuleci – rzucił Andronicus w tłum zastygłych w miejscu żołnierzy. – Thor może być Wybrańcem – albo Wybrańcem może być któryś z nas. Któż orzekł, że jedynie MacGil, jedynie mieszkaniec Kręgu, może go podnieść? Któż rzekł, iż to nie mit, który stworzyli, by utrzymać nas z dala od niego?

W tłumie rozległy się okrzyki aprobaty.

- Ktokolwiek podniesie ten miecz – wrzasnął Andronicus. – Ktokolwiek wyciągnie go z tego głazu, zostanie mianowany generałem. Kto ośmieli się i podejmie próbę?

Rozległy się wiwaty, a zaraz po nich mężczyźni rzucili się, by spróbować swych sił. Jeden za drugim spieszyli naprzód, chwyтали rękojeść Miecza i szarpali co sił w rękach, rozpaczliwie próbując wyciągnąć go z głazu. Thor nie mógł znieść widoku

Miecza Przeznaczenia w dłoniach tych głupców. Nie wiedział, co zrobiłby, gdyby okazało się, że któryś z nich potrafi go podnieść. Oznaczałoby to, że legenda nie była prawdziwa i że on, Thor, wcale nie jest jednak nikim wyjątkowym.

Lecz mężczyźni, przepychając się i torując sobie drogę, po kolei podejmowali próbę i każdy z nich ponosił porażkę, jeden za drugim. Niektórzy próbowali dwu i trzykrotnie.

Lecz żadnemu z nich się nie powiodło.

W końcu Andronicus sam podszedł do Miecza, a tłum rozstał się na boki. Przyklęknął przed nim, następnie wstał, zaplótł swe ogromne dłonie na jego rękojeści i z donośnym krzykiem szarpnął z całych sił. Thor zaniepokoił się przez chwilę. Andronicus był wszak jego ojcem i MacGilem. Czy to pozwoli mu wyciągnąć Miecz?

Jednak choć krzyk Andronicusa wzbijał się coraz wyżej pod nieboskłon, w końcu padł, nie poruszywszy Miecza.

Thora ogarnęła niewypowiedziana ulga, gdy zdał sobie sprawę, iż żaden z żołnierzy Imperium, nawet jego ojciec, nie zdołał go poruszyć. Poczul się przez to także wyjątkowy.

Andronicus spojrzał gniewnie na broń i Thor widział, jak jego twarz purpurowieje z gniewu.

- Przynieście mi młot! – rozkazał. – NATYCHMIAST!

Kilku mężczyzn podbiegło do niego z dwuręcznym młotem bitewnym. Andronicus wyrwał go im z rąk, uniósł wysoko nad głowę i z krzykiem opuścił na kamień.

Jednak mimo jego wysiłku głaz ani drgnął. Nawet się nie wyszczerbił. Andronicus uderzał raz za razem, a każda próba przynosiła taki sam rezultat: było to jak uderzanie w stal.

W końcu z donośnym pomrukiem niezadowolenia Andronicus obrócił się i zamachnął młotem na boki, a ten wbił się w głowy dwóch żołnierzy i zabił ich na miejscu. Następnie

Andronicus ponownie się zamachnął i cisnął nim w tłum, zabijając kolejnego żołnierza.

- Jeśli ja ani żaden z moich ludzi nie możemy władać Mieczem – zawołał Andronicus. – Nie jest nam potrzebny. Będąc tu, w Kręgu, jedynie nam szkodzi. Utrzymuje Tarczę w górze i nie pozwala naszym ludziom przybyć nam pomóc. Rozkazuję natychmiast usunąć Miecz z Kręgu, przenieść go na powrót za Kanion i zniszczyć na dobre. Chcę, by tuzin mężczyzn uniósł ten głaz na ramionach i przeniósł go za Kanion, na nasze okręty. NATYCHMIAST! – wykrzyknął.

Tuzin mężczyzn ruszył w stronę głazu. Próbowali wspólnie go podnieść, lecz głaz ledwie się poruszył.

Dołączyło do nich więcej żołnierzy, aż w końcu dwa tuziny mężczyzn zdołały unieść głaz wysoko. Oparli go na swych ramionach i odmaszerowali, zabierając głaz z dala od Thora.

Thor był zdruzgotany.

- NIE! – krzyknął.

Czuł, jak gdyby wraz z mieczem zabierali część niego.

Patrząc, jak Miecz znika z jego oczu, zrobił wszystko, co w jego mocy, by się wyrwać. Lecz nie udało mu się to. Akdonowe kajdany na nadgarstkach skutecznie mu to uniemożliwiały.

Andronicus odwrócił się do Thora i stanął nad nim.

- Nie istnieje taka broń, którą ty mógłbyś władać, a ja nie – stwierdził Andronicus.

Thor zdał sobie sprawę, że jego ojca drażni to, że on, Thor, był w stanie władać bronią, którą jego ojciec władać nie potrafił.

- Jestem silniejszy niż ty, ojcze – rzekł Thor. – Dlatego odczuwasz przede mną strach.

Andronicus ryknął, podszedł do Thora i kopnął go tak mocno w brzuch, że Thor poczuł, jak pęka mu jedno z żeber. Thor odwrócił się, kasłając, i leżał na ziemi, próbując złapać

powietrze.

- McCloud! – wrzasnął Andronicus.

Thor podniósł wzrok i ujrzał poprzedniego króla McClouda, bez oka, z ogromną wypaloną blizną z jednej strony jego oszpeconej twarzy, gdzie oznakowano go godłem Imperium. Wyglądał jak potwór.

- Sądzę, że nadszedł czas, by nauczyć naszego młodego Thorgrina, jakie to uczucie zostać oznakowanym. Być może powinniśmy oznakować jego twarz, podobnie jak zrobiłem z twoją.

Serce Thora zabiło szybciej na te słowa. Otwarte szeroko oczy McClouda błysnęły zadowoleniem.

- Zrobię to z niekłamaną przyjemnością, mój panie – rzekł McCloud.

McCloud odwrócił się, chwycił podany mu przez sługę rozgrzany pogrzebacz i przyjrzał się jego końcówce, na której widniało ogromne kwadratowe godło Imperium, rozgrzane do białości.

- NIE! – krzyknął Thor, gdy McCloud zwrócił pogrzebacz w jego stronę i zaczął się do niego zbliżać. Thor wiedział, że za chwilę jego twarz zostanie oszpecona, dokładnie tak jak McClouda, oznakowana godłem Andronicusa. Ta myśl rozdzierała go na dwoje; nie był w stanie wyobrazić sobie nic gorszego.

McCloud śmiał się złośliwie z uciechy, zbliżając pogrzebacz ku odsłoniętej twarzy Thora.

Thor usłyszał pisk gdzieś wysoko w górze. Uniósł głowę i ujrzał Estopheles; zanurkowała, wyciągając swe szpony, a McCloud podniósł wzrok – lecz zbyt późno. Estopheles zatopiła szpony w jego twarzy, ryjąc głębokie rany na jego nosie, czole, policzkach i ustach. McCloud wrzasnął, upuszczając żelazo, które

spadło na jego stopę i sparzyło go, i z jego ust dobył się kolejny krzyk. Jego podrapana, zniekształcona twarz broczyła krwią, i w końcu odwrócił się i uciekł, a Estopheles poleciała za nim.

Andronicus postąpił naprzód i podniósł żelazo. Trzymał je nad Thorem, uśmiechając się szyderczo.

- To twoja ostatnia szansa – rzekł Andronicus. – Przestań mi się przeciwstawiać i przyjmij mą propozycję. Zgódź się. Połowa Imperium będzie twoja. Jestem jedynym prawdziwym ojcem, jakiego masz na tym świecie. Zgódź się, a odnajdziesz ukojenie.

Thor zebrał w sobie wystarczająco dużo siły, by unieść głowę i splunąć na Andronicusa.

- Wolałbym zginąć, będąc bękartem, niż żyć jako twój syn.

Andronicus skrzywił się i z pomrukiem najwyższej wściekłości i rozczarowania opuścił żelazo.

Thor odwrócił się i w ostatniej chwili pogrzebacz ominął jego twarz i miast tego zatopił się w jego ramieniu. Thor krzyknął, gdy rozżarzone żelazo zatopiło się w jego ciele i doświadczył najgorszego bólu swego życia. Piekące żelazo wżerało się w jego ciało, pozostawiając na nim godło Imperium. Dym unosił się z jego ramienia i wypełnił jego nozdrza okropnym swądem palonego ciała. Thor krzyczał tak długo, aż zabrakło mu sił.

W końcu Andronicus cofnął pogrzebacz. Thor leżał słaby, bezwładny, ledwie mogąc złapać oddech. Czuł, że dłużej już tego nie zniesie.

- Wrzucicie go do dołu – rozkazał Andronicus.

Proszę, Boże, pozwól mi umrzeć, pomyślał Thor, na przemian tracąc i odzyskując przytomność.

Thor poczuł, jak ktoś ciągnie za sznur, którym skrepowane były jego kostki, przeciąga znów po obozie. W oddali ujrzął okrągły czarny dół i poczuł, jak zostaje do niego wrzucony i spada, znikając w ciemności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

W Silesii panowało poruszenie. Reece szybkim krokiem przemierzał dziedziniec z Eldenem, O'Connorem i Convenem u boku. Mieszali się z innymi, spiesząc z Galerii Broni ku trzonowi armii na placu miasta. Wokół nich zbroili się tysiące rycerzy, rozdzielając się na cztery oddziały. Jednym dowodził Kendrick, innym Erec, kolejnym Tirus, a ostatnim Godfrey. Reece, Conven, O'Connor i Elden trzymali się razem, jak zawsze, i dołączyło do nich dwóch członków Legionu – Serna i Krog – wraz z Indrą, która pozostała u boku Eldena. Zdecydowali dołączyć do oddziału Kendricka. Reece chciał być blisko swego najstarszego brata, gdy rozpocznie się bitwa.

Po tylu miesiącach spędzonych na samotnych potyczkach z wrogiem w Imperium, gdy mogli polegać jedynie na swej niewielkiej grupie, dobrze było mieć wsparcie tak wielkiej armii i walczyć w domu, w Kręgu. Nawet gdyby ich szanse były mniejsze, Reece i tak czułby się bezpieczniej niż kiedykolwiek. Czuł także większą motywację. Był zdruzgotany na wieść o pojmaniu jego najbliższego przyjaciela i nie miał żadnych wątpliwości co do tego, czy powinien ruszyć na bitwę, bez względu na to, jakie mieli szanse. Z chęcią oddałby życie za Thora. Wiedział, że wróg ma nad nimi znaczną przewagę liczebną, lecz odnosił wrażenie, iż zawsze tak było, odkąd tylko zaciągnął się do Legionu. Bitwa nie była prostą sprawą. Podobnie jak chwała. Lecz to właśnie wśród tych szans rodziła się chwała.

Im bliżej głównych bram Silesii się znajdowali, tym tłum był gęstszy. Zaczęli się wylewać na zewnątrz, pod strzelistymi

łukami, a setki mieszkańców Silesii stały tam, machając flagami, dodając im otuchy.

- Powróćcie do nas!
- Ocalcie Krąg!
- Zabijcie Andronicusa!
- Uwolnijcie Thorgrina!
- Silesia będzie czekać na wasz powrót.

Ci mieszkańcy byli dzielni: dodawali otuchy żołnierzom, wiedząc że wraz z ich odjazdem pozostaną bez ochrony, że Silesia na powrót odłoni się na atak.

Reece, odziany w zbroję kolczą, gotował się, czując w dołku nerwowe oczekiwanie i podniecenie przed bitwą. Sprawdzał i poprawiał umocowanie broni przy swym pasie – obejrzał swój długi miecz, upewnił się, że jego sztylety są na miejscu, dotknął dłonią trzonka kiścienia. Więcej broni miał na koniu, z przodu, i czuł, że jest przygotowany na każdą ewentualność.

- Zamierzałeś zatem wyruszyć, nie pożegnawszy się? – dobiegł go głos.

Reece odwrócił się i w tłumie, ledwie kilka stóp od siebie, ujrzał Selese. Wpatrywała się w niego ze smutkiem.

Odłączył się od kompanów i podszedł do niej ze spuszczoną głową, zawstydzony. Nie wiedział, co jej rzec. Czuł się źle, że ją opuszcza, zwłaszcza po tym, gdy tak bardzo się do siebie zbliżyli w ciągu ostatnich dwóch dni i nocy. Reece zaczynał pałać do niej głębszym uczuciem. Nie wiedział, co o tym myśleć. Byli nierozłączni, odpoczywali przy ogniskach, bawili się na ucztach i świętowali. Pragnął, by tak było już zawsze.

Lecz jego życie zmieniło się drastycznie raz jeszcze, i znów znalazł się na drodze ku bitwie. Raz jeszcze opuszczał Selese i miał nadzieję, że niebawem ją ujrzy. Wcześniej jej miłość była fantazją; teraz jednak stała się rzeczywistością i przez to jeszcze

bardziej bolało go to, że musiał się z nią rozstać.

- Wybacz – rzekł do niej. – Nie wiem, co powiedzieć. Ani czy powrócę.

Spojrzała mu w oczy.

- Wystarczyłoby, byś powiedział, że ci na mnie zależy.

Reece odwzajemnił spojrzenie.

- Bardziej, niż jestem w stanie wyrazić, moja pani.

Uśmiechnęła się do niego, a cała jej usiana piegami twarz rozjaśniła się.

- Jeśli powrócę – dodał Reece. – Pobierzemy się.

Otworzyła oczy szeroko, zaskoczona.

- *Kiedy* powrócisz – rzekła, wyciągając dłoń i poprawiając jego napierśnik, przesuwając po nim dłonią. Ujrzał, że po policzku spływa jej łza.

- Nie masz wyboru – rzekła. – Wróc do mnie. Nie pobraliśmy się, lecz jeśli zginiesz, zostanę wdową.

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, a Reece odwzajemnił spojrzenie i poczuł, jak cały jego świat staje w miejscu. Nie potrafił wyrazić, jak wiele znaczyło dla niego to, że ona dba o niego równie mocno, jak on o nią. Odczuwał przemożny smutek na myśl, że musi wyruszyć, gdy patrzył na jej twarz, wiedząc, że pozostanie tu sama, że nikt nie będzie jej chronił. Bardziej niż kiedykolwiek czuł, że tego dnia musi odnieść zwycięstwo i postanowił, że tak właśnie będzie.

Chwyciła jego napierśnik, nachyliła się i złożyła na jego ustach pocałunek, a on nie odsuwał się tak długo, jak mógł.

W końcu, trącany przez mężczyzn, odwrócił się i wtopił na powrót w tłum wojowników zmierzających za bramy. Odwrócił się i patrzył za nią, a ona za nim, tak długo, jak tylko mógł, aż w końcu zniknęła mu z oczu.

Reece spostrzegł, że nie on jeden żegna się z kimś, kogo

kocha: przed nim Kendrick szedł trzymając się za ręce z Sandarą i Reece patrzył, jak się żegnają. Sandara była wysoka, miała szerokie ramiona, nosiła się dumnie, a jej skóra miała ciemny odcień rasy Imperium. Reece spostrzegł, że dobrana z nich para.

Gdy podszedł bliżej, usłyszał ich rozmowę.

- Chciałbym, byś została tutaj, bezpiecznie za murami – rzekł Kendrick.

- Nie do tego przywykłam, mój panie – odparła. – Wyruszę z mężczyznami, jak robiłam całe me życie. Gdy ranni upadną, będę tam, by im pomóc. Podobnie jak byłam tam, by pomóc tobie. Tym się zajmuję. To moje zadanie.

- Będę ze swymi ludźmi, w pierwszych szeregach – rzekł Kendrick. – Nie będę w stanie cię chronić.

- Nie liczę na to – powiedziała. – Radziłam sobie sama przez całe życie.

Szli dalej w milczeniu. Kendrick odwrócił się, by dołączyć do swych ludzi. Sandara zatrzymała się i rzekła:

- Nie wiem, gdzie ponownie się odnajdziemy. Lecz przyrzeknij mi jedno.

Kendrick odwrócił się do niej.

- Nie znajdę cię wśród rannych.

Uśmiechnął się.

- Tego jednego nie mogę ci przyrzec.

Pocałowali się.

Gdy Reece dołączył do swych braci legionistów, natknął się na Eldena pogrążonego w podobnej rozmowie z Indrą, która stała dumnie u jego boku i odtrącała jego dłoń, gdy próbował ją schwycić w swoją. Była na to zbyt męska, zbyt wojownicza.

- Nie możesz walczyć z nami – mówił Elden. – To niebezpieczne.

- Jesteś kobietą – rzekł Krog. – Powinnaś wiedzieć, gdzie

twoje miejsce.

Odwróciła się i spojrzała na niego, a w jej oczach czaiła się śmierć.

- Jestem równie dobrym wojownikiem, jak ty – odparła wyzywająco. – Noszę broń równie dobrą, jak twoja, moje sztylety są równie prędkie, a strzały równie szybkie. Potrafię poderżnąć gardło równie dobrze, jak ty. Być może poderżnę twoje. Tak w zasadzie może to ty powinieneś tu zostać.

Krog wpatrywał się w nią, czerwony na twarzy.

Indra odwróciła się znów do Eldena.

- Będę walczyć u twego boku, albo już nigdy mnie nie zobaczysz. Decyzja należy do ciebie.

Elden westchnął i w końcu wzruszył ramionami. Indra miała tak nieugiętą wolę, jak tylko można i nie dało się jej odwieść od tego, co postanowiła. Poza tym po czasie, który spędziła z nimi w Imperium, po wszystkich tych razach, gdy ocaliła im życie, stała się prawie członkiem Legionu. Wiedział, że Indra sobie poradzi i nie martwił się o nią.

Reece podszedł do Convena, który wyglądał równie posepnie, jak zawsze; nieźle wtapiał się w tłum i ponure twarze mężczyzn gotujących się do bitwy. Reece dostrzegł w jego oczach, że nie ma nic do stracenia, że gotów jest poświęcić swe życie i Reece poważnie zastanawiał się, czy Conven przeżyje tę bitwę. Wyczuwał, że Conven tego nie chce. Nie bez swego brata bliźniaka.

O'Connor oliwił swój nowy łuk, a na jego ustach błędził zawsze obecny uśmiech. Jak zawsze, był w radosnym nastroju. Czy był w Imperium, czy w Kręgu, O'Connor zdawał się czuć się jak w domu gdziekolwiek by się nie znalazł. Reece cieszył się, że będzie miał u boku tak pewną rękę, gdy ruszą do walki.

Serna i Krog szli niechętnie obok nich. Reece widział

niepokój w sposobie, w jaki się poruszali; nie odbyli takiej wyprawy, jak oni w Kręgu, nie przeszli takich udręk jak oni. Reece dostrzegał w nich niepokój, taki, jaki sam niegdyś odczuwał. Poczł się przez to jak zaprawiony w boju wojownik.

Niedaleko dostrzegł Godfreya, swego starszego brata, i w jego sercu wezbrała duma, że widzi go w zbroi, nawet jeśli zdawała się niezupełnie na niego pasować. Godfrey kroczył zawadiacko, mając po bokach Akortha i Fultona i przewodząc kilku setkom ludzi. Reece zastanawiał się, czy byli pijani; Akorth i Fulton z pewnością, co wnioskował z ich chodu. Widok Godfrey'a jako dowódcy był zabawny: z jednej strony niezupełnie to do niego pasowało, lecz zarazem w jakiś sposób pasowało. Reece pomyślał, że dostrzega w nim coś z ich ojca. Może i Godfrey nie był wojownikiem, lecz potrafił przetrwać, i był sprytny. Reece miał wrażenie, że Godfrey byłby w stanie przechytryć każdego. I przeczuwał, że bez względu na wszystko znajdzie sposób, by przeżyć, nawet jeśli po swojemu.

Dotarli w końcu do koni i w rozległym morzu zwierząt Reece odnalazł swojego.

Reece zatrzymał się, gotując się, by dosiąć swego wierzchowca, gdy kątem oka dostrzegł coś, co przyciągnęło jego uwagę. Była to twarz, wpatrująca się w niego w morzu gapiów. Spojrzał drugi raz, bo zdawało mu się, że wyobraźnia płata mu figle.

Gdy przyjrzał się uważniej, serce na chwilę mu zamarło. W tłumie ludzi stała dziewczyna, której twarz wyryta była w jego umyśle przez większą część dzieciństwa. Dziewczyna, od której nigdy nie odbiegał zbyt daleko myślami, przynajmniej do czasu, aż poznał Selese. Stała tam jego kuzynka, jedyna córka Tirusa.

Stara.

Wpatrywała się w niego swymi błyszczącymi zielonymi

oczyma, które utkwione były wyraźnie w jego, nawet w tym tłumie ludzi. Była zbyt daleko, by się do niej odezwać i wkrótce zniknęła między rojącymi się żołnierzami, lecz po chwili znów ją ujrział. Wyglądała jak unosząca się w morzu zjawia.

Jej widok wywołał w nim ból. Dlaczego musiała się tu zjawić? Dlaczego teraz? Po tym, jak zakochał się już w innej? Wiele lat zajęło mu zapomnienie jej. Lecz jej widok sprawił, że wszystko do niego wróciło, i rana zaogniła się na nowo.

Reece zmusił się, by się odwrócić i spojrzeć gdzie indziej. Kochał teraz Selese; nie byłoby to uczciwe wobec niej, gdyby patrzył na inną.

Gdy dosiadł konia, wbrew sobie odwrócił się i rozejrzał za Starą. Ogarnęła go zarazem ulga i smutek, gdy ujrział, że zniknęła.

Rozległ się dźwięk rogu i ich oczom ukazał się posłaniec pędzący co koń wyskoczy, zmierzający prosto ku Kendrickowi. Reece i pozostali zebrali się wokół niego, przysłuchując się.

- Panie – rzekł posłaniec, z trudem łapiąc oddech. – Przynoszę wieści... Miecz Przeznaczenia – Andronicus go odesłał.

Wśród mężczyzn rozległ się stłumiony okrzyk przerażenia. Posłaniec stał przed nimi, dysząc ciężko, próbując złapać oddech.

- Mów jaśniej – rozkazał Kendrick. – Cóż to znaczy „odesłał”?

- Przenoszą go na drugą stronę Kanionu. Jeśli go przekroczą, Tarcza opadnie. Stracimy wszystko!

- Musimy natychmiast go odzyskać – zawołał Tirus.

- W istocie, tym musimy się zająć najpierw – rzekł Erec.

- Ale nie możemy odbierać sobie ludzi – powiedział Kendrick.

- Wystarczy niewielka grupa, by odzyskać Miecz – rzekł Godfrey. – Nie cały oddział.

- Ja pójdę – zgłosił się Reece, wychodząc naprzód.

Elden, Conven i O'Connor natychmiast wystąpili naprzód i stanęli u jego boku.

- I my – rzekli.

- Wszak to my – dodał Reece. – Szukaliśmy Miecza na połowie ziem Imperium. Jeśli ktoś ma wiedzieć, jak go odzyskać, to my.

- Pozwólcie naszej niewielkiej grupie wyruszyć – rzekł Elden. – W ten sposób nie zabraknie wam ludzi do głównej bitwy, by ratować Thora.

Kendrick spojrział na Reece'a z nowym szacunkiem. Skinął głową z powagą.

- Przynosisz chlubę naszemu ojcu – rzekł Kendrick.

Reece poczuł, że przepełnia go duma. Uradowało go to, iż tak urósł w oczach Kendricka.

- Spotkamy się ponownie, bracie – powiedział Reece.

- Wiem, że tak będzie – odparł Kendrick.

Reece i pozostali legionieści bez słowa dosiedli swych rumaków i ruszyli jako pierwsi, podążając za posłańcem, który prowadził ich inną drogą, biegnącym na bok rozwidleniem, z dal od tej, którą miała obrać armia.

Reece czuł wiatr smagający jego włosy, szybko uciekającą pod nim ziemię i wiedział, że bitwa już się rozpoczęła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Thor leżał w głębokim, ciemnym dole. W nozdrza gryzł go zapach ziemi i bolało go całe ciało. Gdzieś w górze słyszał stłumione krzyki żołnierzy. Zdołał unieść powiekę zdrowego oka – drugie opuchnięte było tak, że nic nie widział – na przemian tracąc przytomność i ja odzyskując. Tu, w dole, było zimno i ciemno. Był co najmniej tuzin stóp pod powierzchnią i światło, które się tu przedzierało, choć nie było silne, zmuszało go do mrużenia powiek. Spróbował się poruszyć, ale każda część jego ciała była zbyt obolała i otarta. Aż do tej chwili nie wiedział, co to prawdziwy ból. Czuł, jak gdyby stał się z milionem mężczyzn.

Spróbował poruszyć nadgarstkami, lecz poczuł, iż nadal są skute akdonowymi kajdanami; cała siła, jaką kiedyś dysponował, ulatywała z niego. Czuł, jak opuszcza go energia, dokładnie w miejscu, w którym kajdany unieruchamiały jego ręce. Coś było w tym metalu – nigdy w życiu nie czuł się tak słaby, tak bezbronny.

Patrząc w górę przez zmrużone powieki, jak przez mgłę zobaczył stojących tam żołnierzy, drwiących z niego, strącających nań grudki ziemi. Przymknął oczy i opuścił głowę, nie będąc w stanie zebrać sił.

Thor zamknął oczy i spostrzegł, że jest w jakiejś odległej krainie. Znalazł się na powrót w Imperium, w Krainie Smoków, i stał na najwyższym szczycie. Na wierzchołku naprzeciw niego siedziała Mycoples. Spojrzała na niego i uderzyła swymi ogromnymi skrzydłami, następnie wzbiła się ze szczytu i leciała w jego kierunku. Thor potrafił odczytać jej myśli i czuł, że smoczyca leci mu na ratunek.

Podleciała bliżej, a gdy przelatowała obok niego, wyciągnął do niej rękę.

Lecz wtedy dostrzegł, że jego ręce zakute są w akdonowe kajdany i nie potrafił zebrać w sobie tyle siły, by jej dosięgnąć.

Nagle na Mycoples opadła ogromna sieć, oplątując ją, i smoczyca spadła, obracając się w powietrzu i piszcząc. Wołała do niego, potrzebując jego pomocy w równym stopniu, jak on potrzebował jej.

Thor mrugnął i znalazł się na rozległej pustyni, spieczonej w słońcu. Spojrzał pod nogi i ujrzał, że ziemia pokryta jest tysiącami węży. Przed nim biegła nieskończenie długa ścieżka, która wiła się między gadami. Instynkt podpowiadał mu, że musi się jej trzymać, jeśli chce przeżyć. Ścieżka usypana była z twardych smoczyczych kości.

Thor ruszył ścieżką, zapuszczając się coraz głębiej w pustynię, czując, jak gdyby zmierzał na koniec świata. Na horyzoncie ukazała się kamienna chata, a gdy podszedł bliżej i podniósł wzrok, ze zdumieniem ujrzał twarz Argona.

- Argonie, pomóż mi – wyszeptał Thor, z trudem chwytając powietrze, wyciągając do niego skute kajdanami ręce.

Lecz Argon stał za murem ochronnym, za niewidzialną tarczą i Thor nie mógł się do niego zbliżyć. Argon wpatrywał się w niego z drugiej strony, oparłszy dłoń na lasce, z troską wypisaną na twarzy.

- Jakżebym pragnął być w stanie to zrobić – odparł Argon. – Lecz nikomu nie jestem w stanie przyjść teraz z pomocą.

- Naucz mnie – rzekł Thor. – Naucz mnie być wolnym.

Argon pokręcił głową.

- Ja już cię przeszkoliłem – powiedział. – Te moce, które ci pozostały, tkwią w tobie. Teraz sam musisz się przeszkolić.

Oczy Argona rozbłysnęły, zapłonęły tak mocno, że Thor

niemal musiał odwrócić wzrok.

- Sięgnij w głąb siebie, Thorgrinie. To tam leży ostateczna granica. Musisz dowiedzieć się, kim jesteś. Nie kim jest twój ojciec, kim jest twa matka. Kim ty jesteś.

Thor wyciągnął do niego dłonie, próbując się do niego dostać, lecz poczuł, że leci w tył.

Thor leżał twarzą do ziemi na długiej, wąskiej kładce, rozpiętej nad rozległym Kanionem. Kładka ciągnęła się w powietrzu przez mile, a on leżał pośrodku niej. Wznosiła się łukiem i prowadziła do urwiska, na którego szczycie leżał błyszczący, błękitny zamek. Thor przewrócił się na bok, spojrzał w jedną stronę i ujrzał Miecz Przeznaczenia. Sięgnął do niego i chwycił za rękojeść. Uniósł go wysoko i z przerażeniem ujrzał, że Miecz został przepołowiony. Przyjrzał się mu, ledwie to pojmując.

Był teraz tylko bezużytecznym kawałkiem metalu.

Thor odwrócił się i cisnął Mieczem, który poleciał za krawędź. Patrzył jak przecina powietrze i spada w nicość.

- Thorgrinie – dobiegł go jakiś kobiecy głos.

Thor podniósł wzrok. W oddali, na szczycie zamku stała jego matka, rozpostarłszy szeroko ręce, i uśmiechała się do niego ze współczuciem.

- Matko! – zawołał Thor.

- Jestem tutaj, mój synu – odrzekła głosem pełnym miłości.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? – rzekł Thor. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, kim jest mój ojciec?

Pokręciła głową.

- To nie ma teraz żadnego znaczenia, Thorgrinie – rzekła. – Chodź do domu. Chodź do domu, do mnie. Chodź i zyskaj moce większe niż wszystko, co widziałeś. Poznaj tajemnicę swego pochodzenia. Jedynie wtedy będziesz wolny. Jedynie wtedy

pokonasz swego ojca.

Z najwyższym wysiłkiem Thor podniósł się na kolana i dłonie i zaczął posuwać się po kładce w kierunku matki. Lecz kładka była niezwykle długa, a ona zdawała się znajdować w innym świecie, oddalając się od niego, im dłużej do niej szedł.

- Matko! – krzyknął.

Nagle kładka zerwała się, a Thor zaczął spadać, obracając się w powietrzu i krzycząc, w otchłań ziemi.

Obudził się z krzykiem.

Tkwiał nadal w ciemnym dole, jego twarz nadal była opuchnięta, nie widział na jedno oko, a ramię wciąż paliło go w miejscu, w którym go oznakowano. Zastanawiał się, jak długo spał; z bólu pulsującego w jego twarzy i ciele domyślił się, że zbyt krótko.

Spojrzał w górę i ujrzał żołnierzy Imperium, wciąż szydzących z niego. Nic się nie zmieniło.

Był zawiedziony. Myślał, że umarł i w głębi duszy chciał, by tak się stało. Gdy spojrzał na tych wszystkich mężczyzn, ogarnęło go złe przeczucie, że największe cierpienie dopiero przed nim.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Gwendolyn szła zarośniętym leśnym szlakiem. Towarzyszyli jej Steffen, Aberthol i Alistair – i, co oczywiste, Krohn, który nie odstępował jej na krok, niemal przywierając do jej nogi. Czuła, jak jego sierść ociera się o nią. Była to przedziwna grupa – ich czworo i pantera: królowa Gwendolyn, garbus Steffen, uczony Aberthol i druid Alistair. Dwie piękne, młode kobiety, jeden starzec, jeden garbus. Gdyby spojrzeć na nich z daleka, musieliby się zdawać jedynie bezbronną grupą podróżnych, którzy obrali tę drogę na odludziu, tak bardzo wysuniętą na północ, w okrytym złą sławą Lesie Drzew Ciernistych. Lecz pozory były zwodnicze: Steffen zręcznie posługiwał się łukiem, Gwendolyn, wychowana przy straży królewskiej, była pewna swych umiejętności w walce i choć Aberthol był słabowity, przeczuwała, że Alistair nosi w sobie moce co najmniej równe zdolnościom Steffena.

Gwen przyjrzała się pięknej, gęstej kniei dokoła, drzewom o pradawnej białej korze. Zimowy las, mawiali o nim. W północnych częściach Kręgu było ich zatrzesienie. Drzewa wypuszczały tu liście zimą, gubiły je latem i zaczynały kwitnąć jesienią. Teraz, zimą, były w pełnym rozkwicie i wszędzie roiło się od ogromnych, białych liści, pokrytych szronem. Las wyglądał jak cudowna, biała kraina. Szron na liściach trzeszczał pod ich stopami. Z każdym krokiem Gwendolyn czuła, że chłód przybiera na sile, że staje się bardziej przenikliwy. To miejsca zdawało się tak czyste, tak dziewicze, iż odnosiło się wrażenie, że nic złego nie mogłoby się tu zdarzyć; Gwen wiedziała jednak, że

między tymi drzewami czaili się jedni z najgorszych przestępców.

Gwen ulżyło, gdy Steffen, Aberthol i Alistair obstawali przy tym, by towarzyszyć jej w wyprawie do Nibyświata. Aberthol starał się ją od tego odwieść, przypominając jej, że żaden człowiek, który wkroczył do tego miejsca, nie wyszedł stamtąd żywy, lecz na nic się to nie zdało. Wiedziała, że trzeba to zrobić, że tego najbardziej potrzebuje Thor. Wyczuwała, że Thora – ani Mycoples – nigdy nie dałoby się pojmać inaczej niż przy użyciu magii i wiedziała, iż będą potrzebować równie silnej mocy, by ją zrównoważyć. W ten sposób przyczyniała się do zwycięstwa. To była jej linia walki.

Nadto Gwendolyn mocno tęskniła za Argonem i czuła się winna, że to z jej powodu odbywa karę. Chciała go sprowadzić z powrotem mimo wszystko. W swych snach wyczuwała, że potrzebował jej i zdecydowana była odnaleźć go, nawet jeśli musiała ryzykować swe życie. Wszak on zaryzykował swoje dla niej.

Gwendolyn spodziewała się, że Steffen będzie jej towarzyszył, lecz zaskoczył ją upór Alistair, by pójść z nimi. Odkąd poznała przyszłą małżonkę Ereca, czuła między nimi jakąś szczególną więź; polubiły się od razu, jak siostry. W pewien sposób była dla Gwendolyn siostrą, której nigdy nie miała, zważywszy na fakt, że Luandy nigdy nie było obok niej.

- Nibyświat to miejsce magicznych i uwięzionych dusz – rzekł Aberthol swym starczym, schrypniętym głosem. Jego laska stuknęła o oblodzone liście, gdy kontynuowali swą zdającą się nie mieć końca wędrówkę przez las. Mrok panował tam tak gęsty, że Gwen nie wiedziała już, czy to noc, czy dzień.

- Nie jest to miejsce odpowiednie dla damy – dodał. – A już z całą pewnością nie dla królowej.

Aberthol próbował odwieść ją od tego całą drogę, próbował

nakłonić ją do powrotu. Nie miała już ochoty go słuchać.

- Sądzę, że obrany przez nas sposób jest nierozważny, pani – ciągnął dalej. – Argon służył MacGilom przez pokolenia; być może nadszedł czas, by poświęcił się czemuś innemu. Niepojęte są zwyczaje czarnoksiężników. Tak czy inaczej, nie wiem, w jaki sposób miałabyś go uratować.

- Argon był zaufanym doradcą mego ojca – odparła Gwendolyn. – Był także dobrym i wiernym przyjacielem. Jeśli przeznaczone jest mu tu pozostać, ani bogowie, ani ja tego nie zmienimy. Lecz nie pozwolę mu marnieć tutaj, nie podjąwszy próby.

- Te drzewa pamiętają dawne czasy – perorował dalej. – Ten las widział stulecia bitew. Lecz nigdy nie wzniesiono tu miasta. Dlaczego?

Gwendolyn zauważyła, że im starszy się stawał, tym częściej Aberthol mówił do siebie, rozprawiał o starych opowieściach i naukach, nie zważając na to, czy ktoś go słuchał, czy nie. Starzejąc się, mówił coraz więcej i więcej i Gwen czasem zmuszona była go ignorować.

- Co zrozumiałe, ziemia nie mogła tego znieść – ciągnął dalej Aberthol. – Tym ziemiom w dziejach Kręgu przydawano opinię opuszczonego miejsca. To droga do Nibyświata, nic więcej. Nikt nie zamieszkuje tych okolic. Poza, rzecz jasna, nigdy-nie-siami i złodziejami nocy. To przystań wykolejeńców, nie pojmujecie tego? Nikt nie zapuszcza się w Las Drzew Ciernistych z porządną eskortą. A my weszliśmy tu jedynie we czworo – pokręcił głową. – To pewne, że coś nam się przytrafi. Gdybyś mnie usłuchała...

Aberthol mamrotał dalej, a Gwendolyn starała się go nie słuchać.

- On tak zawsze? – spytała z uśmiechem Alistair, zrównując

się z Gwendolyn. Wskazała głową Aberthola, który ciągnął dalej swą przemowę.

Gwendolyn uśmiechnęła się.

- Częściej niż kiedyś – rzekła.

Alistair uśmiechnęła się.

- Lękasz się Nibyświata? – Gwendolyn zadała pytanie, które najbardziej zaprzętało jej myśli.

Alistair kroczyła dalej u jej boku, milcząca, z kamiennym wyrazem twarzy, aż w końcu potrząsnęła głową.

- Muszę szczerze przyznać, że nie – odparła.

Zaintrygowało to Gwendolyn. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

- Dlaczego?

- Widziałam niektóre spośród najgorszych rzeczy, które istnieją na tym świecie – rzekła Alistair. – Wycierpiałam wystarczająco dużo, by wiedzieć, że strach to strata energii. Co ma nastąpić, to nastąpi. A co nie – nie.

Szły dalej i Gwendolyn wyczuwała, że Alistair chce jej powiedzieć coś jeszcze. Zdawała się Gwen niezwykle tajemnicza i chciała jej zadać wiele pytań. Kim była ta kobieta, ten druid, która niczego się nie bała?

Lecz Gwen nie chciała być wścibska. Uszanowała więc jej milczenie, czekając, aż będzie gotowa.

W końcu Alistair westchnęła.

- Zatrudniona byłam kiedyś w karczmie – rzekła Alistair. – Jednej nocy, gdy podawałam trunki, jeden z bawiących tam mężczyzn schwycił mnie za nadgarstek i gdy nikt nie patrzył, zaciągnął mnie do jednego z pokojów. Był silnym mężczyzną, miał uścisk wojownika, a ja nie byłam dość silna, by mu się oprzeć. Wołałam o pomoc, lecz albo nikt mnie nie słyszał, albo nikogo to nie obchodziło.

Alistair szła dalej, wpatrując się w przestrzeń, jak gdyby raz jeszcze wszystko przeżywała.

- Coś się zdarzyło – rzekła w końcu. – Nadal w pełni tego nie pojmuję. Wyciągnęłam rękę, by go od siebie odepchnąć, a z mej dłoni wystrzelił strumień energii. Uderzył go w pierś, posyłając na drugi koniec pokoju. Leżał tam, zastygły ze strachu i wpatrywał się we mnie ze zdumieniem. Nie zwlekałam: odwróciłam się i wyszłam.

Alistair westchnęła.

- Różnię się od innych. Nie wiem, w jaki sposób. Lecz tak jest. Nie odbieram tego świata tak, jak wy. Nie chciałam wyrządzić krzywdy temu mężczyźnie. Lecz nie mogłabym tego powstrzymać, choćbym próbowała.

Alistair imponowała Gwendolyn coraz bardziej za każdym razem, gdy z nią rozmawiała. Alistair była tak pokorna, miała tak łagodny głos; pomimo jej piękna Gwen była w stanie stwierdzić, że nosi w sobie wielką siłę. Gwen wyczuwała także, że łączy ich szczególny rodzaj więzi: poznała kogoś, kto cierpiał, podobnie jak ona, kogoś, kto rozumiał, jak to jest wpaść w otchłań i z niej powrócić.

Gwen nie chciała być wścibska, lecz nie potrafiła się powstrzymać; coś pchnęło ją, by zadać kolejne pytanie:

- Skąd pochodzisz? – spytała.

Nim Alistair zdołała odpowiedzieć, usłyszeli trzask łamanej gałązki gdzieś w lesie, a gdy się odwrócili, ujrzeli za sobą tuzin mężczyzn. Krohn zaczął warczeć – był to przerażający dźwięk – a sierść na jego grzbiecie najeżyła się. Stał przed nimi i postąpił kilka kroków naprzód.

Gwendolyn natychmiast przypomniała sobie zasadzkę, w którą wpadła w Lesie Południowym. Ci mężczyźni także byli złodziejami, było to oczywiste, patrząc na wyraz ich twarzy – lecz

wyglądali na groźniejszych. Od stóp do głów odziani byli w kolczugi, mieli nową broń, zdawali się niewrażliwi na chłód i byli dobrze przygotowani, ubrani w maskującą biel. W przeciwieństwie do tych z Lasu Południowego, nie wyglądali, jakby napady były dla nich pierwszozną. Sprawiali wrażenie profesjonalnych zabójców.

Gwen lękała się o Krohna, który warczał coraz głośniejsze, zwłaszcza gdy jeden z żołnierzy uniósł kuszę, mierząc w niego.

- Krohn, wracaj tu – rzekła Gwendolyn.

Lecz Krohn ani myślał usłuchać. Nieustraszenie skoczył w powietrze i z przeraźliwym warknięciem zatopił kły w gardle jednego ze złodziei, nim ten zdążył wystrzelić. Krzyczał, gdy Krohn przyciskał go do ziemi. Krohn szarpał na prawo i lewo i po chwili złodziej był martwy.

Nagle rozległ się świst wystrzelonego z kuszy bełtu, który przeciął powietrze, nim ktokolwiek zdążył zareagować.

- KROHN! – zawołała Gwen.

Krohn pisnął, gdy bełt zatopił się w jego boku, przewracając go na ziemię.

Złodzieje spodziewali się, że to wystarczy, lecz Krohn ich zaskoczył. Nie zamierzał dać za wygraną.

Podniósł się i rzucił, warcząc. Powalił kolejnego złodzieja, zabijając go nim drugi bełt przeciął powietrze i położył go na dobre.

- KROHN! – wykrzyknęła Gwen, ruszając w jego kierunku.

Przywódca złodziei postąpił naprzód i skierował miecz w stronę gardła Gwendolyn.

Zastygła w miejscu, podobnie jak pozostali.

- Rzeknę to tylko raz – rzekł przywódca złodziei głosem chrypliwym, pozbawionym ciepła. – Rozbierajcie się. Ściągajcie całe odzienie, wszystko, co macie. Następnie połóżcie się twarzą

do śniegu. Zabijemy was tak czy inaczej, lecz tym sposobem wasza śmierć będzie szybka i bezbolesna. Spróbujcie się opierać, a będzie długa i pełna katuszy.

- A cóż to za wybór? – spytał Aberthol. – Nie pojmuję, dlaczego mielibyśmy pozwalać wam nas zabić.

Przywódca dał krok do przodu i zdzielił Aberthola zewnętrzną stroną dłoni. Aberthol krzyknął i zatoczył się, przykładając dłoń do twarzy.

- Nie powtórzę – rzekł, podchodząc bliżej, w wyciągniętej dłoni trzymając nóż o zakrzywionym ostrzu. – Macie trzy sekundy, więc nie zwlekajcie z decyzją.

- Możesz od razu usłyszeć, jaką decyzję podjęliśmy, jeśli chcesz – rzekła Gwendolyn.

Gwen rzuciła Steffenowi szybkie spojrzenie, a on przystąpił do działania. Uniósł łuk w ułamku sekundy i w mgnieniu oka wypuścił trzy strzały, zabijając od razu trzech złodziei.

Gwen dobyła niewielkiego sztyletu, który skrywała za pasem, postąpiła naprzód i dźgnęła przywódcę bandy w szyję; otworzył oczy szeroko, zaskoczony, i złapał się za broczące krwią gardło, po czym osunął się martwy na ziemię.

Lecz to i tak dawało ledwie czterech zabitych, podczas gdy ośmiu złodziei rzuciło się na nich z wysoko uniesioną bronią. Gwen zrozumiała, że nie mogli już nic zrobić, by się bronić; było ich zbyt wielu i poruszali się zbyt szybko. Wiedziała, że zginą.

Gdy złodzieje byli ledwie kilka stóp od nich, Alistair wystąpiła naprzód, przed nich wszystkich, ze spokojem zamknęła oczy i uniosła dłoń.

Ośmiu rozpedzonych złodziei stanęło nagle w miejscu, jak gdyby uderzyli w niewidzialną ścianę. Wpadli na nią głowami i upuścili broń.

Wtedy z jej dłoni wystrzelił promień błękitnego światła,

który uderzył każdego z nich i posłał ich w powietrzu dziesiątki stóp dalej z nieprawdopodobną prędkością, aż każdy z nich uderzył w pień drzewa i padł na ziemię martwy.

Gwendolyn odwróciła się i spojrzała na Alistair ze zdumieniem, podobnie jak pozostali. Nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego.

Wtedy Alistair podeszła do Krohna i uklękła przy nim. Krohn kwilił i broczył krwią. Znajdował się na granicy śmierci. Alistair przyłożyła dłonie do jego rany.

Gwen przyglądała się, oszołomiona, jak z dłoni Alistair emanuje białe światło i rany Krohna goją się na jej oczach.

Po chwili Krohn stanął znów na nogi. Zamrugał kilka razy, odrobinę zdezorientowany. Następnie podszedł do Alistair i polizał ją. Gwen nie mogła w to uwierzyć: Alistair przywróciła Krohna do życia.

Gwen przyjrzała się uważnie Alistair, jej pięknym, jasnym włosom i błękitnym oczom, i do głowy przychodziło jej tylko jedno pytanie:

Jakie tajemnice skrywała Alistair?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Reece pędził galopem przez ziemie Kręgu. Po obu jego stronach mknęli O'Connor, Elden, Conven, Indra, Serna i Krog. Zmierzali na północ, w kierunku skradzionego Miecza. Reece czuł się dziwnie, wyruszając na wyprawę, w bitwę, bez Thora u boku. Postanowił odnaleźć swego najbliższego przyjaciela i uwolnić go; gdyby wybór należał do niego, jechałby teraz z główną armią prosto do obozu Andronicusa.

Reece wiedział jednak, że w pierwszej kolejności musiał służyć armii i Kręgowi, wiedział także, iż w tej chwili najlepiej się im przysłuży, odnajdując Miecz Przeznaczenia, nim zostanie wywieziony poza Krąg, nim przez niego opadnie Tarcza i wszyscy jego krajanie zostaną narażeni na śmierć. Wiedział też, że Thor chciałby, by właśnie tym się zajął.

Ich siedmioosobowa grupa pędziła co koń wyskoczy, mijając leżące wzdłuż drogi zwęglone trupy żołnierzy Imperium, którymi zajęła się Mycoples. Ziemie były opustoszałe, Krąg niszczyły ataki obu stron. Reece nie wiedział, gdzie dokładnie znajduje się teraz Miecz – żadne z nich tego nie wiedziało – lecz wiedział, że jest gdzieś po drugiej stronie Pogórza.

Wiele godzin wcześniej minęli szczyty Pogórza i wszyscy pognali w dół zbocza. Reece dziwnie czuł się tutaj, po stronie Kręgu McCloudów. Nigdy nie zapuścił się tak daleko na wschód. Całe życie spędził w Zachodnim Królestwie Kręgu, lecz słyszał historie o McCloudach i nie uśmiechało mu się zapuszczanie się tak daleko. W jego umyśle przekroczenie Pogórza było jak przekroczenie niewidzialnej bariery i w pewnym sensie już czuł

się, jak gdyby znalazł się za murem, zza którego nie można wrócić.

Napięcie w powietrzu wisiało tu gęste. Gdy dotarli na szczyt Pogórza, na widnokręgu dostrzegli półmilionową armię Andronicusa, rojącą się jak mrówki na ziemiach Kręgu. Zatrzymali się, wyczuwając powagę sytuacji. Mieli wrażenie, że wyruszyli w misję samobójczą.

Podążali drogą dalej na wschód, a gdy zbliżyli się do oddziałów, obrali odnogę drogi, która poprowadziła ich przez gęsty las. Wokół roilo się tyle oddziałów, że nie mogli się już dłużej trzymać głównych dróg. Teraz będą musieli zdać się na ostrożność, prędkość i przebiegłość.

- Musimy wiedzieć, dokąd dokładnie udali się z Mieczem – zawołał Reece do pozostałych.

- A jak mamy się tego dowiedzieć? – spytał Krog.

- Będziemy musieli przepytać jednego z żołnierzy – odparł Reece.

- Nie możemy przecież po prostu do niego podejść i go o to zapytać – rzekł Krog sceptycznie.

- Schwytamy go – odrzekł Reece.

- Nas siedmioro ma stawić czoła oddziałowi Imperium? – upierał się Krog.

Reece'a zaczynał niecierpliwie sceptycyzm Kroga i jego brak szacunku dla otrzymanego rozkazu.

- Nie musimy stawiać czoła całemu oddziałowi – wyjaśnił Reece. – Musimy jedynie zasadzić się na mniejszą grupę. Dlatego obraliśmy drogę przez las. Każda armia wysyła zwiadowców na obrzeża obozu.

Jechali dalej przez kilka minut w pełnej napięcia ciszy, posuwając się coraz głębiej w las, kiedy Reece dostrzegł jakiś ruch.

Uniósł dłoń, dając im znak, i wszyscy się zatrzymali. Siedzieli nieruchomo na swych wierzchowcach, czekając i obserwując drzewa.

Rozległ się stłumiony odgłos, następnie gałąź się zakołysała, po czym ich oczom ukazał się niewielki patrol żołnierzy Imperium. Było ich siedmiu – tylu, ile członków grupy Reece'a – i sądząc po ich wyglądzie, wszyscy byli zahartowanymi w boju wojownikami. Mieli na sobie czerń i złoto Imperium, przerażające hełmy i całkiem nowy, błyszczący oręż. Jechali na silnych rumakach i uważnie rozglądali się wśród drzew. Nie będzie to łatwa zasadzka. Nie mieli jednak wyboru. Jeśli tego nie zrobią, i tak ich spostrzegą. Reece był pewien swych sił; miał jedynie nadzieję, że Indra i dwaj nowi legionieści dotrzymają im kroku. W takiej chwili rozpaczliwie pragnął, by Thor był u jego boku.

- Na mój znak – wyszeptał do pozostałych. – Gotujcie swą broń.

Siedzieli na swych wierzchowcach, obserwując zbliżający się oddział. Reece poczuł, że jego koń porusza się niespokojnie i powściągnął mu wodze. Mimo zimna pociły mu się dłonie.

- A kto mianował ciebie dowódcą? – spytał Krog Reece'a.

Reece odwrócił się i spojrzał na przypatrującego mu się wyzywająco Kroga. Reece i jego przyjaciele tak długo walczyli ramię w ramię bez sprzeczek, że Reece nigdy nie spodziewał się, że może nastąpić wśród nich jakiś rozłam.

- Dowodzi nami Thor – poprawił go Reece. – Lecz nie ma go tu. Pod jego nieobecność ja obejmuję dowództwo. A teraz milcz albo odejdz! – warknął Reece, obawiając się, że odgłos ich rozmowy może ich zdradzić.

Lecz Krog nie chciał ustąpić.

- Jestem takim samym członkiem Legionu, jak ty – rzekł

Krog.

Reece zawrzał z gniewu. Krog ich zdradzi. Reece zamierzał zbliżyć się do niego i zdzielić go, by zamilkł.

Lecz było już za późno: dźwięk ich głosów zwrócił uwagę żołnierzy Imperium, którzy nagle spojrzeli w ich stronę.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, Conven wydał z siebie okrzyk bitewny, pogonił konia i rzucił się między drzewami. Z uniesionym wysoko mieczem jechał w sam środek patrolu. Był nieustraszony – albo jego życie było mu obojętne.

Reece szybko tracił panowanie, patrząc, jak jego plan rozsypuje się na jego oczach.

Conven, z uniesionym mieczem, wdarł się w grupę zaskoczonych żołnierzy, siekąc zaciekle. Udało mu się strącić kilku z nich z koni swymi zamaszystymi ciosami. Nie kłopotał się nawet, by unieść tarczę, gdy spadały na niego ciosy. Przemknął przez grupę tak szybko, że jakimś sposobem przeżył. Ostatni cios zrzucił go jednak z konia i Conven runął na ziemię z ogromnym brzękiem metalu, i przetoczył się.

Reece nie mógł już dłużej zwlekać.

- DO ATAKU! – wykrzyknął.

Zdyscyplinowany O'Connor czekał na rozkaz, po czym wypuścił dwie strzały z idealną precyzją, zabijając dwóch żołnierzy – tych, których Conven strącił z koni. Nie zdążyli nawet podnieść się z ziemi.

Zostało pięciu żołnierzy Imperium, z czego dwóch szło na odsłoniętego Convena.

Reece przypuścił szarżę, pędząc, by uratować życie Convenowi, i zamachnął się na jednego z żołnierzy. Ten jednak obrócił się, zablokował cios i zamachnął na Reece'a. Reece zablokował go tarczą i mocowali się tak w zacieklej walce, raz w tę, raz w drugą stronę.

W końcu jego ręka zaczęła się męczyć i wtedy Reece znalazł szczelinę, zamachnął się i uderzył żołnierza tarczą w bok głowy, strącając go z konia. Przypomniała mu się dawna lekcja Kolka: nie zawsze miecz wyrządza największe szkody.

Elden przypuścił szarżę i pchnął jednego z żołnierzy swą włócznią – lecz odsłonił przez to swój bok, i jeden z żołnierzy opuścił topór na jego ramię.

Indra rzuciła się naprzód, dobyła sztyletu i zatopiła go w gardle żołnierza. Wypuścił topór z bezwładnej dłoni, nim uderzył w Eldena.

Zostało zatem trzech żołnierzy Imperium. Serna i Krog rzucili się naprzód. Krog oddawał cios za cios jednemu z nich, a Serna zeskoczył z konia, powalił żołnierza na ziemię i mocował się z nim. Reece widział, jak walczył z nim wręcz, wprawnie uderzając go łokciami i pięściami. Był pod wrażeniem.

Krog natomiast uniósł miecz i miał go opuścić na żołnierza, lecz ten okazał się zręczniejszy. Uchylił się, obrócił i uderzeniem łokcia zrzucił Kroga z konia.

Krog leżał na plecach, dezorientowany, i patrzył, jak żołnierz Imperium opuszcza miecz na jego gardło.

Rozległ się zgrzyt metalu, gdy Indra skoczył naprzód i swym sztyletem zablokowała cios żołnierza. Następnie zamachnęła się i dźgnęła go w nogę. Ten upadł z krzykiem.

Indra spojrzała gniewnie na Kroga.

- Nadal masz coś przeciwko temu, by w waszej grupie znalazła się kobieta? – spytała wyzywająco.

Reece rozejrzał się i zobaczył, iż tylko jeden z żołnierzy żyje – ten, którego Indra raniła w nogę. Leżał na ziemi, jęcząc.

Reece pospieszył do niego, szarpnięciem ściągnął jego hełm i spojrzał na jego twarz. Wyglądał inaczej niż mężczyźni w Kręgu, miał ciemniejszą skórę i żółte oczy.

Reece chwycił go za gardło, patrząc na niego gniewnie.

- Dokąd zabrali Miecz? – spytał gorączkowo.

Żołnierz Imperium odrzekł coś w języku, którego nie znał.

Reece zwrócił się do Indry.

- Co on mówi? – spytał ją.

Indra zbliżyła się, uklękła przy nim i spojrzała w twarz żołnierza.

- Posługuje się językiem Imperium. Mówi, że nie zna twojego języka.

- Spytaj go – powiedział Reece.

Indra przemówiła do żołnierza w języku, którego Reece nie rozumiał.

Żołnierz spojrzał na nią i wymienili kilka zdań.

- Co mówi? – spytał w końcu Reece, niecierpliwiąc się.

Indra odchyliła się w tył i oparła dłonie na biodrach.

- Jego słowa nie mają sensu – rzekła. – Mówi coś o tym, że Miecz jest w głazie... że gład przewożą za morze... że przejdą przez most... ku okrętom.

Reece otworzył szeroko oczy.

- Wschodnie Przejście – rzekł. – Zatem to prawda. Przenoszą Miecz przez Wschodnie przejście Kanionu.

Reece wstał. Wiedział wszystko, czego potrzebował i gotów był ruszyć za Mieczem.

Lecz wtedy żołnierz zaskoczył go, wyciągając dłoń, chwytając jego kostkę i wykręcając ją. Nie spodziewał się tego. Reece krzyknął z bólu, a żołnierz wyciągnął ukryty za pasem sztylet i uniósł go, zamierzając się na łydkę Reece'a.

Conven pojawił się ze swą włócznią i nim ktokolwiek zdążył zareagować, zatopił ją w piersi żołnierza, przyszpilając go do ziemi.

Reece spojrzał na Convena i dostrzegł obłęd w jego oczach.

Był mu niewymownie wdzięczny za uratowanie mu życia, lecz zarazem martwił się o niego. Jeśli Conven nie przestanie wkrótce przeżywać śmierci brata – obawiał się Reece – nie pozostanie z nimi na długo.

Reece wstał, kostka wciąż pulsowała mu z bólu, i ruszył szybkim krokiem w kierunku Kroga, który wciąż leżał na ziemi i próbował się podnieść.

Reece zbliżył się do niego i postawił nogę na jego piersi, przyciskając go do ziemi.

- Zdradziłeś nas – rzekł Reece, gotując się ze złości. – Chcesz wracać do domu, wracaj teraz. Chcesz zostać z nami, będziesz wykonywał rozkazy. Sprzeciwisz mi się, a to *ciebie* zabiję. Rozumiesz?

Krog wpatrywał się w niego wyzywająco, lecz w końcu ustąpił i skinął głową. Reece odsunął nogę i dosiadł swego konia, podobnie jak pozostali. Krzyknął i pogonił wierzchowca kopniakiem. Wkrótce galopowali znów przez las. Pędzili co tchu: Wschodnie Przejście było daleko i jeśli mieli ocalić Miecz, nie było czasu do stracenia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Kendrick, jadąc na czele tysięcy ludzi, zatrzymał się na najwyższym szczycie Pogórza, a tysiące wierzchowców zatrzymały się za nim. Omiótł spojrzeniem pofałdowane doliny, wschodnią część Kręgu, ujrzał półmilionową armię Andronicusa rozciągniętą daleko jak okiem sięgnąć, połyskującą w słońcu i wiedział – jako wojownik – że ich szanse są znikome. Nie mieli jednak wyboru. Thor ich potrzebował, a Krąg potrzebował Thora. Gdy odbiją Thora, Mycoples i Miecz Przeznaczenia, znów będą mieli szansę. Jeśli nie, wszystko przepadnie. Co ważniejsze jednak, Kendrick czuł, że Thor jest dla niego jak brat i bez względu na to, jakie mieli szanse, honor Kendricka nie pozwalał mu pozostać biernym wobec jego pojmania.

Kendrick, Erec, Godfrey i Tirus – czterech dowódców, nieprawdopodobni kompani – zebrali się przed tłumem mężczyzn. Kendrick nie posiadał się z radości, będąc znów w bitwie wraz z Erekiem, czempionem Srebrnej Gwardii, najświetniejszym wojownikiem, jakiego kiedykolwiek znał Krąg; czuł, że z nim u boku wszystko jest możliwe.

Erec, urodzony przywódca, uniósł palec i wskazał na coś.

- Między miejscem, w którym stoimy, a obozem Andronicusa rozciągają się te dwie doliny – rzekł Erec. – W miejscu najbardziej wysuniętym na wschód zbiegają się wszystkie do wąskiego przejścia. W tak wąskim miejscu będziemy mieli przewagę. Przed nami biegną dwie drogi. Kendricku, ty i ja możemy poprowadzić większość przez sam środek, Godfreyu, dołączysz do nas, a ty, Tirusie, obejdiesz ich z

prawej strony. Podzielimy pierwsze szeregi ludzi Andronicusa. Wtedy będziemy mogli spotkać się po drugiej stronie dolin i zaatakować jak jedna armia, mierząc w najwęższy punkt wschodniego skrzydła. Jeśli natrzemy wszyscy naraz, będziemy mogli się tam wlać i wystarczająco wielu spośród nas będzie w stanie prześlizgnąć się między nimi, by znaleźć Thora.

Kendrick przytaknął.

- Zgadza się – rzekł Kendrick. – Naszym nadrzędnym celem jest szybkie uderzenie, nie angażowanie się w bitwę, i umożliwienie niewielkiej grupie posunięcie się naprzód, w głąb ich obozu.

- Zatem trwonimy czas na tę rozmowę – zawołał Tirus. Krzyknął i ponaglił konia, i rzucił się rozwidleniem na prawo, a jego ludzie z Wysp Górnych, wyróżniający się w swych szkarłatnych i błękitnych zbrojach, posłusznie podążyli za nim, deptając mu po piętach.

Kendrick i Erec także pogonili kopniakiem swe konie, obierając drogi przed nimi, które odbiegały na lewo. Ich żołnierze ruszyli za nimi z krzykiem.

Lecz Godfrey nadal siedział na swym koniu, przyglądając się temu wszystkiemu.

- Panie, czy nie ruszamy za nimi? – dobiegł go zaskoczony głos jednego z jego generałów, który siedział obok niego na niespokojnym wierzchowcu.

Godfrey siedział i obserwował horyzont bez ruchu, mając inne plany. Odwrócił się i skinął na Akortha i Fultona. Każdy z nich uniósł róg. Dęli w nie na przemian, były to krótkie, urywane dźwięki.

Po dziesięciu sekundach dźwięk ich rogów powtórzył się gdzieś z odległej doliny, na lewo, i odbił echem.

- Co to takiego, panie? - spytał skołowany generał.

Godfrey uśmiechnął się szeroko, zadowolony.

- Przekonasz się – odrzekł.

Kendrick i Erec mieli swoje siły, a Godfrey miał swoje. Być może i nie był tak świetnym wojownikiem, jak oni, lecz był sprytny. I poczynił własne plany.

Godfrey krzyknął i pogonił konia. Jego ludzie podążyli za nim, oddalając się od pozostałych oddziałów i pędząc w dół lewego zbocza góry.

Mężczyźni jechali za nim, ślepo mu zawierzając, i Godfrey modlił się, by jego plan się powiódł.

* * *

Erec uniósł wysoko miecz, i niemal wstał, galopując z zaciętym wyrazem twarzy, skupiony w pełni na bitwie. Przyspieszał coraz bardziej i zmniejszał odległość dzielącą ich od ludzi Imperium, którzy czekali na nich u podnóża doliny. Wspólnie z Kendrickiem dysponowali jakimiś pięcioma tysiącami ludzi. Byli to zatwardziali wojownicy, którym zawierzyłyby własne życie.

Lecz czekało na nich dwukrotnie więcej mężczyzn, a każdy z nich był zajadłym wojownikiem. Erec był jednak niewzruszony. Podobnie jak jadący u jego boku mężnie Kendrick, prowadzący swój oddział. Erecowi otuchy dodawała myśl, że Kendrick będzie walczył na śmierć i życie, na co i on był gotów.

Erec usłyszał pisk orła gdzieś wysoko nad głową, a gdy podniósł wzrok, ujrzał Estopheles zataczającą nad nimi koła. Uniósł miecz i odpowiedział krzykiem. Urodził się dla dni takich jak ten. Nie narodził się, by tylko przeżyć. Narodził się, by żyć. *By prawdziwie żyć.*

Erec gnał przed siebie, chcąc być pierwszym, który zetknie się z wrogiem, i opuścił swój srebrny miecz na żołnierza Imperium, przepoławiając jego miecz. Następnie w tym samym ruchu zamachnął się i ciał mężczyznę w plecy, aż spadł z konia głową w dół.

Żołnierz upadł na ziemię wśród ogromnego brzęku zbroi płytowej. Był pierwszą ofiarą tego dnia. Bitwa się rozpoczęła.

Erec siał zniszczenie większe niż inni, przedzierając się jak mknący wichur wśród powolnych mężczyzn. Odkąd Alistair go uzdrowił, czuł, iż przepełnia go większa niż kiedykolwiek energia, czuł również, że osiągnął szczyt swych umiejętności bitewnych. Atakował na lewo i prawo, cios za ciosem, i wycinał ścieżkę wśród żołnierzy Imperium, nie ustając ani na chwilę. Odebrał kilka ciosów, które w większości odbiły się od jego zbroi, nie uczyniwszy mu krzywdy, ledwie siniacząc bądź zadrapując go. On jednak zadawał śmiertelne ciosy, wycinając szerokie pasmo żołnierzy na prawo i lewo, siekąc z absolutną precyzją i poruszając się tak szybko, że żaden z nich nie był w stanie zareagować. Nie bez powodu był czempionem Srebrnej Gwardii – w walce nikt nie dorównywał mu szybkością. Gdy żołnierze Imperium unosili miecze, Erec już przekłuwał ich zbroje. Jego walka była ucztą dla oka i było oczywiste, że urodził się, by właśnie to robić.

W pobliżu równie zręcznie walczył Kendrick, odciągając swych ludzi, by atakowali inny oddział, oddając cios za cios wielu z nich i kładąc niemal tyłu, co Erec. Był nieustraszonym przywódcą i jego ludzie zbierali się wokół niego, rzucając się zapamiętale w wir bitwy.

Po obu stronach zaczęli padać ludzie – ludzie Imperium byli zaciekli na swój sposób, wypoczęci i dobrze wyszkoleni. Zgrzyt metalu stawał się coraz zajadlejszy i rozbrzmiewał Kendrickowi

w uszach, gdy po obu stronach mężczyźni walczyli na śmierć i życie. Bitwa stała się zaciekle, konie wpadały na siebie, nie mając dokąd się ruszyć. Obie strony kołysały się w tę i z powrotem, i Kendrickowi przypominało to rozkołysane morze, pchające naprzód i cofające się. W pewnych chwilach ludzie Kendricka i Erec zyskiwali przewagę, prac naprzód; w innych chwilach byli odpychani.

Gdy bitwa stała się jeszcze bardziej zaciekle, żołnierze poczęli zeskakiwać ze swych koni i walczyć wręcz. Starcia były zajadłe i krwawe. Żołnierze używali mieczy, włóczni, młotów i toporów, inni walczyli sztyletami, a nawet pięściami. Wokół nich rozbrzmiewały krzyki ludzi i rzenie koni, a zimowa ziemia pokryła się śliską krwią mężczyzn.

Kendrick, niezdolny manewrować, wkrótce został zrzucony z konia. Pieszko, otoczony wrogimi oddziałami, uniósł miecz i natarł na grupę żołnierzy Imperium. Jeden z nich uniósł halabardę i opuścił ją na twarz Kendricka. Ten zrobił unik, celując w trzonek i przeciął halabardę na dwoje. Następnie uderzył żołnierza rękojeścią w twarz, powalając go.

W tym samym ruchu Kendrick zablokował cios skierowany na jego ramię, następnie kopnął napastnika w brzuch, posyłając go na powrót w tłum, gdzie został stratowany przez konie.

Kolejny żołnierz natarł z włócznią. Ten cios zbliżał się zbyt szybko; Kendrick, zajęty walką z innymi napastnikami, przygotował się na śmiertelny cios.

Rozległ się charakterystyczny brzęk tarczy i obejrzawszy się Kendrick ujrzał obok siebie Erec, odpierającego włócznię. Erec zamachnął się i tarczą zdzielił żołnierza w twarz.

Inny żołnierz natarł na Erec a kiścieniem i w tym samym ruchu Erec okręcił się i cisnął tarczą: poszybowała przez powietrze, a jej zaostrzona krawędź podcięła gardło żołnierza.

Dwóch kolejnych żołnierzy Imperium zaatakowało Kendricka i Ereca od tyłu z włóczniami w dłoniach. Działo się to tak szybko, że nie zdążyli nic zrobić. Rozległ się kolejny zgrzyt metalu i obejrzawszy się Kendrick ujrzał Atme i Brandta. Ruszyli naprzód i zablokowali ciosy włóczni przeznaczone dla Ereca i Kendricka, Atme tarczą, a Brandt rękawicą. Atme dźgnął napastnika mieczem, a Brandt zdzielił zewnętrzną stronę dłoni drugiego, posyłając go na ziemię.

Kendrick czuł, że ożył, walcząc u boku Ereca, Atme i Brandta, jak za dawnych czasów. Chwycił z ziemi kiścień żołnierza i zamachnął się nim wysoko, wycinając wokół ich czwórki krąg i zdejmując pół tuzina żołnierzy Imperium.

Walka stawała się coraz bardziej zaciekle, coraz gęstsza, toczyła się długo, zdawało się, że przez godziny. Bez względu na to, jak zajadle walczyli, Kendrick miał wrażenie, że nie zyskiwali przewagi. Było to jak walka z wciąż powracającą falą. Zaczynał poważnie wątpić w to, czy uda im się wykonać ich plan przeprowadzenia małej grupy szybko i ukradkiem, by uwolnić Thora, który znajdował się w obozie.

Rozległ się dźwięk rogów i gdy Kendrick podniósł wzrok i spojrzął na drugą stronę doliny, ujrzał coś, co go zaniepokoiło: kolejne kilka tysięcy ludzi Andronicusa wlewało się w dolinę, pędząc na pomoc swym rodakom.

To wystarczyło, by odepchnąć falę. Kendricka, Ereca i jego ludzi zaczęto spychać coraz dalej i dalej przez gęstwą żołnierzy. Coraz więcej ludzi padało i Kendrick zaczynał dostrzegać, że przegrywają. Ludzie Imperium byli dla nich zbyt silni i było ich zbyt wielu. Wiedział, że o ile coś się wkrótce nie zdarzy, on i jego ludzie zostaną zarżnięci na tym polu.

Kątem oka Kendrick spostrzegł coś, wysoko, na boku doliny, co odbijało światło. Przyjrzał się i ujrzał coś, co go

zaskoczyło. Tam, na szczycie urwiska, znajdowało się kilka tysięcy żołnierzy na końskich grzbietach, odzianych w charakterystyczną zbroję McCloudów i powiewających ich sztandarem. Przypuścili szarżę w dół zbocza, kierując się ku skrzydłu bitwy.

Z początku Kendrick myślał, że chcą wspomóc Imperium; lecz gdy ich obserwował zdał sobie sprawę, że nie zamierzali się na nich, lecz na Imperium. Nie atakowali jego ludzi – pomagali im.

Nowa siła walcząca stworzyła drugi front, wzbudzając masowe zamieszanie w tylnych i przednich szeregach Imperium. Właśnie tego potrzebował Kendrick. Nie pojmował jednak, co się dzieje: dlaczego McCloudowie, ich zaprzysiężeni wrogowie, mieliby chcieć im pomagać?

Gdy Kendrick przyjrzał się uważniej, z zaskoczeniem dostrzegł, kto nimi dowodzi i wszystko nabrało sensu:

Bronson.

Bronson wyjechał na przód, przed tysiące żołnierzy McCloud i natarł co tchu wprost na Imperium. Pędzili w dół gwałtownie, wykorzystując pęd nabrany na wzniesieniu, by stworzyć falę zniszczenia.

Zderzyli się z przeciwnikiem, aż zadudniło.

W ciągu kilku chwil zaczęli wycinać ścieżkę przez zatrwożone i dezorientowane siły Imperium. Wielu żołnierzy Imperium w panice zaczęło się odwracać i uciekać, trając się wzajemnie.

Erec i Kendrick wykorzystali sytuację, zdwajając wysiłki, i zaczęli odzyskiwać przewagę. Żołnierze Imperium padali we wszystkich kierunkach, a oni odpychali ich coraz dalej i dalej.

Niebawem żołnierze Imperium odwracali się i uciekali, a MacGilowie odpychali ich dalej, wypierali z doliny.

W końcu, z wielkim okrzykiem radości ludzie Ereca i Kendricka spotkali się z ludźmi Bronsona na końcu doliny. Dolina należała teraz do nich. Zwyciężyli.

Kendrick podjechał do Bronsona, który stał, dysząc ciężko, pokryty krwią, uśmiechnięty.

- Mówiłem, że jestem MacGilem – rzekł Bronson.

Kendrick i Erec pokręcili głowami.

- Myliliśmy się co do ciebie – powiedział Kendrick.

- Ocaliłeś dzisiaj, tutaj nasze armie – rzekł Erec.

Bronson uśmiechnął się szerzej.

- Słońce jeszcze nie zaszło – odparł. – I nie wiem, jak wy, ale ja nie zamierzam się zatrzymać, aż nie wyprzemy Imperium aż za morze.

* * *

Godfrey jechał ze swymi ludźmi, objeżdżając bok doliny, z dala od głównej bitwy. Akorth i Fulton jechali obok niego, a za nimi – kilka tysięcy mężczyzn. Godfrey obserwował ogromną grupę żołnierzy Imperium przed sobą, galopując nieustraszenie prosto przed siebie. Żołnierzy przed nimi było znacznie więcej, co najmniej pięciokrotnie więcej; czekał na nich masywny oddział Imperium.

- Mój panie!

Generał Godfrey'a zrównał się z nim, jadąc szybko, a w jego głosie brzmiał przestach.

- Dokąd nas prowadzisz?! Jest ich więcej, jedziemy na natychmiastową śmierć. Twoja odwaga zakrawa na szaleństwo! Musimy zawrócić i dołączyć do pozostałych. Z pewnością nie spodziewają się, że staniemy do walki z taką ilością mężczyzn.

Twój plan, jakikolwiek był, poszedł nie tak. Jedziemy na śmierć. Musimy zawrócić! Popieram rycerskość, lecz to samobójstwo!

Godfrey jednak tylko uśmiechnął się, nie zwalniając.

- Zabawne, ja także popieram rycerskość – rzekł Godfrey. – Lecz wolę inny rodzaj rycerskości.

- Panie, nie pojmuję! – nalegał jego generał. – Czyżbyś był tak lekkomyślnym przywódcą, że prowadzisz swych ludzi na śmierć?

- Czasem przywódcy muszą być lekkomyślni, czyż nie? – spytał Godfrey z uśmiechem. Następnie obrócił się, ponaglił konia kopniakiem i przyspieszył jeszcze bardziej.

Godfrey jechał i jechał, modląc się, by jego plan się powiódł. Rzecz jasna, jego generał miał rację; było ich znacznie mniej. Ich przeciwników było zdecydowanie więcej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał. Był to ogromny oddział Imperium. I gdyby to była zwykła bitwa, przegraliby z kretesem.

Lecz Godfrey, po raz pierwszy w życiu, nie bał się. Wiedział, że jest sprytniejszy od miecza, i polegał na swym sprycie, by zwyciężyć. To będzie ostateczna próba.

Gdy zbliżyli się na jakieś trzydzieści jardów, Godfrey uniósł dłoń i zwolnił do stępa. Akorth i Fulton zadęli w rogi i zamachali flagą, która miała dać wszystkim do zrozumienia, by się zatrzymali.

Tysiące mężczyzn za Godfreyem zatrzymało się, ledwie trzydzieści jardów od żołnierzy Imperium, którzy stali naprzeciw nich zastygli w miejscu, w równych szeregach, milczący.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy, panie? – spytał generał głosem drżącym ze strachu.

Lecz Godfrey zignorował go.

Godfrey zsiadł z konia z brzękiem zbroi, a Akorth i Fulton uczynili podobnie. We trzech, pobrzękując zbroją i ostrogami,

przeszli odległość dzielącą ich od żołnierzy Imperium, którzy siedzieli na swych rumakach w bezruchu. Każdy z trzech prowadził za wodze swego wierzchowca.

Generał Imperium zsiadł z konia, podobnie jak dwóch innych wojowników, i wyszli im na spotkanie. Spotkali się w połowie, w pełnej napięcia ciszy.

Godfrey, Akorth i Fulton odwrócili się do swych koni i odpięli tuziny ogromnych worków z uprzęży. Rzucili je do stóp dowódcy Imperium, gdzie wylądowały z metalicznym brzękiem, który rozpoznałby każdy żołnierz na świecie.

Był to brzęk złotych monet.

Generał Imperium sięgnął w dół, podniósł jeden z worków, otworzył, zajrzał do środka i wyciągnął złotą monetę. Przyjrzał się jej i w końcu skinął głową, zadowolony.

- Nasi ludzie są wasi – rzekł.

Wśród ludzi Imperium rozległy się wiwaty.

Zdawszy sobie sprawę z tego, co się stało, także ludzie Godfreya zaczęli wiwatować.

Generał Godfreya podszedł do nich, wpatrując się w ogromne góry połyskującego złota. Buzię otworzył ze zdziwienia.

Godfrey uśmiechnął się widząc jego reakcję.

- Kiedy poznasz mnie lepiej – rzekł Godfrey z uśmiechem, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Odkryjesz, że bitwę można wygrać na wiele sposobów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Romulus przemierzał marmurowy korytarz kapitolu, zmierzając ku szerokim drzwiom komnaty Wielkiej Rady. Szedł sam, a jego kroki odbijały się echem, gdy mijał rząd za rzędem odznaczonych żołnierzy Imperium, którzy stali, milcząc, na baczność. Tym razem Wielka Rada wezwała go – wiedział o tym – by odsunąć go od władzy, pozbawić tytułów i stopnia, zapytać o jego uczynki i sądzić za zdradę. Miał szpiegów wszędzie i wiedział dokładnie, co każdy z nich zamierza powiedzieć. To była chwila, w której mogli wtrącić go do lochów raz na zawsze i umocnić pozycję Andronicusa.

Romulus miał inne plany. Teraz, gdy miał w dłoni aksamitną pelerynę, zamierzał opuścić wkrótce Imperium, przekroczyć wielkie morze, wkroczyć do Kręgu, zniszczyć Tarczę i pozbawić Andronicusa władzy na dobre. Jednak nim wyruszy w swą ostateczną wyprawę, która uczyni go najwyższym władcą Imperium, musiał zająć się jeszcze jedną kwestią. Radą. Sól w jego oku. Przyszedłby do nich sam, by dopełnić swego planu – lecz oni pierwsi go wezwali. Romulus miał własne sprawy, o których musiał z nimi pomówić. I nie wydawało mu się, by ich one szczególnie uradowały.

Romulus przemaszerował przez otwarte drzwi. Kilku żołnierzy trzymało ich skrzydła z szacunkiem i ukłoniło się, ustępując mu z drogi. Romulus wszedł do komnaty.

Przywitały go dwa tuziny niezadowolonych twarzy członków rady, reprezentujących wszystkie prowincje Imperium. Patrzyli na niego z niesmakiem i wzgardą.

Zamknięto za nim drzwi.

- Możesz zostać, gdzie jesteś, gdyż nie zabawisz tu długo – rzekł jeden z nich, ledwie Romulus wszedł do sali.

Romulus zastygł w miejscu, wpatrując się w niego. Powściągnął się.

- Doszły nas wieści, iż wstrzymałeś posiłki zmierzające do wielkiego Andronicusa. Nie interesują nas twoje wyjaśnienia. W imieniu Wielkiej Rady Imperium zostajesz niniejszym poddany sądowi i skazany za zdradę. Zostaniesz uwięziony, a twoja egzekucja odbędzie się nazajutrz. Zawiśniesz na najwyższym drzewie, ku przestrodze przyszłych zdrajców.

Romulus oddychał głęboko, spodziewając się tego.

Następnie uśmiechnął się szeroko i postąpił naprzód buntowniczo.

- Cieszy mnie, że macie dla mnie plany – rzekł Romulus. – Ponieważ ja także mam plany dla was.

- Nie interesują nas twoje plany – rzekł inny członek rady. – Poszczyliło ci się jedynie, że nie ma tu wielkiego Andronicusa, który zadawałby ci powolne tortury. Okażemy ci łaskę i wykonamy wyrok szybko.

- Straże, aresztować go! – zawołał inny członek rady.

Stał tak, czekając, lecz nic się nie stało. Starzec wyglądał na zaskoczonego.

A Romulus uśmiechnął się szerzej.

- STRAŻE! – krzyknęli.

Romulus, wciąż szeroko się uśmiechając, postąpił krok naprzód.

- Nie ma już Wielkiego Andronicusa. Teraz jest Wielki Romulus.

Skinął głową, a wtedy z mroku, ze wszystkich zakamarków pomieszczenia wyłoniły się nagle dwa tuziny najlepszych

zabójców Romulusa. Pospieżyli przed siebie bezszelestnie z wysoko uniesionymi krótkimi mieczami.

Członkowie rady ledwie mieli czas zareagować, odwrócić się, by spotkać się ze śmiercią twarzą w twarz. Ludzie Romulusa pojawili się nagle i dźgali i rąbali na śmierć każdego z nich. Ich krzyki wypełniły pomieszczenie, żalosne krzyki tych żalosnych starców, którzy osuwali się teraz na stół, przy którym próbowali osądzić Romulusa.

Romulus stał tam, napawając się widokiem, podparłszy się pod boki, i wciągnął zapach w płuca, jak gdyby to było świeże powietrze.

Gdy jego ludzie dokonali swego dzieła, stanęli wszyscy na baczność, oczekując jego rozkazu.

Był to piękny widok. Teraz już nikt w Imperium mu się nie sprzeciwi. Odetchnął głęboko, czując, jak jego siła wzrasta. W końcu nic już nie stało na przeszkodzie.

Na jego drodze stał jeszcze tylko jeden człowiek, który wkrótce pozna gniew Wielkiego Romulusa. Niebawem wkroczy do Kręgu. Niebawem wszystko będzie należało do niego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Reece galopował u boku Convena, O'Connora, Eldena, Indry, Serny i Kroga. Mknęli w siódemkę wąskimi szlakami, w górę i w dół po wzniesieniach przez gęsty las, trzymając się z daleka od zasięgu wzroku głównej armii Andronicusa. Reece wiedział, że muszą unikać głównej armii Andronicusa, jeśli mają mieć szansę, by dotrzeć tam bezpiecznie – i nim będzie za późno. Jechali i jechali, a gałęzie drapały ręce Reece'a. Unikali otwartych pól i łąk, które mogłyby ich zdradzić. Mknęli przez terytorium McClouda, obrawszy skrót, którym pędzili od wielu godzin.

W końcu wyłonili się z lasu i znaleźli na kamienistym otwartym polu. Na horyzoncie widzieli Kanion. Reece uradował się. Udało im się.

Reece poczuł oceaniczną woń, morze leżało jedynie kilka mil od Kanionu. Elden zrównał się z nim i wskazał:

- Tam – krzyknął Elden. – Przejście!

Reece spojrział tam i spostrzegł, że ma rację: tam, na widnokręgu, wśród wirującej mgły Kanionu znajdowało się Wschodnie Przejście, ogromny most rozpięty nad Kanionem, lśniący w słońcu. Przejście pozwalało podróżnym przedostać się na wschodnią stronę i, niegdyś strzeżone przez ludzi McClouda, teraz stało puste. Nie zdziwiło to Reece'a: wszyscy ludzie McClouda służyli teraz Andronicusowi, a skoro Tarcza ponownie się podniosła, nie było potrzeby umieszczania tu ludzi. Nikt inny nie mógł się dostać do środka, nie było zatem przed kim się bronić.

Reece rozglądał się gorączkowo w poszukiwaniu eskorty, która zabrała miecz.

- Tam! – krzyknął O'Connor, wskazując palcem.

Reece zmrużył oślepienie słońcem oczy i ujrzał eskortę złożoną z jakichś dwóch tuzinów wojowników Imperium, którzy maszerowali, niosąc na ramionach ogromny głaz, kierując się powoli ku mostowi. Właśnie na niego wchodzili.

Reece kopniakiem pogonił konia i krzyknął, zdwajając swe wysiłki.

- NAPRZÓD! – krzyknął. Odnaleźli ich w czas, lecz byli blisko. Jeśli przejdą na drugą stronę, Tarcza opadnie na zawsze. Tak czy inaczej, stali na przegranej propozycji.

Pędzili co sił, Reece galopował tak szybko, że ledwie był w stanie złapać oddech, a zimny wiatr smagał go po twarzy. Obok niego równie szybko gnali jego bracia legioniści, każdy z nich zdawał sobie sprawę z pilności ich zadania.

Na szczęście dzięki ciężarowi głazu grupa Imperium poruszała się powoli i gdy przekraczali most, Reece i jego ludzie szybko zmniejszali dzielącą ich odległość.

Reece i pozostali dotarli do mostu i wjechali na niego, nie zwalniając, doganiając ludzi Imperium, gdy byli już niemal w jego połowie.

Ludzie Imperium usłyszeli, że coś się dzieje za ich plecami i odwrócili się do Reece'a i pozostałych. Na ich twarzach malowało się zaskoczenie. Odstawili głaz i gotowali się do starcia.

Reece zdał sobie sprawę, że było ich znacznie mniej, ledwie siedmioro przeciw dwudziestu kilku zatwardziałym wojownikom Imperium. Lecz Miecz był w zasięgu jego wzroku i nie zamierzał się cofać.

- STRZELAJ! – krzyknął znowu Reece.

Jadący obok niego O'Connor wypuścił dwie strzały, zdejmując dwóch żołnierzy, Elden cisnął włócznią, Indra sztyletem, a Conven swym niewielkim toporem, Każdy z nich trafił do celu, kładąc pięciu przeciwników i równając szanse.

Reece wyprzedził pozostałych, dobył miecza i galopem wpadł w gęstwę grupy. Przejechał między dwoma żołnierzami Imperium i zeskoczył z konia, strącając ich obu rękoma.

Spadli wszyscy razem na ziemię, a Reece po wylądowaniu przetoczył się, odwrócił, przyklęknął i siekł ich obu, nim zyskali szansę, by stanąć na nogi.

Wokół niego jego bracia legionieści walczyli wręcz, i starcie stawało się coraz bardziej zaciekle. Zaskoczeni żołnierze Imperium mieli się na baczności, by nie stracić Miecza, byli zdecydowani przekroczyć z nim Kanion i w walce skupiali się wokół niego. Byli także widocznie wycieńczeni od niesienia głazu taki szmat drogi, co dawało Reece'owi i jego ludziom przewagę.

Reece, walcząc co sił, dla Thora, dla Miecza i dla Kręgu, dawał z siebie wszystko. Nigdy nie walczył tak zapamiętale, siekąc, pchając i parując, i pokonał kilku żołnierzy, podobnie jak walczący obok Conven, który miotał się we wściekłym szale. Elden używał swej wyjątkowej siły, by ich pokonać, władając swym toporem bitewnym, kopiąc silnymi nogami kilku żołnierzy w pierś i posyłając ich na plecy. O'Connor wypuszczał strzałę za strzałą i większość z nich trafiała w swój cel. Także Indra była groźnym przeciwnikiem, klucząc wśród mężczyzn i zadając pchnięcia sztyletem. Serna i Krog byli stanowili interesujące dodatki do grupy. Serna dzierżył kiścień, którym wytrącał żołnierzom Imperium miecze z dłoni, nim zaatakowali, a Krog używał swej tarczy jako broni – blokował ciosy innym i zdzierał żołnierzy w twarze i gardła, posyłając ich na ziemię. Pomagał

sobie swą wielką, ciężką rękawicą, którą ich dobijał.

Szanse szybko się wyrównały. Było ich siedmioro naprzeciw siedmiu żołnierzy Imperium. Wszyscy pokryci byli krwią i dyszeli ciężko.

Jeden z żołnierzy wykrzyknął rozkaz do drugiego w języku, którego Reece nie rozumiał. Patrzył na Miecz, dziko przy tym gestykulując.

Wtedy Reece pojął: rozkazywał swym kompanom zniszczyć Miecz.

Reece patrzył szeroko otwartymi oczyma, jak trzech największych żołnierzy unosi głaz z ziemi, wkładając w to całą swą siłę, podczas gdy pozostała czwórka otacza ich, tworząc mur ochronny.

Reece i pozostali walczyli wręcz z czterema żołnierzami, próbując przedrzeć się do trzech żołnierzy niosących Miecz ku krawędzi mostu. Oddawali cios za cios, metal zgrzytał o metal, lecz nie było łatwo – pozostali czterej żołnierze radzili sobie lepiej niż poprzedni, i byli bardziej zdeterminowani. Czas przeciekał im przez palce.

Conven rzucił się naprzód, wprost na dowódcę, i powalił go na ziemię. Nikt się nie tego nie spodziewał i dzięki temu szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę legionistów. Podczas gdy pozostali żołnierze Imperium próbowali odciągnąć Convena, Reece i pozostali przypuścili zaciekły atak. Walczyli jak jeden mąż, pokonując czterech żołnierzy Imperium i zabijając ich na miejscu.

Reece, podniósł wzrok znad żołnierza, którego właśnie zabił, i ujrzał, że głaz znajduje się jedynie kilka stóp od krawędzi. Trzech żołnierzy Imperium podnosiło go coraz wyżej, gotując się do przerzucenia go przez poręcz, do wrzucenia go w przepaść. Oparli go już o kamienną poręcz, sam skraj, i mieli zamiar

pchnąć. Reece widział, że za kilka chwil Miecz przepadnie na zawsze. Nie mógł na to pozwolić.

- NIE! – krzyknął Reece.

Ruszył do przodu, a pozostali deptali mu po piętach. Reece uniół miecz i zaatakował czterech żołnierzy. Odwrócili się i unieśli miecze – lecz za późno. Reece wprawnie sam zabił dwu, a nim pozostali zdążyli się osłonić, Elden ze swym toporem, a Conven z krótką włócznią wystąpili naprzód i pchnęli ich.

Wszyscy żołnierze Imperium nie żyli, lecz Reece i pozostali nie mogli na tym poprzestać. Głaz, a wraz z nim Miecz, kołysał się nad krawędzią.

Reece i reszta podbiegli i chwycili wspólnie głaz. Był niezwykle ciężki i balansował niebezpiecznie nad krawędzią.

Trzymali go z całych sił, aż zbieleły im kłykcie, lecz głaz zaczął ześlizgiwać się na drugą stronę; Reece chwycił za rękojeść Miecza, a inni trzymali kamień. Ciągnął co sił, tak mocno, że czuł, jak nadrywa mięśnie grzbietu i brzucha. Pozostali ciągnęli równie mocno. Powietrze wypełniały ich krzyki. Nawet Elden, trzymając z całych sił, obojgiem rąk, jęczał.

Lecz ich dłonie ślizgały się od krwi żołnierzy i byli wyczerpani do granic możliwości. Ciągnęli resztkami sił, jakie jeszcze w nich tkwiły, lecz bez względu na to, jak mocno ciągnęli, głaz osuwał się coraz niżej i niżej.

W końcu po ostatniej rozpaczliwej próbie, Reece ujrzał z przerażeniem, jak rękojeść Miecza wyslizguje mu się z dłoni – i jak głaz wyslizguje się z ich rąk.

- NIE! – krzyknął Reece.

Spojrzał w dół i patrzył szeroko otwartymi oczyma, jak gdyby obserwował swój koszmar, jak wciąż tkwiący w głazie Miecz spada w dół, za skraj mostu nad Kanionem. Obracał się w powietrzu, spadając w mgłę, w bezdenny Kanion.

Reece czuł, jak całe jego życie się zapada, cała nadzieja ginie, gdy patrzył, jak wszystko, na czym mu w życiu zależało znika na jego oczach, jak Miecz spada w nicość, przepada na zawsze.

Dla Kręgu, wiedział, oznaczało to koniec.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Thor otworzył oczy, czując, jak ktoś ciągnie go za nadgarstki, unosi jego ręce i trzyma je nad jego głową. Poczuł, jak ktoś podciąga go w górę, jego ciało ociera się o twarde, zakurzony bok dołu i na przemian tracił i odzyskiwał przytomność, gdy jego ciało ocierało się o błoto, korzenie i kamień.

Thor otworzył swe zdrowe oko – drugie wciąż było opuchnięte tak, że nic nie widział - i ujrzał, że leży twarzą do ziemi na zimnej ziemi. Zmrużył powieki przed ostrym światłem dnia i zadrżał od zimnego podmuchu wiatru, który uderzył w jego nagie plecy i pierś. Podniósł wzrok i ujrzał nad sobą żołnierza Imperium, patrzącego na niego z gniewem.

- Wielki Andronicus życzy sobie cię teraz zobaczyć – rzekł chłodno mężczyzna.

Thor poczuł, jak kilka par silnych rąk chwyta go od tyłu i stawia na nogi. Stał niepewnie, jego nadgarstki wciąż skute były akdonem, nadal czuł się słabo i zastanawiał się, na jak długo stracił przytomność.

Poczuł, jak ktoś z tyłu mocno go popycha i zatoczył się naprzód, ciągnięty przez kilku mężczyzn przez obóz Imperium. Tysiące żołnierzy gapiły się na niego, gdy ich mijał. Czuł każdego guza i siniaka na ciele, z każdym krokiem miał wrażenie, że waży milion funtów. Czuł się bardziej umarły niż żywy.

Thor podniósł wzrok i dostrzegł, że prowadzą go w kierunku niewielkiej, starożytnej budowli w kształcie ośmiokąta, ozdobionej żłobkowanymi, marmurowymi kolumnami. Były to

ruiny starożytnej świątyni. Stała w obozie, a żołnierze trzymali się od niej na bezpieczną odległość. Jej ogromne żelazne drzwi były zamknięte i gdy sługa otworzył je, Thor wyczuł dochodzącą ze środka złą energię.

Thora został wepchnięty do środka i drzwi zatrzasnęły się za nim, odbijając się echem w ciszy. Było tu chłodniej niż na zewnątrz i coś w powietrzu przypawiło Thora o dreszcze.

Thor stał sam w budynku o kształcie ośmioboka; panował tu półmrok, wewnątrz rozświetlało jedynie okrągłe otwarcie w stropie, przez które przedzierał się snop światła, zabarwiony szkarłatem chylącego się ku zachodowi słońca.

Thor wyczuł, że jest tam ktoś poza nim. Podniósł wzrok i ujrzał z przerażeniem, że pośrodku snopa światła stoi jego ojciec. Andronicus.

Stał tam, wysoki jak góra, i uśmiechał się, patrząc na stojącego naprzeciw niego Thora. Stali naprzeciw siebie w tych opuszczonych, starożytnych ruinach świątyni. Thor ledwie był w stanie uwierzyć, że pochodzi od tego mężczyzny. Było to jak koszmar, z którego nie mógł się obudzić.

- Posmakowałeś siły Wielkiego Andronicusa - zaczął swym grzmiącym, brzmiącym pradawnym głosem, który rozniósł się echem po budowli. – Zacząłeś poznawać cenę, jaką płaci się za stawianie mi oporu.

Thor czuł pulsowanie i pieczenie w miejscu, gdzie oznakował go Andronicus i pałał do tego mężczyzny nienawiścią większą, niż myślał, że jest możliwa. Pomyślał o Gwendolyn, o tym, co Andronicus jej zrobił i zapłonęła w nim żądza zemsty także przez wzgląd na nią. Był tak wściekły, że ledwie mógł oddychać.

- Czuję twą nienawiść do mnie – rzekł Andronicus. – To dobrze. Twa nienawiść służyć ci będzie dobrze w tym życiu.

Thor czuł się wyczerpany swą nienawiścią, czuł, że długo już nie ustoi. Czuł, jak gdyby ten mężczyzna go złamał.

- Thorgrinie – dobiegł go głos.

Thor podniósł wzrok, zaszokowany brzmieniem głosu, i ujrzał stojącego przed sobą Argona. Był to głos, który kochał, mężczyzna, za którym gorąco tęsknił. Argon wpatrywał się w niego oczyma pełnymi ojcowskiej miłości. Thor nigdy w życiu nie doświadczył tego rodzaju miłości.

- Przyłącz się do Andronicusa – rzekł Argon. – To twój ojciec. Pogódź się z tym, kim jesteś. Pogódź się ze swym przeznaczeniem.

Thor pokręcił głową, skołowany. Dał krok naprzód.

- Argonie? – spytał. – To nie możesz być ty.

Thor mrugnął, a postać przed nim stała się kimś innym. Jego matką.

- Thorgrinie – rzekła ze słodyczą w głosie. – Twój czas w Kręgu dobiegł końca. Czas, byś udał się w lepsze miejsce. Wybierz życie. Nikt nie będzie cię winił. Przyłącz się do niego. Chcę, byś to zrobił.

Thor postąpił kilka niepewnych kroków w jej kierunku.

- Matko! – krzyknął.

Thor mrugnął i znów ujrzał przed sobą Andronicusa. Potrząsnął głową, próbując otrząsnąć się z tych wizji. Wiedział, że Andronicus używa jakiegoś rodzaju mrocznych zaklęć, by manipulować jego umysłem. Nie potrafił jednak pojąć jakich.

- Te kajdany – rzekł Andronicus. – Łatwo można je zrzucić, odzyskać całą siłę, stać się wojownikiem, którym niegdyś byłeś.

- W jaki sposób? – spytał Thor słabym głosem.

- Przyłącz się do mnie. Nic więcej nie musisz robić. Przyłącz się do mnie, a wspólnie będziemy władać Imperium. Przyłącz się do mnie, a będziesz silniejszy niż kiedykolwiek byłeś.

Wystarczająco silny, by mnie zabić, jeśli zechcesz. Tego właśnie chcesz, czyż nie? Zabić mnie? Tak, mam rację... Czuję to. Przyłącz się do mnie, a staniesz się wystarczająco silny, by to zrobić.

Thor oddychał ciężko. Próbował to wszystko zrozumieć, lecz nie udawało mu się. Wystarczająco silny, by zabić Andronicusa?

- Musisz jedynie zdecydować w głębi serca, że jesteś moim synem. Że jesteś gotów pogodzić się z tym, kim jesteś. Wtedy kajdany same zsuną się z twych nadgarstków. Tylko w ten sposób można je zdjąć. Narodzisz się ponownie jako jeden z *nas*. Jako mój syn. I osiągniesz poziom siły, której nigdy nie pojmiesz. Staniesz się najświetniejszym wojownikiem w dziejach. Musisz jedynie mnie zaakceptować. Zaakceptuj, że jestem twym ojcem.

Thor raz po raz potrząsał głową, próbując wyrzucić z niej wszystkie te głosy. Zdawały się wtapiać głęboko w jego umysł, jak ciało obce, którego nie potrafił się pozbyć. Thor czuł, jak gdyby jakaś moc przejmowała kontrolę nad jego myślami, czyniąc go niezdolnym do myślenia, do samodzielnego podejmowania decyzji.

Czy to wszystko było prawdą? Czy Andronicus w istocie był jego ojcem? Czy rzeczywiście nie powinien się sprzeciwić własnemu ojcu? Zaczynał czuć, że jeśli się nie zgodzi, w jakiś sposób zdradzi swego ojca. Zdradzi siebie. Nie rozumiał własnych myśli. Miał wrażenie, że obracają się przeciwko niemu, jak gdyby wszystko, co rzekł Andronicus, miało sens.

- Thorgrinie – powiedział Andronicus, podchodząc bliżej i zatrzymując się ledwie stopę od niego. Wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Thora.

- Wiesz, że mówię prawdę – ciągnął dalej. – Nigdy nie miałeś ojca. I poza mną nigdy nie będziesz miał. Tylko ja cię

uznają. Teraz ty musisz uznać mnie. Jestem częścią ciebie. Częścią, która nigdy cię nie opuści. Jeśli chcesz, by to wszystko się skończyło, jeśli chcesz uciszyć te głosy w twojej głowie, uznaj mnie. Uznaj mnie, jak ja uznałem ciebie.

- NIE! – wrzasnął Thor, osuwając się na kolana, usiłując unieść dłonie do głowy, by to wszystko wyprzeć.

Słowa Andronicusa kołatały mu się po głowie, uniemożliwiając jasne myślenie.

- Przyłącz się do mnie, a wspólnie zmiążdżymy Krąg. Krąg, który nigdy cię nie przyjął. Przyłącz się do mnie i stań się niezniszczalny.

- NIE! – krzyknął Thor przeraźliwie głośno, a jego głos odbił się od ścian i zagłuszył jego myśli.

Odchylił się w tył i wykrzyknął, umęczony.

Thor usłyszał jakiś hałas, poczuł jak coś się unosi, uniósł nadgarstki i wpatrywał się w nie w szoku: akdonowe kajdany opadły.

Spadły bezboleśnie z jego nadgarstków i z brzękiem wylądowały na ziemi.

Thor podniósł wzrok na Andronicusa i ujrzał swe własne oczy wpatrujące się w niego.

- Ojczy – rzekł Thor, czując jak wzbiera w nim nowa siła.

Na twarzy Andronicusa pojawił się szeroki uśmiech zadowolenia.

- Synu mój.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Kendricka ogarnął nowy optymizm, gdy jechał u boku Bronsona i Erecy. Dzięki przybyciu Bronsona udało im się pokonać oddział Imperium. Przemierzyli wspólnie dolinę, a tysiące ich ludzi zlały się niezauważalnie w jedno. Dzięki Bronsonowi ich siły się podwoiły i szala zwycięstwa przechyliła się na ich stronę.

Kendrick wiedział, że zaciągnęli u Bronsona dług. Bronson do końca życia będzie miał w nim przyjaciela i jeśli uda im się to przetrwać, Kendrick upewni się, by Bronson zajął jakąś wysoką pozycję. Nie mógł się nadziwić, jak bardzo wszyscy się co do niego mylili. Powinien był wiedzieć od samego początku, że to jego siostra Luanda go zwiodła. Zawsze taka była: knuła, żądna władzy, i nie oglądała się na nic, póki nie dopięła swego. Pod wieloma względami przypominała Garetha.

Gdy szala zwycięstwa przechyliła się na ich stronę, Kendrick czuł, że znów mają szansę przedrzeć się przez szeregi wroga, uratować Thorgrina i wydostać go stamtąd. Osłabili armię Imperium, a przynajmniej jej ułamek, ułamek wystarczająco duży, by osiągnąć cel, który sobie założyli. Ich plan działał. Teraz, nim Imperium zdąży się przegrupować, musieli tylko rozprzeć wyrwę, którą stworzyli w ludziach.

Kendrick przywołał w pamięci dawne dni, gdy król MacGil żył; gdy Srebrni byli wszyscy razem, nic na świecie nie było w stanie ich powstrzymać. Miał wrażenie, że dawne czasy powróciły i czuł, że są na drodze ku jednemu z największych podbojów w ich życiu, takiego, o którym śpiewać będą przyszłe

pokolenia.

Dolina zwężyła się i wyprowadziła ich na ścieżkę leżącą między dwiema stromymi ścianami urwiska, a gdy minęli zakręt, ich oczom ukazał się zgoła nowy widok – i Kendrickowi serce na chwilę zamarło.

Drogę w wąskiej dolinie blokowały im dziesiątki tysięcy mężczyzn, gotujących się do walki, czekających, by złapać ich w zasadzkę. Nigdy nie widział tylu żołnierzy Imperium. Przewodziły im kolejne tysiące. Poznał ich natychmiast po zbroi, po chorągwiach.

Ludzie Tirusa.

Z początku Kendrick nie pojmował. Dlaczego ludzie Tirusa przyłączyli się do Imperium i stali jak jedna armia naprzeciw nich? Zrozumiał jednak: zostali wydani przez Tirusa.

Wszyscy jego ludzie nagle się zatrzymali, a Kendrick siedział na swym rumaku, osłupiały, ledwie będąc w stanie oddychać. Naprzeciw niego siedział Tirus, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu zadowolenia. Na polu bitwy panowała gęsta, pełna napięcia cisza.

W końcu Kendrick odchrząknął i zawołał do Tirusa przez pole bitwy:

- Zdradziłeś lepszą połowę MacGilów – zawołał do niego Kendrick.

- A któż powiedział, że to wy jesteście lepszą połową? – odrzekł Tirus.

- Dlaczego nas zdradziłeś? – spytał Erec.

- Wy, MacGilowie zawsze byliście głupcami – odparł Tirus. – Zawierzacie innym na słowo. Wciąż wierzycie w rycerskość. I to stanowi o waszym upadku. Ja wierzę w złoto. Nigdy jeszcze mnie nie zawiodło.

- Okazaliśmy ci łaskę – zawołał Erec. – Gwendolyn

zapropowała wam kontrolę północnej części Kręgu.

Tirus uśmiechnął się szeroko.

- A Luanda zaoferowała nam *całe* Wschodnie Królestwo Kręgu. Zdaje się, że to jej siostra jest mądrzejszą z nich dwóch.

- Czy twoje słowo zatem nic nie znaczy? – zawołał Kendrick.

Tirus uśmiechnął się.

- Znaczy – odparł. – Lecz złoto znaczy dalece więcej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Mycoples rzucała się wściekle w akdonowej sieci, która ją oplątała. Nie mogła uderzać skrzydłami, wyciągnąć szponów, wygiąć szyi w łuk ani ziać ogniem. Miotana wściekłością, rzucała się raz po raz, próbując ze wszystkich sił ziać ogniem albo przynajmniej podrapać żołnierzy. Tuziny żołnierzy Imperium chwyciły linę przytroczoną do sieci i ciągnęły miotającą się smoczyce w kierunku długiej deski prowadzącej na statek.

Mycoples drapała o biały piasek plaży, po raz pierwszy w życiu czując się bezsilna. Przed jej oczami wyłonił się imperialny statek i nie mogła nic na to poradzić.

Mycoples opuściła powieki i ujrzała swego pana, Thorgrina. Jedyną osobę na tym świecie, na której jej jeszcze zależało. Próbowała go wezwać, przekazać mu swe myśli, jak często robiła.

Lecz gdy zamknęła oczy, ujrzała Thorgrina w ciemnym budynku, u boku ojca. Ujrzała, że się przemienia. Stawał się czymś innym. Nie był już człowiekiem, którego kiedyś знаła.

Mycoples była zdruzgotana. Thorgrin, ten, za którego oddałaby życie, umykał jej.

Mycoples wygięła szyję w łuk i ryczała ku niebiosom, raz po raz. Był to ryk tak przeszywający, że rozłupał maszt okrętu. Lecz nie powstrzymało to żołnierzy od wciągnięcia jej na pokład i przywiązania do okrętu, który miał zawieźć ją daleko, daleko stąd.

Thor, pomyślała. Ocal mnie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Gwendolyn dygotała z zimna i opuściła głowę, chroniąc się przed śniegiem, gdy wraz ze Steffenem, Abertolem i Alistair – oraz skomlącym u jej nogi Krohnem – zapuszczała się coraz głębiej w las. Rozpętała się burza śnieżna, uderzając ją po twarzy ogromnymi płatkami śniegu. Zacisnęła futra ciaśniej wokół ramion. Wszyscy mocno dygotali na wichurze. Lepki śnieg przywierał do wszystkiego i trudno było chodzić. Im głębiej się znajdowali, tym częściej Gwen się zastanawiała, czy Aberthol od początku miał rację, czy jest to podróż, której nie mogą ukończyć.

Śnieg gęstniał, nogi coraz bardziej jej ciążyły, wiatr zawodził tak głośno, że ledwie słyszała dyszenie Krohna u jej boku – i wtedy, przeszedłszy zakręt, Gwen ujrzała przed sobą światełko, przedzierające się przez gęstwinę lasu. Z nowo odzyskaną nadzieją przyspieszyli kroku i dotarli na jego obrzeża.

Wyszli na otwarte pole, gdzie powitała ich jeszcze silniejsza wichura. Otworzył się przed nimi świat bieli, opuszczony, nieskończony świat.

Przed nimi leżał Kanionu, a nad nim rozpięte było Północne Przejście. Gwendolyn słyszała o tym miejscu, lecz nigdy dotąd tu nie była. Biegło przez wąską kładkę, wystarczająco szeroką, by zmieściła się tam jedna osoba naraz. Kładka wygięta była w wysoki łuk, który wznosił się nad Kanionem jak tęcza. Po drugiej stronie Kanionu ujrzała ściana bieli. Śnieg wirował jak oszalały, zmieszany z unoszącymi się kłębam mgły. W miejscu, gdzie łuk opadał po drugiej stronie, kładka była całkowicie pokryta lodem, który zwisał po obu jej stronach.

Zatrzymali się i przypatrywali w zdumieniu. Krohn zaskomlął.

- Nibyświat – rzekł Aberthol. – Świat lodu, śniegu i odosobnienia. Świat iluzji i pułapek.

Gwendolyn przełknęła ślinę.

- Nikt nigdy nie przeszedł na jego drugą stronę i powrócił – dodał Aberthol.

Gwendolyn spojrzała w biel, pustkę i wiedziała, że będzie to długa i trudna wyprawa. Może nawet niewykonalna. Nie wiedziała, czy w ogóle będzie w stanie odnaleźć Argona, a jeśli tak – czy uda jej się go uwolnić. Przede wszystkim wiedziała jednak, że najpewniej sama nie przeżyje tej podróży.

Jednak mimo tego Gwendolyn nie zawahała się ani przez chwilę. Myślała tylko o Thorgrinie. Musiała go uratować. Bez względu na cenę, jaką przyjdzie jej za to zapłacić. Bez względu na to, jak daleka, jak niemożliwa była ta wędrówka.

- Cóż – rzekła, zwracając się do Aberthola. – Ktoś musi być pierwszy.

Aberthol odwrócił się do niej.

- Jesteś pewna, pani? – spytał cicho.

Spojrzeli na nią, czekając na jej odpowiedź.

Oparła ręce na biodrach i pewnie spojrzała przed siebie.

- Nigdy nie byłam niczego tak pewna – odrzekła Gwendolyn.

Z tymi słowy postawiła pierwszy krok na pustej równinie, w huczący wicher, ku oblodzonej kładce, w pełni przygotowana, by wkroczyć w otchłań Nibyświata.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Thorgrin, uwolniony z kajdan, ponownie ubrany, czując się silniej niż kiedykolwiek, wchodził z Andronicusem po niewielkim pagórku. Zmierzali w stronę najwyższego punktu obozu. Gdy dotarli na szczyt, rozejrzeli się obaj, a z dołu spoglądała na nich armia Imperium, licząca pół miliona żołnierzy.

Żołnierze Imperium wpatrywali się w nich w napięciu, czekając. Andronicus stał obok Thorgrina, ojciec obok syna. Thor miał na sobie barwy Imperium, tę samą czerń i złoto, co jego ojciec, a na jego napierśniku widniał ich symbol: lew z orłem w paszczy. Oczy Thora były zimne i nieruchome i gdy się rozglądał, bardziej niż kiedykolwiek przypominał swego ojca. Nie wyglądał ani na krztynę jak chłopiec, którym niegdyś był.

Thor stał na wzniesieniu, dzierżąc w dłoni swój nowy miecz, ten, który niegdyś należał do jego ojca, długi, czarny i zły, o srebrnej rękojeści, który połyskiwał w szkarłatnym słońcu jak wąż gotowy do ataku.

- MEŻOWIE IMPERIUM! – zawołał Andronicus. – Oto wasz nowy dowódca. Mój syn. Thornicus!

Thorgrin postąpił krok do przodu i spojrzał w dół. Następnie jedną ręką uniósł miecz wysoko nad głowę.

Rozległ się donośny krzyk aprobaty, a Thor chłonał każdą jego sekundę. Był gotów poprowadzić tych ludzi, zmiażdżyć Krąg. Był gotów pogodzić się z tym, kim naprawdę jest. Był gotów postąpić, jak rozkazał mu ojciec. Był gotów na ostateczne zniszczenie Kręgu.

- Thornicus! – zawtórowało pół miliona głosów, które

wzbiły się ku niebu.

Thor odwrócił się powoli, unosząc jeszcze wyżej miecz.

- THORNICUS! THORNICUS!

Koniec księgi 7

ciąg dalszy to

OFIARA BRONI

Księga 8 cyklu Kręgu Czarnoksiężnika

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY
ROZDZIAŁ DRUGI
ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY
ROZDZIAŁ DWUNASTY
ROZDZIAŁ TRZYNASTY
ROZDZIAŁ CZTERNASTY
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
ROZDZIAŁ SZESNASTY
ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚTY
ROZDZIAŁ OSIEMNAŚTY
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY DRUGI
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY TRZECI
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY CZWARTY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY ÓSMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY